

TAJEMNICA GONI TAJEMNICĘ, JEDNAK
TĘ NAJWIĘKSZĄ I TAK SKRYWA CZŁOWIEK

ATARAKSJA

TOMASZ

ZAK

ATARAKSJA



Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce

ATARAKSJA

TOMASZ
ŻAK

KRAKÓW 2023

Spis treści

Strona tytułowa

Część 1. Teraz

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Listy I

Część II. Kiedyś

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Listy II

Część III. Teraz

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Listy III

Część IV. Kiedyś

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Listy IV

Część V. Teraz

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27
Strona redakcyjna
Reklamy



CZĘŚĆ I TERAZ

ROZDZIAŁ 1

Co za pieprzone bzdury – pomyślał Waław, zmieniając stację radiową.

W wypożyczonym samochodzie przestał działać Bluetooth, choć Waław sądził, że równie dobrze mógł zawieść jego wiekowy telefon. Telefon, mało używany iPhone 7, był jednak w stu procentach sprawny. W przeciwieństwie do prawdziwie wiekowego właściciela. Waław Wolf, lat czterdzieści jeden, w rzeczywistości miał ich więcej. Dużo, dużo więcej. Wolf nie znajdował się pod wpływem czarnej magii, żadna wiedźma znająca tajemne, sięgające średniowiecza arkana nie rzuciła na niego uroku, nie. Wolf był po prostu zepsuty. Nie w taki sposób, w jaki zepsute są dzieci bez rodzeństwa lub, dla równowagi, z nadgorliwymi dziadkami rozpieszczającymi delikwenta lub delikwentkę, zmieniającymi słodkiego bobasa w rozwydrzonego bachora. Tak właśnie wygląda współczesna alchemia, transmutacja za pomocą słów i czynów.

Tymczasem Wolf był zepsuty immanentnie, od dnia narodzin. Ze swej matki wyszedł z bujną czupryną włosów, rozwichrzonych tak, jakby za moment miał złapać za mikrofon i krzyczeć do niego antysystemowe hasła. Mało płakał i kiedy koleżanki jego rodzicielki kazały jej się z tego cieszyć, ona była przerażona. Jego pusty wzrok, często godzinami wbity w jedno miejsce, przyprawiał ją o palpacje serca. I ta cisza. W nocy to częściej ona budziła jego niż on ją. Tylko po to, żeby sprawdzić, czy dziecko nadal żyje. Bo oddychać nie znaczy żyć. Przynajmniej nie tak, jak większość jego rówieśników.

W przedszkolu dzieci bawiły się w dom czy inne czynności, których w przyszłości miały znienawidzić. Waław musiał wiedzieć, że gotowanie

i prasowanie to nic, czym chciałby się zajmować teraz czy w przyszłości. Siedział więc i obserwował. Owszem, zapytany odpowiadał, a kiedy nauczycielka prosiła go o dołączenie do innych dzieci, robił to bez mrugnięcia okiem. Wolał jednak patrzeć i... I nie wiadomo, co dalej. Ważna była obserwacja sama w sobie, bez żadnego górnolotnego celu. W podstawówce, zamiast grać w piłkę nożną i ekscytować się mundialem we Włoszech, wpatrywać w kapitalne akcje Schillaciego czy Maradony – wolał pielęgnować pomidory na rodzinnym ogródku działkowym jego rodziców. Zamiast godzinami ganiać się po jeżyckich ulicach, bramach i piwnicach – wybierał czytanie przy otwartym oknie, przy gwarze rówieśników, który absolutnie mu nie przeszkadzał. Nie przeszkadzało mu to, że niektórych słów kompletnie nie rozumiał, nieraz też całe linie fabularne nie miały dla niego sensu. Lubił zapach papieru i widok liter układających się w zdania. Podobnie było w liceum, a później na studiach. Waław zawsze znajdował się z boku i wyglądał na kogoś, kto czegoś szuka. Czego jednak, tego nie wiedział nawet on sam. Trudno więc powiedzieć, ile dokładnie lat miał Waław. Może i sto, bo przynajmniej tak się czuł. Zmęczony niczym stetryczały, krzyczący na chmury za sam fakt ich istnienia stulatak. Odkąd pamiętał, czuł, że coś z nim jest nie tak, że jest jak ten mebel z Ikei, do którego ktoś zapomniał spakować kilku elementów, i teraz, po złożeniu, Waław nie był w pełni funkcjonalnym człowiekiem. Nie był kompletny.

Teraz siedział w tym wynajętym złomie i co pół godziny słuchał, jak w wiadomościach dziennikarze ekscytują się martwymi rybami w Odrze.

– Sebastian Staśkiewicz z Fundacji Ratuj Ryby powiedział mi, że na miejscu nie znalazł życia, znalazł za to mnóstwo śmierci. Posłuchajmy – relacjonował z głośników Mateusz Chłystun.

– Patrę w tej chwili na węgorza, który kolejny raz startuje do nurtu i czując pewnie, że tam nie jest w stanie po prostu oddychać i funkcjonować, wraca natychmiast na brzeg, wręcz chce wyskoczyć. Widzę mnóstwo...

Co widział Staśkiewicz, tego już Waław się nie dowiedział i dowiedzieć nie chciał. Sam czuł się jak taki niemogący oddychać węgorz. Może właśnie dlatego ruszył na tę wyprawę? Może to był jego brzeg? Tego nie wiedział, wiedział jednak, że dłużej tego pieprzenia nie zniesie. Wyłączył radio, ale po kilku minutach poczuł niesamowitą senność. Otworzył okna po stronie kierowcy i pasażera, żeby nocny chłód choć trochę go rozbudził.

– Ryby – powiedział pod nosem. – Czemu akurat ryby?

Miał wrażenie, że od dwóch lat symulacja zaczęła się sypać, że niektórzy z reptilian albo innych kosmitów odpowiedzialnych za ten cyrk zwany ludzkością zaczęli tworzyć związki zawodowe i praktykować strajk włoski. Albo zmienili scenarzystów na jakichś grafomanów wypluwających te szalone opowieści.

Najpierw covid, przez którego prawie wszyscy dostali jakiegoś pierdolca na niespotykaną skalę. Początkowo wierzył w wirusa, zaszył się w mieszkaniu, wychodził tylko wtedy, kiedy było to absolutnie niezbędne, w kieszeni wszystkich spodni, kurtek i bluz miał przygotowaną maseczkę, a na Allegro kupował płyny do dezynfekcji, nabijając kieszenie cwaniaków sprzedających je z astronomiczną marżą. Kiedy rząd sugerował mu się zaszczepić – zrobił to bez zająknięcia, choć jeśli czegoś w życiu się bał, to właśnie igieł. Później jednak zaczęły się nieścisłości. Na jaw zaczęły wychodzić wątki na respiratorach, imprezy w ministerialnych gabinetach w okresie absolutnego lockdownu, setki małych incydentów rozpędzających kulę śnieżną jego wątpliwości. Bo wtedy były to jedynie wątpliwości.

Kiedy jednak nadeszła wojna w Ukrainie, wirus znikł. Wyparował, a wszystko wróciło do jako takiej normy. Nie mógł przyjąć żadnych Ukraińców do swojego mieszkania, ale pomagał tyle, ile mógł, i tak, jak potrafił. Raz nawet pokłócił się z kimś w internecie o rzucanie słów takich jak „banderowiec”. Interlokutor, po krótkiej, acz burzliwej wymianie zdań, obiecał, że już niedługo odwiedzi Wacława osobiście i pokaże mu prawdziwą polską siłę. Wacław trochę się bał, ale rozmówca nigdy obietnicy nie dotrzymał.

Wojna trwała i trwała, dopóki ryby w Odrze nie zaczęły umierać. I nagle puf! Wojna niet. Miał nieodparte wrażenie, że jest okłamywany. Że reptilianie siedzą w swoim jaszczurzym biurze, rzucają coraz głępszymi pomysłami i wdrażają je w życie. A on, tak jak zawsze, robi to, czego się od niego oczekuje. Teraz oczekiwano, że pojawi się na Śląsku, więc ku nikogo zaskoczeniu – jechał na Śląsk. Nigdy wcześniej tu nie był, nie miał takiej potrzeby ani tym bardziej chęci. Śląsk kojarzył mu się jedynie z tym dziwnym etnolektem, gdzie połączenie liter „rzy” wymawia się „rzi”, oraz z węglem i modrą kapustą. Tyle. Zdawał sobie sprawę ze swojej ignorancji, ale było mu z nią dobrze. Pewnie lokalsi również ją wykazują, mówiąc o Pyrlandii, pomyślał i głośno ziewnął.

Oddychał nosem, głęboko, wciąż pokładając nadzieję w tym, że rześkie, nocne powietrze wygoni chęć zaśnięcia. Karcia mówiła w takich momentach, żeby zjechać na stację albo parking i uciąć sobie krótką drzemkę. Lepsze to niż śmierć, mówiła. Mówiła, czas przeszedł. Wacław i tak nigdy jej nie słuchał, nie czułby się komfortowo, śpiąc w miejscu, gdzie byłby łatwym kąskiem dla złodziei. A może i morderców, kto ich tam wie.

Ziewał coraz częściej, a powieki stawały się cięższe i cięższe. Najpierw zamknął je na kilka sekund, droga była przecież pusta i relatywnie prosta. Ciemność, ta całkowita, dawała ukojenie, zapraszała do dłuższego pobytu w jej cudownej krainie, w której wszystko i wszyscy są równi. Spojrzał na drogę, później na telefon. Wciąż prosto. Żałował, jak zwykle zresztą, swojego wyboru.

Przyoszczędził na samochodzie, a należało wynająć tesłę z autonomicznym autopilotem i nie przejmować się zbytnio ciężkimi oczami.

Znowu zamknął powieki, nie miał pojęcia na jak długo. Ciemność mamiała, nęciła swoją dobrocią i obietnicą spokoju. Może i wiecznego. Przeniósł się do jej dominium i było mu tu bardzo dobrze, dopóki nie zjawił się on. Sen. Nienawidził go i nienawidził jego mocy. Bo Sen, często przecież działający w duecie z Ciemnością, okazał się jej przeciwieństwem. W jego działaniach nie było ani krzty dobroci, a jedyne, co obiecywał, to ból i cierpienie. Cierpienie, na które – pomimo licznych zapewnień – Waław nie czuł się gotowy.

Sen znowu wyprosił Ciemność i zaczął wysyłać do jego głowy obrazy. Obrazy, które niczym nasączone trucizną sztylety nie trafiały prosto w serce, a jedynie raniły ciało, obiecując długą i bolesną agonię. Tamto zdarzenie było jego katastrofą eschatologiczną, na której awangardzie mknęli jeźdźcy prywatnej apokalipsy. Bo jeśli istnieje apokalipsa, to tylko taka. Dotykająca jednostki.

W przypadku Waława jeźdźcami nie byli Wojna, Zaraza, Głód i Śmierć, nie nieśli oni tak złowrogich i budzących przerażenie imion, o nie. Jego jeźdźcy byli dużo bardziej banalni i być może właśnie przez to nawet groźniejsi.

Ziemiaki. Awokado. Worki na śmieci. Grana padano.

Nazwa tego ostatniego brzmiała jak włoski zabójca na zlecenie, ale reszta? Ziemiaki. Awokado. Worki na śmieci. Grana padano. Znowu to widział i znowu Sen zepchnął go w świat, który nie mógł być niczym innym jak Pandemonium. Ziemiaki. Awokado. Worki na śmieci. Grana padano. Tym razem widział coś jeszcze, mrugające światła. Jakby latarnie wzywające go do brzegu, do ostatecznego bezpieczeństwa. Do uszu zaczęły docierać strzępy dźwięków, czegoś w rodzaju syren alarmowych wwiercających się w bębunki.

Obudził się i w ostatniej chwili odbił, omijając jadący z naprzeciwka samochód. Ostro zahamował. Tętno przekroczyło wartość maksymalną dla jego wieku. Spocone dłonie trzymał kurczowo na kierownicy. Po chwili zdał sobie sprawę, że były to automatyczne odruchy jego ciała, do głosu doszedł gadzi mózg. Nie przejmował się, że już mógłby nie żyć. W innym uniwersum pewnie tak jest. Trochę zazdrościł tamtemu sobie. Bo każdego dnia pytał sam siebie, czy bliżej mu do tchórza, czy bohatera. Nie mógł zdecydować.

Spojrzał na telefon, Google Maps twierdził, że do hotelu zostało kilka minut. Z ulicy Wodzisławskiej zjechał w Mikołaja Witczaka. Obiecał sobie, że później sprawdzi, kim był ów Witczak, zawsze tak robił, jeśli nie kojarzył człowieka, od którego nazwiska nazwano ulicę. Nigdy nie zrozumiał tego dziwnego sposobu na upamiętnianie kogoś. Bardziej trafiało do niego jakieś banalne nazewnictwo. Przecież ulica Długa czy Krótka brzmi dużo lepiej niż nazwisko jakiegoś typa. Przecież po tej ulicy jeżdżą auta, przy których Niemiec płakał, jak sprzedawał.

Popowodziowe graty gubiące olej szybciej niż ten ulatniający się z głów głośujących na jedyną słuszną partię. Chodzą po niej ludzie, którzy chwilę wcześniej, gdy szli przez skwer nazwany po jeszcze innym typie, wdepnęli w psie gówno i roznoszą je po całym mieście, smarując owym gównem imię papieża, Prezesa czy innego Włczaka.

Malarz pewnie jakiś, pomyślał, gdy znalazł się na wysokości basenu miejskiego. Wtedy zrównało się z nim jakieś auto. Przekonany, że to kierowca, w którego chwilę temu by wjechał, otworzył okno. Chciał pomachać i przeprosić – nie był gotowy na dłuższą konfrontację i wymianę zdań. Z chronologią kolejnych zdarzeń miał mały problem. Nikt nawet nie uchylił szyby w tamtym aucie. Wacław poczuł uderzenie i znalazł się na poboczu, jadąc wprost na reklamę pizzerii Naro. Zdążył jeszcze pomyśleć, że naprawdę wiele by teraz dał za kawałek dobrego włoskiego specjału. Później wróciła Ciemność, a po niej ten skurwysyn Sen.

Ziemniaki.

Awokado.

Worki na śmieci.

Grana padano.

ROZDZIAŁ 2

– Miał pan dużo szczęścia, panie...

– Wolf.

– No tak, no tak. Fajne nazwisko. Zęby wilcze, ale zgryz zajęczy.

– Słucham?

– *Nic śmiesznego.*

– Też tak uważam.

– Co?

– Co?

– Ten tekst o zębach. To z filmu *Nic śmiesznego*. No wie pan. Wolf, wilczy. Tak mi się skojarzyło. Nie widział pan?

– Nie widziałem.

– Fajny. Śmieszny nawet.

– A podobno nic śmiesznego.

– No tak, ale to tylko tytuł taki, sam film jest...

– Wiem, panie doktorze. To żart. Ha, ha. Boki zrywać.

Wacław podniósł się wyżej na łóżku, lewą ręką poprawił poduszkę. Prawa była niedysponowana. Lekarz, chudy jak patyk i wyjątkowo niski, starszy mężczyzna, sam wyglądał na potrzebującego pomocy medycznej. Sucha skóra sprawiała wrażenie, jakby miała zaraz popękać, jakby medyka pokrywał jakiś wiekowy papirus. I tak jak na papirusie znajdowały się na niej hieroglify. Na przedramieniu lekarz wytatuowane miał jakieś dwa skrzyżowane ze sobą narzędzia, a pod nimi

wieniec laurowy. Tatuaz musiał być równie stary jak jego właściciel, tusz bowiem zrobił się zielonkawy. Chyba że taki właśnie miał być.

– W każdym razie – zaczął ponownie wysuszony jegomość – szczęście. Musi go mieć pan sporo.

– Przypuszczam, że wątpię.

– Co się stało na tej drodze? Przysnęło się?

Wacław przez chwilę tak myślał. Kiedy ratownicy medyczni wyciągali go z rozbitego auta, a wzrok ponownie łapał ostrość na odpalonych policyjnych kogutach, był przekonany, że zjechał z drogi sam. A chwilę wcześniej – spowodowałby tę krakę, czy nie spowodowałby? Pamięć potrafiła być zawodna, szczególnie kiedy przeżyło się wypadek samochodowy. Wypadek, złe słowo. Egzekucja. Pytanie tylko, czy faktycznie ktoś zepchnął go z drogi, czy to jego id próbowało zaspokoić potrzebę śmierci.

– Zresztą – podjął lekarz, nie mogąc doczekać się odpowiedzi – nie moja sprawa. My tu tylko ratujemy życie, czy się tego chce, czy nie. Szczęście. Proszę o tym pamiętać. Jego pokłady potrafią się bardzo szybko wyczerpać. Niech pan odpoczywa. Jutro pewnie będzie wypis.

Dziwny typ, pomyślał Wacław, sięgając po telefon. Miał wrażenie, że doktor czuł od niego jakąś antypatię, jakby już sam fakt, że żył, było przewinieniem. Pewnie przez to, że jestem obcy, że nie urodziłem się, wdychając drobinki węgla.

Ekran telefonu poinformował go o dwóch nieodebranych połączeniach. Słyszał, że ktoś się dobija, ale przecież niegrzecznie byłoby odebrać, kiedy rozmawiał z lekarzem. Karcia często go za to opieprzała. Tymczasem ten świat nie nadaje się dla ludzi, którzy są zawsze mili, sympatyczni i ulegli. Tak naprawdę nigdy nie chodziło o grzeczność, nie. Wacław bał się, że lekarz uzna go za buca. Nie motywowało nim dobre wychowanie, a jedynie strach przed czyjąś oceną. Niby wiedział, że to jedynie efekt światła rampy, że przecenia swoją trzecioplanową rolę w cudzym życiu, ale pomimo wszystko chciał w oczach innych wyglądać dobrze. Dlatego teraz zaczął się stresować tym, co o nim pomyśli dobijający się do niego notariusz. Zanim oddzwonił, wziął kilka głębokich wdechów, mając nadzieję, że mężczyzna się nie obraził.

– Jak zdrowie, panie Wacku? – zapytał na wstępie notariusz, a w jego głosie słychać było szczerą radość. – Poskładali pana?

– Nie mieli za bardzo czego składać. Wystawiony bark. Wstrząśnienie mózgu. Nic poważnego.

Chciał być zły na notariusza, ale słysząc jego uradowany głos, po prostu nie umiał. Wacek. Nienawidził tego zdrobnienia. Wacka to się ma w spodniach, a on jest Wacław. Pewnie wystarczyłoby upomnieć sympatycznego notariusza,

grzecznie wyjaśnić, żeby nie używał takiej formy. Ale zwracanie komuś uwagi z powodu takich drobiazgów? Nie chciał wyjść na małostkowego.

Zresztą mogło być gorzej. Mógł urodzić się w czasach Brajanów, Kewinów czy innych Hawierów. W porównaniu do tych obrzydliwości, których Rada Języka Polskiego powinna zakazać, Wacek nie brzmiał źle.

– Dobrze, panie Wacku, bo dwie takie tragedie, jedna po drugiej, to już byłby pech, straszny pech. No! – zakrzyknął uradowany rozmówca. – Musi pan mieć dużo szczęścia.

– Słyszę to drugi raz w ciągu ostatnich dziesięciu minut.

– Czyli prawda! To co, przekreśli pan do mnie, jak już opuści szpital? Widzimy się?

– Jasne. Chciałbym to już mieć za sobą.

– Rozumiem. Nie byliście ze sobą zbyt blisko, prawda?

Wacław nie chciał kontynuować tej rozmowy przez telefon. W gruncie rzeczy nie chciał jej kontynuować wcale. Jeszcze do niedawna nawet nie wiedział, że ma ciotkę Sabinę i że jego korzenie, przynajmniej w połowie, są na Śląsku. Że jego matka tutaj się urodziła i – to już mógł jedynie zakładać – spędziła jakąś część życia. Powiedziała mu o tym dopiero wtedy, gdy było pewne, że chemioterapia za wiele już nie zdziałała. Kiedy przestała się przejmować łysiną, denerwującą sąsiadką, odrobinę za ciasnymi butami, starym piekarnikiem, kurzem na meblach. Kiedy przestała przejmować się wszystkim. Kiedy śmierć przestała być abstrakcyjnym pojęciem, a czymś, co odwiedzi ją lada dzień, zaprosiła Wacława na kawę. Zażądała, żeby przyszedł sam, bez Karci. Nigdy za sobą nie przepadały. To, że Wacław się z nią ożenił, było jego największym buntem przeciwko matce. Ba, przeciwko komukolwiek.

Matka podała kawę i ciastka – zawsze były to delicje szampańskie o smaku pomarańczowym i zawsze starannie ułożone na talerzu. Nawet kiedy zżerał ją rak, nie potrafiła nie hiperfiksować się na nic nieznaczących detalach. Wtedy powiedziała mu, ile ma na koncie i komu sprzedać mieszkanie po jej śmierci. Tak, miała już kupca, którego sama znalazła. Wacław wielokrotnie chciał jej przerwać ten wywód, bardzo dla niego bolesny. Mówiła o tym z taką lekkością, jakby recytowała listę zakupów. Oznajmiła też, że na pogrzebie może się zjawić jej siostra Sabina, chociaż przypuszczalnie tego nie robi. Sabina mieszka w Jastrzębiu-Zdroju. Matka wyznała, że to jej rodzinne miasto. Stamtąd pochodzi. Tyle. Wrócili do konsumowania delicji. Nigdy wcześniej nie słyszał o żadnej ciotce ze strony matki. Wtedy się tym nie przejął i wiadomość o istnieniu Sabiny odłożył na półkę w mózgu, gdzie znajdowały się inne niewiele znaczące informacje.

Sabina nie pojawiła się na pogrzebie, zresztą mało kto się pojawił. Tak jak jego matka nigdy nie zaakceptowała Karci, tak rodzina jego ojca nigdy nie zaakceptowała matki. Dziwnie było przesiadywać u dziadków Wolfów i wysłuchiwać, jaka to mama jest beznadziejna. Jakim jest nierobem i jak ich syn marnuje sobie z nią życie. Z tego gadania wynikło sporo afer, największa chyba wtedy, gdy trzecioklasista Waław miał opisać swoich rodziców i w przypiływie jakiejś nagłej inspiracji użył dziadkowych słów. Te tarcia doprowadziły w końcu do słów, których nie da się cofnąć, do zachowań, po których zwykłe „przepraszam” nie wystarczy.

Pogrzeb matki był skromny. Wziął w nim udział Waław, Karcia i jej rodzice. Do tego kilku sąsiadów, i to raczej tych wścibskich, chcących jedynie zabić czas między wizytą w przychodni, wybieraniem wędlin w dino i narzekaniem na wszystko, czego nie rozumieją. Wtedy, kiedy sypali ziemię na trumnę, pomyślał o Sabinie. Cieszył się, że ostatecznie nie przyjechała, bo o czym niby miałyby z nią rozmawiać? Jak ugościć?

Nie spodziewał się, że po sześciu latach od pamiętej rozmowy z matką usłyszy o niej w radiu. Zakładał, że gdyby nie sezon ogórkowy w mediach, nie byłoby zbyt dużych szans na to, żeby ta informacja przebiła się do głównego nurtu. A jednak chyba nieźle pasowała do ryb z Odry. Jeśli chodzi o czas antenowy, Jastrzębie-Zdrój miało w tym tygodniu dobrą passę. Najpierw dziennikarze informowali o trzylatce, która wypadła z okna jednego z bloków przy ulicy Zielonej. Dziewczynka o pięknym imieniu Olimpia krzyczała wniebogłose, a zanim zadziałała ostateczna siła grawitacji, kurczowo trzymała się parapetu kuriozalnie silnymi, małymi dłońmi. Ten krzyk uratował jej życie, bo to właśnie dzięki niemu w odpowiednim miejscu znalazł się chłopak, Grzegorz. Spadająca z siódmego piętra dziewczynka wylądowała prosto w jego ramionach. Takie rzeczy to nawet w filmach się nie dzieją, pomyślał Waław. Kiedy więc nazwa śląskiego miasta po raz drugi trafiła na języki ogólnopolskich dziennikarzy, nabrał przekonania, że jest ono polskim Derry i grasuje w nim równie polski Pennywise. Skoro Waława namawiano, by wierzył w to, co obecnie dzieje się na świecie, to zmiennokształtny klaun z innego wymiaru nie wydawał się aż tak szalonym pomysłem.

– Dziś w nocy śląskim miastem wstrząsnął wybuch – ekscytował się reporter. – Na ulicy Boża Góra Prawa doszło prawdopodobnie, takie bowiem są wstępne ustalenia strażaków, do wybuchu butli z gazem, która była źle przechowywana. Jeden z domów jednorodzinnych znajdujących się w Jastrzębiu-Zdroju uległ praktycznie całkowitemu zniszczeniu. Jak się dowiedzieliśmy, życie straciła sześćdziesięciosiedmioletnia kobieta, która na co dzień...

– Ała! Możesz delikatniej?

Wacław przeprosił pacjenta i zamiast na serwisie informacyjnym ponownie skupił się na prawym mięśni podgrzebieniowym i stożku rotatorów. Leżący na kozetce olbrzymi mężczyzna był jego klientem już od kilku lat i Wacław nie mógł wyjść z podziwu, jaki ten człowiek zrobił progres. Pamiętał, kiedy przyszedł do jego gabinetu pierwszy raz. Po dwóch wizytach na siłowni bolało go wszystko i spanikował, bo nigdy wcześniej się tak nie czuł. Wacław tłumaczył mu wtedy, że nie jest masażystą, tylko fizjoterapeutą, ale gość wyglądał na tak bardzo przybitego, że nie potrafił mu odmówić i go przyjął.

Mężczyzna miał na imię Krzysiek i właśnie rozstał się z narzeczoną. Jak większość mężczyzn przeżywających porozstaniowy kryzys Krzysiek najpierw przez cały weekend balował z kumplami, a od poniedziałku obiecał sobie, że jego ciało stanie się świątynią. Z poniedziałku zrobił się czwartek i to w następnym tygodniu, ale zgodnie z daną sobie obietnicą odwiedził jedną z popularnych sieciowych siłowni. Raz w tygodniu pojawiał się u Wacława i naprawiali wyimaginowane kontuzje, a później poważne urazy. Średnica prawie każdego mięśnia w ciele Krzyśka rosła w tempie wykładniczym. Z jego opowiadań wynikało, że „pedalską sieciówkę dla bab i ciot” zamienił na „prawdziwą mordownię dla dzików”, gdzie przygotowywał się do jakiegoś konkursu debiutów kulturystycznych.

Wacław go lubił, a raczej lubił obserwować jego drogę. Za każdym razem, kiedy mężczyzna wchodził przez jego drzwi, widział tego przestraszonego, załamane Krzyśka, co na przestrzeni kilku lat stał się Krzysztofem, którego łapska powinny być zarejestrowane jako broń biała. Patrząc na niego, widział nadzieję również dla siebie. Może i on zdoła się wykaraskać z własnego bagna. Może zostanie czterdziestoletnim bykiem z siłowni i zamiast płakać nad własnym losem, będzie płakać nad tym, że tricepsy nie chcą rosnąć. Próbował skupić się na ciele Krzyśka, ale wciąż zastanawiał się, co się znowu stało w tym nieszczęsnym Jastrzębiu-Zdroju.

Po dwóch dniach zadzwonił do niego wesoły notariusz, Kacper Uszok. Nawet kiedy próbował być smutny i tłumaczył Wacławowi, co się stało z jego ciotką Sabiną i co należy teraz zrobić, brzmiał tak, jakby chciał opowiedzieć jakiś niezły dowcip.

Dom, który należał do ciotki Sabiny, eksplodował. Ta na wypadek własnej śmierci zostawiła nie tylko testament, lecz także list, właśnie do Wacława. Kilukrotnie pytał Uszoka, czy na pewno chodzi o niego, bo owszem, słyszał, że ktoś taki jak ciotka Sabina istnieje, ale nigdy w życiu jej nie widział. Wszystko jednak się zgadzało. Pomimo początkowych oporów wynajął więc samochód i ruszył ku nieznanemu, a nieznanie prawie odebrało mu życie.

To naprawdę wygląda na polskie Derry, pomyślał, przykładając głowę do poduszki. Najpierw cudem uratowany dzieciak, później ciotka, teraz miałem być ja. Tylko jakie pradawne zło może tu czyhać? Demon węglowy? Bóg rolady i modrej kapusty?

Do pokoju, który dzielił z dwoma innymi pacjentami, weszła pielęgniarka z pytaniem, czy któryś z nich chciałby coś na sen. Chcieli wszyscy. Hydroksyzyna za wiele Wacławowi nie pomogła, był to zbyt słaby oręż w walce z chrapaniem i jakąś durną polską komedią lecącą w telewizji na monety. Kiedy w końcu zasnął, nie śniło mu się absolutnie nic.

ROZDZIAŁ 3

– ...i rozumiesz, stanōłch na poboczu, coby sie odlać – opowiadał mu kolega z sali, którego imienia nigdy nie poznał. – Wielu mōg zech wypić? Może po pōł litra i trzy piwka. No i pech chcioł, iże jak wyjmōłch fiuta, to sie niefortunnie potknąłem ô włōsne galōty i śleciołch w przikopa. Dobrze, iże bōłch znieczulony, bo tak nogã połōmac to niełatwo, tak aby gōdali dōchtory. I widzisz, motyka jego mać, siedzã sam już drugi tydziyń, już miołch trzy ôperacyje. Durch coś tam sznupiōm w tyj nodze, zaś łōmiōm, zaś sznupiōm. Aby urlaub mōm ôd tyj mojij heksy. Na zicher niy chcesz zapōlić?

Wacław najpierw pokręcił głową, ale po kilku sekundach się zreflektował i poprosił o papierosa. Bezimienny wyciągnął z kieszeni szlafroka opakowanie tytoniu, a z niego gotowy już skręt. Sam zapach sprawił, że Wacławowi zakręciło się w głowie. Nie chciał jednak zrobić przykrości nowo poznanemu koledze, którego za kilka godzin pożegna i już nigdy więcej nie zobaczy.

Mój mózg jest zepsuty, pomyślał Wacław, zapalając papierosa i zaciągając się gęstym dymem. Kiedy ten znalazł się w płucach, Wacław zaniósł się kaszlem i ponownie zaczęło mu się kręcić w głowie. Czuł, jakby zaraz miał zwymiotować.

– Wybacz, dawno nie paliłem – powiedział i zaciągnął się ponownie. Tym razem poszło mu lepiej.

– Widzã. Ino zerkaj, eli żōdnō flyjgerka niy idzie, bo dostanymy po szłapach.

– Dobra, dobra. Zerkam. Ale to mocne.

– Co, cygaryta? Normalny chopie. Skōnd ty sie w cołkości wziąłeś, co? Niytukejszy chyba je żeś.

– No nie. Z Poznania przyjechałem.
– Na urlaub?
– Nie. Ciotka mi zmarła i coś dla mnie zostawiła.
– Moje kōndolyncyje. A znōm jã? Jak miano?
– W sensie nazwisko? Borowska Sabina.
– Ta z Bożyj Gōry?
– Dokładnie ta. Znał ją pan?
– Boże Świynty! Panie, ôkropicznõ to tragedyjõ! Cołke miasto ô tym gõdõ!
Calutkie! Biydnõ kobyta, świyć Panie nad jeji duszõm. Wiadõmo, co to tam sie
zadziało?

– Tyle wiem, co i pewnie całe miasto. Coś z butlą gazową. Prawdopodobnie się
rozszczelniła. Technicy chyba jeszcze to sprawdzają.

Wacław bardzo chciał mu powiedzieć, że to nie jego interes i niech lepiej nie
jeździ po pijaku, ale jak zwykle – nie potrafił odmówić. Poza tym skoro całe
miasto o tym gada, to musi się przygotować na setki tego typu pytań. Miał nadzieję,
że jutro, góra pojutrze wróci do siebie i swojego nudnego życia.

Bezimienny poklepał go po ramieniu, dłoń miał ciężką i dużą. Tak właśnie
wyobrażał sobie Wacław chłopca śląskiego. Duży, silny i żywiący się dymem.

– Terõz tanti je w lepszym placowi. A kedy ôdbydzie sie...

– Idzie! Siostra idzie! – krzyknął Wacław, z bólem serca przerywając swojemu
rozmówcy.

Wyrzucili niedopałki, a przygotowany na każdą ewentualność nowy znajomy
z drugiej kieszeni szlafroka wyciągnął małą perfumetkę i szaleńczo popsikał
siebie, Wacława i powietrze wokół nich.

– A panowie co tu robią? Nudzi się wam? – zapytała piskliwym głosem
pielęgniarka. Była wściekła. – Przecież tu nie wolno wychodzić!

– Trochã świyzgego luftu chcieli my chycić. U nõs w izby jedyn chop niy dbõ ô
higinię – powiedział Ślązak, łapiąc za swoje kule.

Tymczasem Wacław stał jak zamurowany i strasznie chciało mu się
wymiotować.

– Mhm. Czy wy myślicie, że jesteśmy tu głupi? Przecież tu papierochami
cuchnie! I jakimiś tanimi perfumami! Gorzej niż dzieci! A pan, jak będzie łąził z tą
nogą, to się nigdy nie wyleczy!

Wacław na chwilę zamknął oczy, ale nudności tylko się nasiliły. Bardzo chciał
wrócić do pokoju i położyć się na łóżku. Stał jednak w miejscu i słuchał wymiany
zdań między pielęgniarką a palaczem. Żadne z nich nie robiło tego pierwszy raz.
Miał tylko nadzieję, że nie będzie musiał się włączyć w tę konwersację, bo
mogłoby się to skończyć nieciekawie. Konwersację, która zresztą była na swój
sposób fascynująca, bo początkowa agresja szybko uleciała i teraz rozmawiali ze

sobą tak, jakby znali się całe życie. O czym, tego już Waław nie wiedział. Przed oczami zaczęły mu wirować kolorowe plamy, a całe ciało pokryło się potem.

– A pan co taki blady się zrobił? Wszystko w porządku?

Waław jedynie pokiwał głową, zaciskając zęby i połykając ślinę. Ten sposób zawsze się sprawdzał, kiedy wypił odrobinę za dużo, a zawartość żołądka bardzo chciała się wydostać przednim wejściem.

– Na pewno? Może lepiej będzie, jak...

Tego już się nie dowiedzieli. Waław nie wytrzymał, a różowe scrubsy pielęgniarki pokryły się wymiocinami. Od razu poczuł się lepiej fizycznie, ale jedyne, na co miał ochotę, to zapaść się pod ziemię. Kolega z pokoju parsknął śmiechem, ale widząc na sobie karcący wzrok pielęgniarki, przybrał poważną minę i pokręcił głową z dezaprobatą.

– Ja... – zaczął Waław i wytarł rękawem usta – bardzo przepraszam, nie chciałem.

– No, ja myślę! – ryknęła pielęgniarka. – Gorzej, jakbyś chciał! Pite było? Ja z wami oszaleję, durne chopy!

– Palone było...

– Koniec tego dobrego, wynocha do siebie! I biada, jak któregoś z was zobaczę szlajającego się po korytarzu!

Wrócili do swojego pokoju, bezimienny kompan czerwony ze śmiechu, a Waław nadal blady jak ściana. Rzucił się na łóżko, schował głowę w poduszkę i czekał, aż będzie mógł opuścić szpital.

Z budynku wyszedł po trzynastej. Słońce stało wysoko i absolutnie nie brało jeńców. Okulary przeciwsłoneczne zostały w samochodzie. Dopiero teraz dotarło do niego, że będzie jeszcze musiał się użerać z firmą, która wypożyczyła mu auto. Nie mógł sobie pozwolić – szczególnie teraz – by cała ta wyprawa skończyła się na finansowym minusie. Miał ochotę zadzwonić do Karci, ale o tej godzinie jeszcze była w pracy. Poza tym pewnie i tak nie chciałyby z nim gadać. Prawdą a Bogiem to nie miał z kim usiąść i szczerze porozmawiać, od serca. Nie miał prawdziwych przyjaciół, a koledzy przychodzili i odchodzili. Jakoś nigdy nie zabiegał o grono znajomych, nie potrafił zbliżyć się do kogoś na tyle, żeby móc się komfortowo zwierzać z największych tajemnic. Nigdy, nie licząc Karci, ale to już czas przeszły.

Zamiast do niej dzwonić, odpalił Google Maps i wpisał adres swojego celu – hotel Dąbrówka. Na piechotę jedynie dwa kilometry; stwierdził, że przyda mu się spacer. Nie miał ochoty odpowiadać na pytania wścibskiego taksówkarza, poza

tym – uwielbiał upał. Nie ciepło, ale upał właśnie. Kochał, kiedy było tak gorąco, że psom nie wolno wychodzić na spacer, lody topiły się w mgnieniu oka, podobnie jak asfalt, a osiedlowe dresy zrzucały górę i woziły się jak rezusy, prezentując muskulaturę i tatuaże mówiące o tym, kto może ich sądzić. Uwielbiał zasypiać latem pod lekkim kocem i tulić się do Karci, uwielbiał uczucie klejących się do siebie ciał. Nie było w tym nic erotycznego, ot taka preferencja. Ze szpitala szedł aleją Jana Pawła II, po prawej stronie mijając jakiś kompleks sportowy. Na przynależnym do niego parkingu dzieciaki jeździły na deskorolkach, a z przenośnego głośnika leciał jakiś rap, którego on już nie rozumiał i zrozumieć nie mógł. Czterdziestoletni koleś bujający głową do rymów hulanki szklanki? Bez przesady. Przez cały czas coś uwierało go w głowie, jakby symulacja znowu szwankowała.

W końcu jest sezon urlopowy, pomyślał. Widocznie reptilianie również preferują wakacje w najgorętszą z pór roku. Logiczne, jaszczury lubią słońko.

Po kilkuset metrach zdał sobie sprawę, o co chodzi. Zieleń sprawiała wrażenie zbyt intensywnej, a kolor drzew kontrastował z błękitnym, bezchmurnym niebem. Może kiedy był nieprzytomny, to reptilianie zamknęli go w jakimś olbrzymim studiu filmowym, jak w *Truman Show*? Boże, jak on uwielbiał ten film!

Ta myśl nie dawała mu spokoju. W końcu podszedł do jednego z drzew, dotknął jego kory i liści. Jak nic prawdziwe. Zastanawiał się, czy go nie przytulić, Karcia zawsze twierdziła, że to uspokaja. Miała w swoim życiu newage'owy okres, kiedy szukała ukojenia w różnych dziwnych rzeczach, a on jej w tym nie przeszkadzał.

Z miejsca, w którym stał, widać było jak na dłoni Beskid Śląski i jego najwyższą górę, Skrzyczne. Pięknie tu, pomyślał Waław. Czuł się nie jak na robotniczym Śląsku, tylko w jednej z urokliwych podgórszych miejscowości, które oboje z Karcia tak lubili odwiedzać.

Przejeżdżające ciągnącą się wzdłuż drogi ścieżką rowerową dzieciaki coś do niego krzyczały, ale nie do końca zrozumiał co. Wyłapał jedynie słowo „pijak”. Ruszył dalej, delektując się upałem. Zero wiatru, powietrze ruszało się jedynie wtedy, kiedy ulicą przemknęło jakieś większe auto. Ponownie spojrzał w niebo, które na pierwszy rzut oka było jeszcze mniej realistyczne niż drzewa. Zbyt idealne, żadnych chmur, żadnych śladów samolotów, żadnych smug chemicznych. Z każdym kolejnym krokiem zdawał sobie sprawę, jak bardzo pagórkowate jest to miasto i na jakim trudnym terenie stanęło. Jary, a w nich bloki z wielkiej płyty – poczuł w tym dzieło jakiegoś szalonego, ale bardzo kreatywnego demiurga. Z ulicy Armii Krajowej skręcił w Karola Miarki. Kolejne nazwisko do sprawdzenia, pomyślał Waław, i wtedy podszedł do niego starszy mężczyzna w okularach przypominających te noszone przez Stępnia z *Trzynastego posterunku*.

– Panie, nie wiesz pan, gdzie tu jest najbliższe dino? – zapytał z uśmiechem nieznamy, wycierając sobie czoło chusteczką.

Wacław dawno nie widział klasycznych, bawełnianych chusteczek, takich, jakich używała jego matka. Gość wydawał się niegroźny, ale z drugiej strony – kto w dzisiejszych czasach pyta o drogę? I to obcego na ulicy? Wacław był przyzwyczajony do dużego miasta, gdzie preferuje się styl pochylonej głowy, zazwyczaj nad smartfonem, i alienację od dźwięków zewnętrznych. Zachowywał się dokładnie tak samo, ale tym razem jego słuchawki zostały w samochodzie. Rozejrzał się dookoła, nic nie wskazywało na to, żeby dziadek był członkiem jakiegoś gangu napadającego na przechodniów. Najwyraźniej faktycznie chciał się dowiedzieć którędy do marketu.

– Nie mam pojęcia, nie jestem stąd. Mogę panu sprawdzić w aplikacji.

– Wew czym?!

– W takim... Nieważne. Zaraz panu powiem.

– Zobowiązany będę. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i znowu wytarł czoło chusteczką.

Według Google Maps najbliższy sklep Dino znajdował się daleko stąd. Wacław próbował wytłumaczyć nieznanemu drogę. Niestety, zerowa znajomość topografii miasta nie ułatwiała tego zadania. Skończyło się na tym, że podał mężczyźnie jedynie adres. Tamten, uradowany, mocno uściśnął mu dłoń i poszedł w swoją stronę, marudząc coś pod nosem o pieprzonych promocjach na indyka. Jak na razie Ślązacy jawili mu się jako otwarci i rozgadani. Może archetyp silnego i milczącego śląskiego twardziela istniał jedynie w jego głowie? Silnego to na pewno, uścisk czuł do teraz.

Wacław ruszył dalej, a kiedy w końcu skręcił w ulicę, przy której miał znajdować się hotel, zaklął pod nosem. To nie była ulica, tylko jeden wielki plac budowy. Wszędzie kręcili się budowlańcy mówiący biegle w dwóch językach, a odgródzone od reszty przejście dla pieszych pękało w szwach. Jeśli czegoś nienawidził, to dźwięków budowy z samego rana. Mieszkał w Poznaniu, stolicy remontów, i miał ich już serdecznie dość. Jego niezadowolenie szybko jednak ustąpiło miejsca zachwytowi, ponieważ wzdłuż ulicy ciągnął się park, który z jego perspektywy wyglądał niczym las, a wpadające przez gęste liście drzew światło tworzyło urokliwy klimat.

Okazało się, że hotel schowany jest w głębi ulicy, a za nim znajduje się kolejny park. Wacław, rezerwując pokój, nie miał pojęcia, że będzie mieszkał między dwoma tak pięknymi terenami zielonymi. Zastanawiał się, dlaczego matka stąd wyjechała i nigdy o tym z nim nie rozmawiała. Gdzie ten węgiel, gdzie szyby kominowe, gdzie smutni, spracowani ludzie? Wszystko wyglądało nie tak, jak to sobie wyobrażał.

Kompleks hotelu Dąbrówka składał się z kilku budynków, recepcja znajdowała się w największym. Młoda dziewczyna za kontuarem uśmiechnęła się, pytając go, w czym może pomóc. To było to, czego dzisiaj potrzebował. Życzliwość obcych osób. Tylko obcych, bo przecież bliskich nie miał.

– Nazwisko? – zapytała, patrząc w ekran komputera.

– Wolf. Wacław.

– Mhm, zgadza się. Nie miał pan być u nas już wczoraj?

– Miałem. Coś jednak pokrzyżowało moje plany. To będzie jakiś problem?

– W żadnym wypadku. I zostaje pan... tylko do jutra? Ach, jest pan ze strony pana młodego czy panny młodej?

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Nie przyjechał pan na wesele? Tak założyłam, skoro jest pan tylko do jutra.

– N-nie. Przepraszam, będzie tu dzisiaj wesele?

– Jasne. Dzisiaj, jutro i pojutrze. Mamy sezon weselny w pełni, tyle pięknych aut podjeżdża, tyle pięknych sukni. Jak z bajki.

– Chyba nie mojej – burknął pod nosem. Jeśli czegoś nienawidził bardziej niż odgłosów budowy, to odgłosów wesel.

– Słucham?

– Nieważne. Jaki mam numer pokoju?

– Trzysta jeden, w Willi I. To ten mniejszy budynek.

– Dziękuję.

Wyszedł na zewnątrz i przysiadł na ławeczce. Bolała go ręka i głowa, z tego wszystkiego zapomniał nawet kupić wodę, tak zaaferował go wygląd Jastrzębia-Zdroju. Dlaczego matka nigdy mu o nim nie mówiła? Początkowo myślał, że się wstydziła, że będzie to najbrzydsze miasto świata, gdzie panem i władcą jest smog blokujący mieszkańcom dostęp do słońca. Tymczasem było tu naprawdę urokliwie. Doprawdy, nie rozumiał tajemniczości matki.

Minęła czternasta, do spotkania z notariuszem miał jeszcze półtorej godziny. Najchętniej spędziłby je w parku (może skontrolowałyby jeszcze kilka drzew pod kątem prawdziwości), ale był mokry jak szczur i co więcej – śmierdział jak stare dziady w sobotniej kolejce w Lidlu. Posiedział więc na ławeczce jeszcze kilka minut, delektując się słońcem. Naraz pacnął się w czoło, zorientowawszy się, czego zapomniał. Wrócił do głównego budynku, poprosił o klucz, podziękował i wyszedł.

Nie usłyszał już, jak recepcjonistka melduje komuś, że Wacław właśnie dotarł.

ROZDZIAŁ 4

Po raz kolejny uśmiechnęło się do niego szczęście – okazało się, że kancelaria notarialna Uszoka znajdowała się przy tej samej ulicy, co hotel. Spacerował przy akompaniamencie młotów pneumatycznych, koparek, przecinarek i sygnału cofania samochodu dostawczego. Nad całością tej kakofonicznej kompozycji czuwał dyrygent w białym kasku, który zamiast batuty używał słów powszechnie uważanych za niecenzuralne. Operator pneumatyki był prawdziwym wirtuozem w tym, co robił. Kiedy wydawało się, że brzmienie z jego instrumentu osiągnęło apogeum, on zaczynał demoniczne *crescendo*, dźwięk przestawał być jednostajny, a do uszu docierały rwane, coraz głośniejsze echa jego pracy. Kiedy zaczynał *diminuendo*, można było usłyszeć mieszkańców okolicznych kamienic, starających się komunikować wśród tego kontrolowanego chaosu.

– Nie zapomnij pieczarek! – ryknęła matrona śląskiego rodu do wnuka, który liczył, że reszta z zakupów pozwoli mu kupić hot doga z Żabki.

– Co?! – dopytywał wnuk, ale „o” ginęło już w *allegro* sonaty pneumatycznej.

– Byłeś z psem?! – Młoda kobieta próbowała dowiedzieć się, czy jej ukochana Intryga miała okazję zrobić to, co psy robią na trawnikach, ale spieszący się do pracy partner dziewczyny pokazał jedynie na uszy i pobiegł do czekającego na niego kumpla. Tak naprawdę nienawidził Intrygi, nie lubił psów w ogóle. Nie wyszedł z nią specjalnie, niech cierpi durna suka. To odwet za pogryziony kabel od iPhone’a. Nie wiedział, że kolejna rzecz, do której dobierze się Intryga, będzie dużo cenniejsza.

To wszystko mogło, ale nie musiało się wydarzyć. Waław lubił obserwować ludzi i dorabiać im linie dialogowe, pisać całe scenariusze zachowań. Nauczył się tego, jeżdżąc komunikacją miejską i spędzając pół życia na przystankach. Może minął się z powołaniem i powinien pisać? Musiałaby istnieć publika lubiąca nudę. Stworzyłby nowy gatunek, Wielką Nudną Nowelę, chociaż takowy chyba już istniał i zaliczały się do niego prawie wszystkie lektury szkolne. Szedł więc niespiesznie, tak jak płynęłaby narracja jego dzieł, i nadawał mieszkańcom Jastrzębia Waławowego charakteru.

Na skrzyżowaniu ulic Witczaka, Kościuszki i 1 Maja zauważył napis, który byłby ostatnim, co widział w życiu. Naro Pizza kusila zapachem, przechodząc obok, rzucił okiem na talerze klientów i dopiero wtedy poczuł, jak bardzo jest głodny. Czas był jednak nieubłagany, zegarek wskazywał 15.23, a on nienawidził się spóźniać, nawet gdy chodziło o zaledwie kilka minut. Karcia twierdziła, że czas tak naprawdę nie istnieje, to tylko społeczny konstrukt stworzony, żeby żyło się łatwiej. Obraziła się na niego, kiedy odpowiedział jej, że skoro czas nie istnieje, to każde pokolenie z piosenki Kombi ma solidnie przesrane. Obiecał sobie, że wróci do Naro Pizzy wieczorem, chyba że będzie spory tłok. To była kolejna rzecz z jego listy „Nienawidzę najbardziej na świecie” – restauracje i knajpy pełne ludzi. Najgorsze były te hipsterskie wegańskie jadłodajnie, w których jacyś geniusze poustawiali stolik przy stoliku tak, że nie dało się przejść do kibla bez zahaczania o czyjeś plecy, rękę czy głowę. Kiedy już zgodził się pójść do takiego przybytku, to milczał. Miał wrażenie, że wszyscy wokół gwałcą jego prywatność i podsłuchują każde słowo. Absurd, ale nie potrafił inaczej.

W budynku oprócz kancelarii Uszoka znajdowało się biuro rachunkowe, siedziby mieli też architekci, prawnicy i dietetyk. Brakuje im tylko fizjoterapeuty, pomyślał Waław, pukając do drzwi. Wszedł do środka. Za biurkiem siedziała starsza kobieta, która jedynie rzuciła na niego okiem i wróciła do swoich – tak przynajmniej zakładał – obowiązków.

– Dzień dobry – powiedział Waław, zbierając się na uśmiech. – Ja do pana Uszoka.

– Mhm. Nazwisko? – Wciąż wpatrywała się w monitor, wściekle klikając w coś myszką.

Miała mocny makijaż, a jej cień do powiek nie tylko podkreślał kolor oczu, lecz także idealnie pasował do garsonki. Wyobraził sobie, że kobieta ma w mieszkaniu olbrzymią garderobę, a w niej wyłącznie garsonki. Całość była skomputeryzowana, na laptopie wystarczyło wybrać kolor z listy albo wpisać jego kod HTML. Dziś pani asystentka notariusza wybrała #C71585, MediumVioletRed. Podobnie sytuacja miała się w łazience, gdzie...

– Nazwisko – powtórzyła głośniej, wyrywając go z zamyślenia.

– Wolf. Waclaw Wolf.

– Mhm. Siądzie pan. Moje kondolencje. Znałam Sabinę z Legionu Maryi.

– Przepraszam, z czego? – zapytał zdziwiony. Przed oczami miał armię starszych kobiet w kolorowych garsonkach, w ich oczach płonął ogień, w dłoniach dzierżyły parasolki i laski zakończone szpikulcami.

– Z kościoła – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od monitora. – No niech pan siądzie w końcu. Mąż zaraz pana przyjmie.

Trudno było uwierzyć, że ta nieprzyjemna kobieta jest żoną wesołego notariusza. Ludzie twierdzą, że przeciwieństwa się przyciągają, z własnego przykładu wywnioskował, że jest to wierutną bzdurą. To zawsze się kończy na dwa sposoby – albo jedna ze stron podniesie białą flagę i skapituluje, uznając wyższość drugiej, albo to wszystko w końcu wybuchnie. Jak dom ciotki Sabiny. Waclaw postawiłby każde pieniądze, że w tym wypadku to pan Uszok przegrał walkę.

Notariusz wyszedł z gabinetu po kilku minutach. Wyglądał dokładnie tak, jak Waclaw go sobie wyobrażał. Krępy, biała koszula opinała mu się na brzuchu. Na nosie miał okulary w grubych – o dziwo modnych – oprawkach, a jego kwadratowa szczęka sprawiała, że kogoś mu przypominał. Janusz Palikot jak ta lala. Całości dopełniał tweedowy, odrobinę za mały, garnitur oraz jedwabna, wielokolorowa mucha. Z brustaszy wystawała poszetka, ewidentnie wybrana przez żonę. Tak, zdecydował Waclaw, Kacper Uszok miał założone chomąto i pewnie mu się to podobało.

– Panie Wacku! – powiedział entuzjastycznie, jak tylko go zobaczył. – Jak dobrze, że jest pan cały i zdrowy! Jak ręka?

– To tylko zwichnięty bark. Sam nad takimi pracowałem.

– No tak, no tak, panie Wacku, przecież pan jest z branży medycznej. A jak już jesteśmy przy tym, panie Wacku, to mógłbym mieć do pana taką małą sprawę? Bo widzi pan – kontynuował Uszok, nie czekając na odpowiedź – kiedy się schylam, to tutaj, z lewej strony, o tutaj, zaraz nad...

– Kacper! – syknęła pani Uszokowa, a jej mąż aż podskoczył.

– No tak, no tak, pan wybaczy, panie Wacku, najpierw praca, a później może mi pan pomoże? No, zapraszam, zapraszam. Coś do picia? Kawka? Herbatka? Woda?

– Dzięki, nie trzeba.

– Na pewno? No dobrze, dobrze. Proszę, zapraszam. Na pewno chce pan mieć to już za sobą, tym bardziej że ma pan jeszcze tak dużo do załatwienia, a szykowanie pochówku to przecież nic przyjemnego, nawet jeśli nie byliście blisko. No dobrze, panie Wacku...

– Zaraz, zaraz. Przepraszam, powiedział pan pochówku? W sensie pogrzebu? Ja?

– No tak, pan. Zresztą, panie Wacku – Uszok się uśmiechnął – zaraz do tego wszystkiego dojdziemy. No, niech pan spocznie.

W gabinecie, oprócz polskiego godła, wisiał portret jedyne go słusznego papieża oraz zdjęcie młodego mężczyzny w jakimś dziwnym mundurze i czapce z pióropuszem. Waclaw z natury nie był wścibski, ale zaintrygowało go to zabawne nakrycie głowy. Facet ze zdjęcia musiał być Uszokiem – jakieś dwadzieścia lat i trzydzieści kilogramów temu.

Notariusz zauważył zainteresowanie, dumnie wypiął pierś i poprawił okulary.

– To pan? – zapytał Waclaw, mierząc go wzrokiem.

– A gdzie tam, panie Wacku! To mój syn, Rajnhold. Duma moja największa. Jedynek, ale porządnie chowany, po naszymu. Pan ma dzieci, panie Wacku?

Waclaw jedynie pokręcił smutno głową i pomyślał o Karci. Z bólem, ale musiał to przyznać – strasznie za nią tęsknił. Postanowił szybko zmienić temat.

– A ten mundur? Co oznacza?

– Holdek, syn w sensie, jest grubiorzem. Górnikiem, ma się rozumieć. Pan wybaczy, panie Wacku, ja wiem, że używam dziwnych słów w pana uszach, ale rzadko kiedy rozmawiam z ludźmi nie stąd. Dorobił się stanowiska maszynioka, no zdolna ta moja bestia. Bycie górnikiem to u nas w rodzinie ważna rzecz. Ojciec mój rok się do mnie nie odzywał, kiedy postanowiłem zajmować się czymś innym. Ale o czym to ja... A! Mundur! To jest właśnie, panie Wacku, bergmũńok. Mundur galowy naszych grubiorzy! Pięknie w nim wygląda, prawda? Rajnuś to przystojny chłopak. Po tacie! – rzekł uradowany Uszok.

– A to na pagonach? Takie skrzyżowane? Widziałem to już wczoraj u jednego lekarza.

– Lekarz ma pagony?

– Nie no, lekarz miał taki tatuaż.

– No to by mogło się zgadzać. Zobaczysz pan to, panie Wacku, jeszcze nie raz i nie dwa. To jest kupła, godło górnicze. Bardzo popularne u nas, bo to, tak mi się zdaje, już nie tylko symbol górnictwa, ale i całego Górnego Śląska. Powiem panu, że syn mój też ma kupłę na skórze. Pyrlik i żelazko, skrzyżowane, a pod nimi liście laurowe.

– Hmm. Ciekawe. – Waclaw wytarł czoło dłonią, w biurze notariusza było niesamowicie duszno. Uszokowi najwyraźniej ani trochę to nie przeszkadzało, pomimo że plamy potu przeniknęły na marynarkę. – Ten lekarz miał identyczny wzór.

– Tak jak mówiłem: symbol Śląska. No dobrze. – Uszok klasnął w dłonie i wziął z dużego, dębowego stołu jedną z teczek. – Panie Wacku, od tego w gruncie rzeczy powinienem zacząć. Moje najszczęśliwsze kondolencje. Nie znałem zbyt dobrze pana ciotki, ale żona mówiła, że była dobrym, bogobojnym człowiekiem.

Przyszła do mnie pięć, nie... sześć lat temu. Moment, panie Wacku, pan wybaczy, ale jestem dzisiaj strasznie rozkojarzony... O! Mam! Było to dokładnie dwunastego maja dwa tysiące szesnastego roku. Pani Sabina była wtedy...

– Zaraz, zaraz, moment, panie Kacprze. Na pewno się pan nie pomylił? – przerwał mu Waław.

Później tego żałował i wyrzucał to sobie całą drogę powrotną. Co sobie Uszok o nim pomyśli? Poza tym już zaczynał mówić jak on, miał ochotę wciskać w każde zdanie „panie Kacprze”. Waław był doskonałym przykładem na to, jak szybko potrafi zadziałać efekt kameleona. Działo się tak od podstawówki: jeśli jakiś z jego kolegów specyficznym akcentem mówił słowa, to Waław bardzo szybko podłapywał ten styl mówienia. Podobnie było z używaniem niektórych zwrotów, słów i całych zdań. Kiedyś skopiował, jeden do jednego, skrzeczący śmiech kioskarki, u której kupował papierosy dla mamy. Zawsze były to klubowe. Matka twierdziła, że te produkowane w Augustowie były lepsze niż te z Radomia. Zresztą, czy było coś, w czym Radom był lepszy od jakiegokolwiek innego miasta?

– Dlaczego pan dopytuje? – przerwał jego rozmyślenia Uszok. – Na zicher sprawdziłem. Coś nie tak?

– Tego dnia rzuciłem palenie – powiedział Waław i poczuł, że w pomieszczeniu zaczyna brakować tlenu.

– I to jest takie dziwne, panie Wacku? Zwyczajny zbieg okoliczności...

– Dzień wcześniej – kontynuował Waław – zmarła moja matka. Siostra Sabiny. Ona... ona wiedziała, że tego dnia pożegna się z życiem. Nie wiem skąd, ale wiedziała. Może to jakoś czuć, kto wie. Mówiła mi wtedy, że musi... – przełknął głośno ślinę, ale w ustach czuł jedynie suchość – że musi załatwić kilka spraw. Zamknęła się wtedy w swojej sypialni i... Przepraszam, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Przecież pana to kompletnie nie interesuje, panie Kacprze – zakończył siedzący w nim kameleon, przewracając dziwnym okiem i zmieniając kolor na Uszakowy.

– Panie Wacku – notariusz złożył dłonie jak do modlitwy, a obie swoje brody oparł o kciuki – żeby pan wiedział, o jakich rzeczach ja tu słyszę. Jakie dramaty się tutaj rozgrywają. Panie! Nie żebym sobie uzurpował prawo do bycia spowiednikiem, w żadnym wypadku, ja jestem katolikiem, i to nie tylko wtedy, kiedy jest to wygodne, o nie. Ale jeśli pan musi się komuś wygadać, to ja służę.

– Nie, po prostu... zaskoczyła mnie ta data. Dziwne.

– Może i dziwne, panie Wacku. A może zwyczajny zbieg okoliczności. Czy szanowna matka... również zginęła w tak dramatycznych okolicznościach?

– A są inne okoliczności śmierci? Mama zmarła na raka. Płuc. Dobra, nieważne.

– Waław był mokry od potu, jakby przed chwilą wyszedł spod prysznicy. – Możemy wrócić do konkretów.

– Jasne! – Uszok się uśmiechnął, a jego pogodne usposobienie wróciło jak za dotknięciem magicznej różdżki. Czy tam pyrlika. – No więc pani Sabina, świeć Panie nad jej duszą, przysłała do mnie dwunastego maja dwa tysiące szesnastego roku. Chciała napisać w mojej obecności testament, a jak próbowałem panu rzec, była dość... powiedzmy, że zaniepokojona.

– Dlaczego „powiedzmy”?

– No, jakby to panu wyłożyć...

– Najlepiej prosto z mostu. Tak jak mówiłem, nie byliśmy blisko.

– Nie wyglądała dobrze, ale zakładam, że właśnie dowiedziała się o śmierci ukochanej siostry. Tylko że... miała takie dzikie oczy. Siedziała tutaj, dokładnie tu, gdzie pan, nikogutko inkszego tu nie było, no bo jak to tak? A nieboszczka – przeżegnał się – co rusz oglądała się przez ramię. Widać było, że coś jej ciąży na duszy. W każdym razie spisaliśmy dokument, a pani Sabina zażyczyła sobie, żeby go otworzyć wyłącznie w pana obecności. Nie wiem dlaczego, nie mówiła, ale widzę, jak pan jest zdziwiony, panie Wacku. Rozumiem. Proszę, oto ten dokument.

– Uszok wyciągnął z teczki kartkę papieru i podał Wacławowi.

Sabina miała bardzo schludny charakter pisma, tak jakby starała się oszczędzić sobie pracy i wykonać jak najmniejszą liczbę ruchów. Nie wiedział, czy to duchota, czy widok tych wręcz higienicznych liter tak podobnych do stawianych przez jego matkę, ale coś zaparło mu dech w piersiach.

– Przepraszam – wysapał Wacław z trudem. – Czy mógłbym jednak poprosić o szklankę wody, panie Kacprze?

– Już nalewam!

– Dziękuję.

Wypił wodę jednym haustem i gestem poprosił o kolejną, a następnie skupił się na testamencie ciotki Sabiny.

Ja, niżej podpisana Sabina Borowska, zamieszkała w Jastrzębiu-Zdroju przy ulicy Boża Góra Prawa 2, legitymująca się dowodem osobistym o numerze CBX 343428, będąc świadoma niniejszych deklaracji, na wypadek mojej śmierci do całości spadku powołuję mojego siostrzeńca Wacława Wolfa, zamieszkałego w Poznaniu przy ulicy Matejki 7/49. Proszę go także o wyprawienie mi katolickiego pochówku, msza święta ma odbyć się w kościele Parafii Podwyższenia Krzyża Świętego. Spocząć pragnę na cmentarzu przy ulicy Okrzei, gdzie mam wykupione miejsce. Załączam wszystkie niezbędne dokumenty. Pana notariusza, Kacpra Uszoka, zobowiązuję do przekazania memu siostrzeńcowi zalakowanej koperty, którą również załączam.

Sabina Borowska

Wacław przeczytał dokument trzy razy, zanim odłożył go na blat. Dopił drugą szklankę życiodajnego płynu. Nie mógł się nadziwić, w jaką absurdalną stronę skręca jego życie. To miała być jedynie formalność, wlot, wylot. Mała aberracja od nudnej codzienności, ale ostatecznie nie mniej nudna. Zakładał, że ciotka zapisała mu jakieś pierdoły, rodzinną zastawę, zapas węgla, może jakieś stare dokumenty matki, listy z harcerskich kolonii, pocztówki znad morza. Tymczasem zamiast bibelotów otrzymał...

– Czyli to znaczy, że... że ten dom też jest mój?

– To, co z niego zostało. Był pan może na miejscu, panie Wacku?

– Nie miałem jeszcze okazji.

– Cóż... Może ktoś od pana kupi te zgliszcza. Ja wiem, że może to brzmi brutalnie w takim momencie, ale sam znam kilka osób, które nawet dziś by się z panem w tej sprawie spotkały. Chyba że ma pan inne plany?

– Najbliższe to wyprawienie pogrzebu, prawda?

– Tak nieboszczka sobie zażyczyła.

– Ja pier... Przepraszam, nie chciałem. Po prostu cała ta funeralna otoczka nie działa na mnie zbyt dobrze, panie Kacprze.

– Rozumiem. Sam chowałem ojca w zeszłym roku, nic przyjemnego. Nieboszczka zostawiła panu nawet wytyczne, jaki dom pogrzebowy miałyby się zająć pochówkiem. Obawiam się jednak, że za bardzo, no... Nie ma co zbierać, panie Wacku.

Tego Wacław nie wziął pod uwagę, co więcej, ani przez moment nie pomyślał o tym, co stało się z ciałem ciotki Sabiny podczas wybuchu. Nie był potworem bez uczuć, a na pewno za takiego się nie uważał. Miał nadzieję, że kobieta nie cierpiała. Tylko dlaczego, zastanawiał się, matka mu nigdy o niej nie powiedziała? Pokłóciły się? A jeśli tak, to co mogło je poróżnić? Dlaczego ciotka Sabina spisała testament dzień po śmierci siostry i najważniejsze – dlaczego to właśnie on został jedynym spadkobiercą? Tyle pytań, tak mało odpowiedzi. Właśnie tak wyglądało jego życie – niby każdy mówił, że jest szczęściarzem, ale fortuna, tak jak i łaska pańska, na pstrym koniu jeźdzą. Przydałby mu się teraz dom, w dzisiejszych czasach może i udałoby się go sprzedać za pokaźną sumkę, a tak? Obiecał sobie, że jeszcze dzisiaj uda się do miejsca, gdzie mieszkała ciotka.

Uszok bardzo chciał coś powiedzieć, ale najwyraźniej dobrze odczytał emocje, jakie targwały Wacławem i nabrał wody w usta. Wrócił do swojej zamyślonej pozy, tyle że tym razem dodatkowo zamknął oczy. Przypominał teraz Wacławowi jego nauczyciela historii z liceum, który potrafił się spóźnić dwadzieścia minut na

własne lekcje, bo miał coś do załatwienia z konserwatorem; zdążył podyktować temat, potem kazał komuś czytać z podręcznika, a sam drzemał w podobnym stylu.

– No dobrze – powiedział w końcu Wacław – to gdzie ta koperta?

Notariusz teatralnym gestem uderzył się w czoło na znak sklerozy. Wszystko wskazywało na to, że naprawdę przysnął, a głos Wacława wybudził go z drzemki. Walnął się otwartą dłonią z taką siłą, że wygenerowany dźwięk przywołał jego żonę, która przybiegła sprawdzić, czy jej mężowi nic złego się nie stało. Tak właśnie wygląda prawdziwa miłość, pomyślał Wacław, otwierając kopertę.

ROZDZIAŁ 5

Czekała na niego przed hotelem, w którym się zatrzymał. Na początku myślał, że z kimś go pomyliła, bo już z daleka obdarzyła go pięknym, szerokim uśmiechem. Mogła mieć zarówno dwanaście, jak i dwadzieścia lat, śląska Dolores Haze, gdyby on był jakimś zboczonym poznańskim Humbertem. Nawet w tłumie zwróciłby na nią uwagę, ale nie miałyby to żadnego podtekstu erotycznego. Nigdy nie był i nie miał zamiaru być podrywaczem, matka wpoila mu szacunek do kobiet, który, o dziwo, wielokrotnie działał na jego niekorzyść. „Jesteś zbyt grzeczny” – mówiły mu obiekty jego westchnień. „A ty zbyt głupia” – miał ochotę odbić piłeczkę, ale faktycznie był zbyt grzeczny i nigdy tego nie zrobił.

Dziewczyna kojarzyła mu się z Ciri, nie tylko z powodu wiedzmińskiego koloru włosów i szmaragdowych oczu. Miała w sobie jakąś nieopisywalną siłę, która biła z jej postawy. Była cała w tatuażach, jednak próżno było szukać w nich jakiegoś przemyślanego manifestu. Brudnopis to pierwsze, co przyszło mu do głowy. Miała na sobie T-shirt z odciętymi rękawami z kapelą Refused, którą, o dziwo, nawet on znał, różowe kolarki i różnokolorowe buty, które najbardziej przyciągały uwagę. Kiedy podszedł bliżej, wśród całej gamy wzorów na jej ciele jeden naprawdę mu się spodobał. Pod szyją miała wykaligrafowane słowo DOROŚNIJ, ale pierwsze cztery litery były skreślone. Dziewczyna wyciągnęła z uszu słuchawki i wyciągnęła do niego dłoń na powitanie.

– Dzień dobry – powiedziała śpiewnie. – Waclaw, prawda?

Uścisnęli sobie ręce, a on nabrał pewności, że każdy tutaj ma zamiast dłoni małe imadła. Mijała kolejna godzina na Śląsku, robiło się coraz dziwniej. Musiał

przyznać, że również ciekawie. Może czas zacząć myśleć o tym jak o wypadzie? Może dowie się czegoś ciekawego o swojej rodzinie? Matka nigdy nie wspominała swoich rodziców, nawet słowem. „Z mojej strony nie masz dziadków” – mawiała.

– Waław, zgadza się. Wolf Waław.

– Stary, masz turboelegantne nazwisko, serio. Sztos! – ekscytowała się dziewczyna, a z jej słuchawek nadal leciała jakaś muzyka. – Ja jestem Klementyna Jaworek, miło cię poznać. Masz chwilę?

Nie lubił takich ludzi. Za dużo charyzmy, za dużo skracania dystansu, za dużo uśmiechów i takiego jakiegoś zbyt pozytywnego nastawienia. Założył, że dziewczyna gra, bo coś od niego chce. Pewnie jest jakąś nieopierzoną dziennikarką, która pragnie zdobyć swój pierwszy wielki temat. W takim mieście każdy każdego zna, może więc żona Uszoka albo sam Uszok dał jej cynk, że w historii związanej z testamentem jest jakieś dziennikarskie mięso. Jedyny spadkobierca, zaskakująca zbieżność dat. Ciekawe, czy wie także o zawartości listu?

W kopercie znajdowała się jedna jedyna kartka formatu A4, a na niej znowu ten sam charakter pisma. Zastanawiał się, w czym jeszcze siostry były do siebie podobne, bo na pewno śmiało mogły podrabiać swoje podpisy. Sabina skreśliła jedynie trzy słowa. Trzy słowa, które sprawiły, że cała ta sytuacja stała się jeszcze bardziej kuriozalna, wręcz nierealna. „Weź, co twoje”. Przecież wziął, przyjął spadek. Tyle że w kopercie był jeszcze klucz. Sporych rozmiarów, z dziwnymi wyłobieniami po obu stronach. Nigdy wcześniej takiego nie widział. Nawet Uszok, który był najlepiej poinformowany, nie wiedział, co może on otwierać. Jakieś drzwi w piwnicy? Co zatem mogło być w niej ukryte?

Złapał się na tym, że ponownie odpłynął myślami i zachował się niegrzecznie wobec swojej nowej znajomej. Dziewczyna z kolei czekała na odpowiedź, ale widać było, że rozpira ją energia. Miała coś w dłoni, coś, czym się bawiła, Waław nie widział, co to dokładnie było. Drugą ręką wyklepywała jakiś rytm, uderzając o swoje udo.

– Jesteś dziennikarką? – zapytał. – Nie wydaje mi się, żeby tragiczna śmierć w wybuchu była jakimś szczególnie ciekawym tematem.

– Dziennikarką? Nie, no co ty. Dziennikarstwo już dawno umarło, teraz liczą się tylko kliknięcia i pisanie pod SEO. Ja jestem tatuażystką. I blogerką!

Ja pierdołę, jeszcze lepiej, pomyślał Waław. Jakaś ciućma, która ma o sobie mniemanie z kosmosu, nie znalazła pracy w mediach, więc pisze sobie bloga. Był coraz bardziej zmęczony i głodny, ale pomimo to – nie potrafił być niemiły. Nawet dla kogoś, kto irytował go już samym swoim istnieniem.

– To co? Masz chwilę? – przypomniała o sobie Klementyna.

– Słuchaj, jestem niesamowicie głodny, a swoją drogą...

– Stary, no to się bardzo dobrze składa, bo ja bym też coś zjadła. Na co masz ochotę? Ja stawiam, a ty poświęcisz mi ten czas na rozmowę. Deal?

Dziwnie. Dziwniej. Coraz dziwniej. Waław miał ochotę obrócić się na pięcie i sobie pójść, ale ta frymuśna dziewczyna pewnie zrobiłaby to samo i nadal zawracała mu głowę. Postanowił skorzystać z darmowej kolacji. Odkąd nie miał Karci, przestał jadać poza domem. Owszem, nie lubił przyrządzać jedzenia, ale nawet jeśli byłby częstym klientem restauracji, to nigdy nie poszedłby do żadnej sam. Bałby się oceniającego wzroku innych. Kto jada sam? Seryjny morderca.

– Spoko – rzucił. – Niech będzie.

– No i ekstra! – ucieszyła się Klementyna. – Na co masz ochotę?

– Myślałem o pizzy...

– Miód na me serce! Pizzy i pacierza nigdy nie odmawiam! Za mną, Waław.

Klementyna włożyła słuchawki do uszu i z nieschodzącym z ust uśmiechem ruszyła przed siebie, a Waław poszedł za nią, jak mała kaczuszka za swoją mamą. Do celu nie mieli daleko, bo dziewczyna zmierzała dokładnie tam, gdzie wcześniej chciał iść Waław. Zdjęła słuchawki dopiero wtedy, gdy przybiła piątkę kelnerowi, który wskazał im stolik na zewnątrz. Od razu zamówili napoje, on wodę gazowaną, ona espresso doppio i pepsi. Nie wiedział, co powiedzieć, więc po prostu czekał na rozwój wydarzeń. Na razie Klementyna była w stu procentach poświęcona lekturze karty menu.

– Co chcesz? – zapytała w końcu. – Stary, bez kitu, tutaj wszystko jest ogień, więc możesz na chybił trafił. Skoro o ogniu mowa, to ja się może skuszę na... Diavole Verde! Niech pali w mordzie! – zawołała, sięgając po espresso. – Ale dobra kawka!

Waław zdecydował się na klasykę. Po pierwsze, nie chciał ryzykować, a po drugie, nie chciał narażać Klementyny na koszty. Postanowił, że i tak po wszystkim zapłaci za siebie, a przynajmniej będzie nalegał. Tymczasem dziewczyna wyjęła z plecaka pokrytego naklejkami macbooka, szybko coś wklepała i odwróciła komputer w stronę Waława.

– To – uśmiechnęła się szeroko – mój blog. Jestem z niego bardzo dumna. Zaczęłam prowadzić go jeszcze w liceum. Zerknij, na pewno się zajarasz!

Pochylił się nad komputerem, a pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to adres strony – martwimowiabinarnie.tumblr.com. Tytuł każdego wpisu na blogu zawierał czyjeś imię i nazwisko oraz daty – narodzin i śmierci. Kliknął w najnowszy, *Jadwiga Kamacz 24.02.1968–3.07.2022*. Treść prezentowała się skromnie. „Jadwiga Kamacz na co dzień była pielęgniarką. Miała dwójkę dzieci, Jana i Małgorzatę. Razem z mężem uwielbiali układać puzzle Ravensburgera oraz

oglądać polskie seriale. Zawsze chciała mieć wnuki. Zginęła w wypadku samochodowym”.

Pod tekstem znajdowało się portretowe zdjęcie kobiety i screenshot z historii jej przeglądarki. W dniu śmierci w wyszukiwarce wpisała: „szarlotka szybki przepis”, „niedziela handlowa kiedy”, „puzzle 1000 miasta”. I tyle.

Podniósł wzrok znad komputera. Klementyna cały czas wpatrywała się w niego, najwidoczniej oczekując jakiejś reakcji. Tyle że zareagować nie potrafił. Nie bardzo wiedział jak. Postanowił sprawdzić jeszcze jeden wpis.

Alojzy Wewerka 21.10.1981–14.06.2022. „Alojzy na co dzień był kierowcą ciężarówki. Miał jednego syna, Kamila. Razem z żoną lubił chodzić na potańcówki. Przyczyną śmierci była marskość wątroby”. Ten wpis prezentował się ciekawiej. Alojzy ostatni raz używał przeglądarki pięć dni przed datą zgonu, a rzeczy, jakie wpisał do Chrome’a, były dużo mniej grzeczne niż Jadwigi: „jak oszukać test na narkotyki”, „praca w Niemcy”, „duże cyce porno”, „youtube do mp3”.

– To są jakieś wymyślane postacie? – zapytał w końcu Waław. – To jakiś projekt literacki, którego sensu do końca nie rozumiem?

– Nie no, co ty, Waław! – oburzyła się dziewczyna i pierwszy raz przestała się uśmiechać. – To są, albo raczej byli, prawdziwi ludzie. Z krwi i kości.

– Okej. Wow. Dobra, jestem trochę w szoku.

– Znana i lubiana reakcja. Ale zanim uciekniesz gdzie pieprz rośnie, pozwól, że wytłumaczę. To taki eksperyment społeczny.

– Aha. I powiedziałaś, że zaczęłaś w liceum?

– No, to trochę naciągane, bo w ostatniej klasie liceum i już nie chodziliśmy do szkoły, tylko pisaliśmy matury. Ale sam widzisz, jak to brzmi! Kozacko!

– No dobra – westchnął i oddał jej komputer. – To może powiesz mi, jaki jest cel tego eksperymentu?

– Z dziką przyjemnością! – zawołała. – Założenia były trzy. Pierwsze, to ważniejsze, zakłada, że każdy, absolutnie każdy, ma jakieś sekrety i nawet nie do końca stara się je ukryć. Drugie...

– Czeka, stop. Każdy? A jakie sekrety według ciebie miała babka od puzzli?

– Jadźka? Jadźka była pieprzoną hipokrytką. Poszłaby do Lichenia na kolanach, uważała, że dzień święty należy święcić, besztowała swoje dzieciaki za to, że zamiast spędzać czas w domu i dumać nad boską dobrocią, włóczą się po kinach czy restauracjach. A co się okazało?

– No co? To, że sprawdzała, które niedziele są handlowe? To taka straszna hipokryzja?

– Słuchaj, ja tylko publikuję czyste fakty. Nienaruszoną historię przeglądarek. To ludzie, którzy ją znali, mogą to interpretować, nikt inny.

– Okej. Ale jeśli nikt inny, to po kiego grzyba wrzucasz to do widoku absolutnie każdego na tej planecie?

– Dobra, muszę zmienić kolejność. Trzecie zało... O, patrz! – zawołała. – Idzie nasza szama! Dzięki, Kamil, podasz oliwę? Złoty chłopak jesteś! – zwróciła się do kelnera. – Podać ci, Waław?

– A czy ja mógłbym prosić ketchup?

– Kamil, zignoruj to proszę. Duży napiwek zostawię. No, dzięki. Waław, typie, no weź nie rób siary. Ketchup? Do włoskiej pizzy? Nawet w karcie napisali, żeby się o to nie pytać! Ja pierdziu! Lej oliwę. Zobaczysz, jaki sztosik.

Waław poczuł, jak policzki robią mu się gorące, jak coraz bardziej zaciska zęby. Był świadom spojrzeń ludzi przy sąsiednim stoliku, ktoś prychnął. Kelner co prawda niczego nie powiedział, ale Waław dostrzegł w jego oczach pogardę. Pogarda prześladowała go prawie całe życie. W podstawówce był najlepszy w klasie z każdego przedmiotu. No, oprócz wychowania fizycznego, ale tylko dlatego, że nie jeździł na żadne zawody, a wuefista, zagorzały fan gorzały, dawał szóstki tylko reprezentantom szkoły. Już w pierwszej klasie czytał płynnie; koleżanki i koledzy ledwo dukali. Co zatem zrobiła wychowawczynie? Posłała go na międzyszkolny konkurs recytatorski. Czując na sobie wzrok jury i innych dzieciaków, Waław się spalał. Zamienił się w jękającego się półmózga. To wtedy po raz pierwszy poczuł się źle. Poczul, że wolałby zniknąć, tak żeby już nikt nigdy go nie odnalazł. Poczul, że wolałby nie żyć. Jednak nie to było najgorsze.

Wychowawczynie Waławowa, pani Magdalena Zgrabczyńska, uwielbiała i całkiem nieźle grała na fortepianie. Dzieciaki z jej klasy miały dodatkowe zajęcia z muzyki, nie tylko grały na dzwoneczkach, ale i śpiewały. Okazało się, że Waławowi wychodzi to całkiem nieźle. Jego popisowym utworem była kolęda *Bóg się rodzi*. Zgrabczyńska się zachwycała, jak Waław pięknie ją wykonuje, jak idealnie akcentuje, jak współgra z jej akompaniamentem.

Kiedy był w drugiej klasie, wychowawczynie zorganizowała koncert kolęd i nawet nie chciała słyszeć, że Waław nie weźmie w nim udziału. Matka chłopaka była zachwycona, w końcu będzie mogła usłyszeć, jak syn śpiewa, bo w domu nigdy tego nie robił. Koncert miał się odbyć wieczorem, więc nie musiała brać wolnego w pracy, którego zresztą pewnie by nie dostała. Żeby zrobić sztuczny tłum, dyrekcja zdecydowała, że z każdej klasy musi przyjść co najmniej piątka dzieciaków. Waław, widząc siódmo- i ósmoklasistów, zaczął panikować. Jawili mu się jako prawie dorośli: byli wysocy, mieli zarost, całowali się z dziewczynami, a na przerwach palili papierosy. Gdzieś wśród nich zasiadła mama, ale nie potrafił jej zlokalizować.

Występ Waławowa zostawiono na koniec, miał on być – jak to określiła Zgrabczyńska – wisienką na tym przepięknym torcie. Chłopak wyszedł na środek

stołówki, a nauczycielka muzyki zapowiedziała piosenkę. Zanim uderzyła w pierwszy klawisz, Wacław poczuł na sobie dziesiątki oczu. Nie był w szkole, był w piekle, gdzie diabły miały go pożreć, jeśli coś zepsuje. Diabły prawie dorosłe, wysokie, z zarostem, całujące się z dziewczynami, które w przerwach między torturami paliły papierosy. Fortepian w końcu wydał z siebie dźwięki, a Wacław zaczął śpiewać. Nigdy więcej tego nie zrobił.

W sytuacji takiej jak ta, kiedy czuł, że wychodzi na idiotę, nie siedział już w jastrzębskiej restauracji. Znowu stał na środku szkolnej stołówki, śpiewając dla rechoczących diabłów przy akompaniamencie nauczycielki, diablidy w ludzkiej skórze. Klementyna najwyraźniej zauważyła, że coś jest nie tak, bo oznajmiła wszem i wobec, że ketchup jest zajebisty i w sumie też go lubi. Zjadła dwa kawałki swojego dania, mlaskając przy tym głośno, tak żeby zapomniano już o *faux pas* Wacława.

– Jedz, póki ciepła! Zaskoczysz się, mówię ci – powiedziała i wytarła dłonie w serwetkę. – Wracając, trzecie założenie było takie, że ludzie są wojerystami, nie tylko w kwestiach seksualnych. Uwielbiają podglądać, plotkować, wiedzieć nawet najmniejsze szczegóły z czyjegoś życia. Są anti-Sméagolami, bo krzyczą do tych informacji „my precious!”, a zarazem bardzo chętnie przekazują je innym. Wiesz, ile mam unikalnych wejść miesięcznie? Sto tysięcy. Na polskie warunki to jest prawdziwa petarda.

– No dobra – zaczął Wacław, ale złapał się na tym, że mówi z pełną buzią, tak przecież nie wypada. A pizza faktycznie była, używając nomenklatury nowo poznanej koleżanki, sztosik. – Wybacz, to było niegrzeczne.

– Co?

– Jedzenie i mówienie jednocześnie. Jak pies je, to nie szczeka.

– Aha. Możesz wstać na chwilę?

– Po co?

– Możesz?

– Mogę.

– No to wstań. Dzięki. Obrócisz się? Super. Wydaje mi się, że jedyny ogon, jaki masz, to ten z przodu, nie masz fajnego futra ani nie sępisz o żarcie pod stołem. Wniosek: nie jesteś psem. Rób więc, co chcesz. Mnie to nie przeszkadza. Mlaskanie również.

– No dobra. – Wacław się uśmiechnął. – To jakie było założenie numer dwa?

– Wszystko jest na sprzedaż. Łącznie z prywatnością, tajemnicami, rodzinnymi skandalami, nazwij to, jak chcesz. *Cash rules everything around me.*

– *C.R.E.A.M. get the money...*

– *Dollar dollar bill, y'all* – dokończyła słowa piosenki Klementyna. – Wow, znasz Wu-Tang Clan?

– To raczej ja powinienem być zdziwiony. To numer z moich czasów. Wybacz, że pytam, ale ile ty masz lat?

– Dwadzieścia pięć. A myślałaś, że ile?

– W ogóle o tym nie myślałam – skłamała i wziął kolejny kawałek pizzy.

Jadł, rozkoszując się każdym kęsem i dopiero kiedy wszystko porządnie przełknął, kontynuował konwersację:

– Czyli, że co? Płacisz tym ludziom?

– Dokładnie. Pięć koła papieru.

– Pięć tysięcy? Hmm. – Zastanawiał się przez chwilę. – To w sumie nie tak dużo.

– No nie? Dlatego właśnie tyle. Średni koszt pogrzebu w Polsce to cztery tysiące, ale nie oszukujmy się: większość wydaje więcej, no bo przecież jeszcze stypa. Cztery koła to także zasiłek pogrzebowy, czyli jak ktoś leci po linii najmniejszego oporu, zarabia piątkę na czysto. Na początku nie było łatwo: szukałam po znajomych, zamieszczałam ogłoszenia w sieci. Teraz ludzie sami się zgłaszają. Z całej Polski. Zastanawiam się nad ekspansją, bo odkąd napisał o mnie „Vice”, to zaczęły powstawać zagraniczne kserokopie.

– Wiesz co? Ta pizza naprawdę jest przepyszna. Dziękuję.

– Proszę.

– Mam jeszcze dwa pytania.

– Wał śmiało, stary – zapewniła i poszukała wzrokiem kelnera. – Kamil! Kamil, hej! Jeszcze jedną doppio, pliska. – Spojrzała na Waława. – Dla ciebie?

– To może ja też się skuszę...

– Dwie doppio zatem, *signor* Kamil. *Pronto!* No, Waław? Pytej śmiało.

– Skąd brałaś takie kwoty, będąc w liceum?

– Krypto, mordo. Bawię się w to od gimnazjum, nie narzekam na bidę. Pytanie numer dwa?

– Czego ty ode mnie chcesz? Nie wydaje mi się, żeby w tym wybuchu przetrwało jakiekolwiek urządzenie elektroniczne. Poza tym nigdy w życiu nie widziałem ciotki Sabiny na oczy, nie czułbym się komfortowo, gdybym...

– Nie, stary. Nie chcę jej historii wyszukiwania. Chciałam ci tylko pokazać, czym się zajmuję. Możemy sobie pomóc. Ja będę z tego miała najlepszy wpis, taki, o jakim nawet nie marzyłam. A ty? Być może jakieś odpowiedzi.

Pochyliła się nad stołem. Waław złapał się na tym, że zrobił dokładnie to samo. Kameleon kontratakuje.

– Wiesz, znam tu ludzi, wielu z nich tatuuję – podjęła konspiracyjnym szeptem. – Pamiętaj, że to mój główny biznes, blog to jedynie hobby.

– I eksperyment – dodał kameleon.

– I eksperyment. Zmierzam do tego, że... Jakby to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało dziwnie... Mam tu ludzi, którzy lubią mi pomagać przy tym projekcie. Lubią, bo...

– Pieniądze.

– No właśnie. I jeden ptaszek zaćwierkał mi, że w gruzach domu twojej ciotki znaleziono coś niecodziennego. Otóż, drogi przybyszu z Wielkopolski, okazuje się, że twoja rodzina miała coś dużo lepszego niż historia wyszukiwania. I ja bym chciała mieć do tego dostęp. Nielimitowany.

Przygoda, Waław, traktuj to jak przygodę, myślał. Jedna jego część chciała wstać, położyć na stole banknot stułotowy, a w drodze powrotnej do hotelu koniecznie kupić w aptece stopery. Druga część, zdecydowanie mniejsza, widocznie dopiero kiełkująca w Waławowym jestestwie, krzyczała, darła się w niebogłósy. Hulaj dusza, piekła nie ma! Czasem Dawid zwycięża z Goliatem.

– Dobra – powiedział wreszcie i wypił doppio na raz. – Rób z tym czymś, na co będziesz miała ochotę. Tylko wypadaloby, żebyś mi najpierw powiedziała, co to jest.

Klementyna powiedziała. Waławowa замуrowało. Gdy odzyskał głos, pierwsze, co zrobił, to zamówił jägermeistera dla siebie i dla niej, a w okolicznej Żabce kupił fajki. Zapowiadał się długi wieczór.

ROZDZIAŁ 6

Kiedy zadzwonił budzik, zapragnął zasnąć na zawsze. Poduszka była cała mokra od śliny, a suchość w ustach nie pozwalała oddychać. Odbiło mu się i poczuł odór nie do końca przetrawionego alkoholu. Mistrz łowiectwa smakował jak syrop na kaszel i kojarzył mu się ze studiami. To właśnie na poznańskiej akademii wychowania fizycznego po raz pierwszy poznał, jak to jest znajdować się w trochę innym stanie świadomości. Przestraszył się wtedy samego siebie. Koledzy robili to tylko po to, żeby się odstresować, złapać reset. On z kolei poczuł, że wtedy jest innym człowiekiem. Jego nieśmiałość wyparowywała z każdym kolejnym kieliszkiem, każdy kolejny łyk sprawiał, że czuł się bardziej normalny... Zupełnie jakby potrzebował alkoholu, by funkcjonować w społeczeństwie, by wpasować się w odpowiednie ramy. Chyba że przesadził. Wtedy kończyło się przytulaniem toalety i szeptaniem jej nie do końca czułych słówek.

– No do cholery jasnej! – krzyknął w poduszkę.

Bał się, że nie będzie mógł spać przez symfonię budowlaną, tymczasem obudził go solista o imieniu Preludium. Dźwięk ajfonowskiego dzwonka wwiercał mu się w głowę, był bezczelny, bezceremonialny i nie zamierzał odpuścić sam z siebie. Wymagał dotyku, nawet jeśli ten miał być niedelikatny. Wacław nie mógł zlokalizować telefonu, machał rękami, klepiąc pościel, ale nie przynosiło to żadnego efektu. Po chwili poczuł, że bardzo boli go środkowy palec prawej dłoni. Żeby przeturlać się na plecy, musiał zebrać wszystkie witalne siły, a że były one na wykończeniu, zajęło mu to kilka dobrych minut.

Leżąc na plecach, poczuł się jak żółw – bezsilny gad o skrepowanych ruchach. Otworzył oczy, co okazało się kiepskim pomysłem – świat zawirował, jego głowa przywodziła na myśl zestrzelony pikujący helikopter. Mózg krzyczał „mayday”, ale ciało nie miało zamiaru przestać. Waław postanowił skupić się na jednej rzeczy, na czymś, co będzie mógł choć trochę kontrolować. Podniósł dłoń na wysokość oczu. Widział jej kontur, ale coś mu w tym widoku nie pasowało. Preludium nie przestawał, ale Waławowi nie przeszkadzało to już tak bardzo. Na dłoni widniało coś czarnego albo granatowego, nie mógł się zdecydować. Wyteżył wzrok i wtedy wytrzeźwiał. Ciemnym elementem okazał się jego bolący palec przewiązany chusteczką higieniczną – i w połowie czarny. Zerwał się z łóżka i przez chwilę patrzył na palec. Usunął śmierzący piwskim opatrunek, ból ustał, ale palec nie zmieniał koloru. Waławowi zachciało się wymiotować, sam nie wiedział dlaczego. Może dlatego, że palec wyglądał na martwy. Uszczypnął go, nie poczuł absolutnie nic. Postanowił poczekać jeszcze kilka minut, a jeśli nie zacznie nabierać barw, to pojedzie do szpitala. Telefon leżał na biurku po drugiej stronie pokoju. Preludium wreszcie doczekał się dotyku, jego misja zakończyła się sukcesem.

Waław czuł, jak narasta w nim panika. Wczorajsze popołudnie, wieczór i najwyraźniej cała noc wyparowały z jego pamięci. Telefon twierdził, że jest ósma trzynaście. Waław sprawdził ostatnie połączenia i SMS-y. Widząc, do kogo dzwonił, zrobiło mu się ciężko na duszy. Siedemnaście połączeń do Karci, za tym ostatnim razem odebrała. Rozmawiali od czwartej dwanaście do czwartej dwadzieścia osiem. Super, pomyślał Waław, znowu zrobiłem z siebie idiotę. Patrzył na listę połączeń, zastanawiając się, czy znowu do niej zadzwonić i poprosić o skróconą wersję tej zapewne żenującej rozmowy. Postanowił poczekać i zaczął eksplorować swój pokój. Na dywanie wszędzie było błoto, musiał wracać przez plac budowy. Przed padnięciem na łóżko udało mu się ściągnąć buty. Białe superstary miały dopiero dwa tygodnie, a już wyglądały jak do wyrzucenia. Łazienka z kolei była w stanie nienaruszonym.

Usiadł na krześle przy biurku i złapał się za głowę. Czuł się tak, jakby ktoś kopał jego mózg, wrywał płuca i niszczył ostatki szacunku do samego siebie. Tym kimś, pomyślał, jesteś ty, głupi debilu. Zrobiłeś to sobie sam.

W kieszeni spodni znalazł wymiętą paczkę fajek, zapalniczkę BIC i jakiś dziwny klucz. Spod łóżka wystawało coś jeszcze dziwniejszego. Sięgnął po przedmiot i jego myśli znowu skierowały się ku palcowi. Powoli nabierał koloru, ale kiedy się w niego uszczypnął, wciąż niczego nie czuł. Tajemniczym przedmiotem okazało się oklejone ciastem i serem radełko do pizzy.

– Nie wierzę... – powiedział. – Co za cyrk.

Karta umożliwiająca wejście do pokoju była na swoim miejscu. Wyciągnął ją, założył buty i wyszedł zapalić przed budynek. Inni goście zmięli na śniadanie. Posiłek dobrze mu zrobi, ale papieros zrobi mu jeszcze lepiej. Obiecał sobie, że skończy tę paczkę i koniec. Nie wróci do nałogu. Poczł, jak nikotyna uderza mu do głłwy, jak neuroprzekazniki witają się z mózgiem. Dzień dobry, powiedziała dopamina, wprowadzając trochę zadowolenia do szaroburego cerebrum Waćława. No siema, przywitała się noradrenalina, wchodząc jak do siebie, a swoją charyzmą i energią zaraziła wszystkie neurony. W płacie limbicznym rozpoczęła się impreza. Waćław odpalił papierosa od papierosa. Kiedy tak stał przy popielniczce, zaczęło się dziać coś dziwnego. Znowu. Coraz więcej ludzi zmięzających na śniadanie zaczynało mu machać, a on – jak to było w jego naturze – odmachiwał. Założył, że może jest do kogoś podobny, a goście, zapewne ci weselni, są jeszcze pod wpływem alkoholu i ich mózgi nie przetwarzają poprawnie informacji. Drugi papieros nie był już tak smaczny jak pierwszy, na pierwszy plan wysunęła się duża ilość substancji smolistych, przyprawiając go o większy ból głłwy. Chciał wrócić do pokoju, wziąć długi, zimny prysznic, a następnie sprawdzić, czy gdzieś nie zapisał numeru tej dziwacznej dziewczyny, bo w telefonie go nie miał.

Kiedy przyduszał niedopałek, usłyszał swoje imię. Głos był niski, a jego właściciel wręcz przeciwnie. Prawie dwumetrowy facet zmięzał w jego kierunku, trzymając w dłoni... identyczne radełko do pizzy, jakie w swoim pokoju znalazł Waćław. Kiedy się zbliżył, przyjął postawę szermierza i wycelował radełko prosto w Waćława.

– *En garde!* – ryknął. – Broń się, sir Wacku herbu Zgniła Pyra!

Mężczyzna zaczął machać Waćławowi radełkiem przed twarzą, wprawiając go w całkowite osłupienie. Po chwili Kolos najwyraźniej poczuł, że robi się coraz bardziej niezręcznie, schował „broń” do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął rękę na powitanie. Znowu ten uścisk jak w imadle.

– Wacek, co jest? Nie poznajesz mnie? Aż tak ci się film urwał?

– Wybacz, ale... ja naprawdę nie mam zielonego pojęcia, kim jesteś. Ale mam w pokoju identyczny przedmiot, założyłem, że ukradłem go z pizzerii.

– A gdzie tam! – Mężczyzna machnął ręką. – U nas na weselu były, to żeśmy sobie wzięli. A jak ręką? O panie! Ależ ci paluch szerniał! Chyba za mocno ci ten opatrunek założyłem. Ale z tym to żeś odwalił, Wacek, powiem ci, że zodyn się nie spodziewał, zodyn, że zbijesz to lustro. A jednak jesteś gość, co nie rzuca słów na wiatr, szacunek za to. Idziesz coś zjeść?

Waćław jedynie pokiwał głłwą i ruszył za bezimiennym kolosem.

Nie wierzę, pomyślał znowu. Co ja najlepszego narobiłem? Zbite lustro? Jakies noże do pizzy? Telefony do Karci? Wczorajsza ekskursja na kolację nie miała się

zakończyć w taki sposób! Najpierw ta wytatuowana dziwaczka twierdzi, że w jego rodzinie tajemnica tajemnicę pogania, i co gorsza chyba ma rację, a teraz jeszcze ekscesy na czyimś weselu? To się nie dzieje. Symulacja szwankuje.

– Numer pokoju? – zapytała go pracownica hotelu, kiedy wszedł do restauracji.

– Trzysta jeden. Chciałem się zapytać... Miałem rezerwację tylko do dzisiaj, a chciałbym ją przedłużyć o kilka dni. Z kim mógłbym to załatwić?

– Trzysta jeden? Z tego, co widzę, to na śniadaniach może być pan aż do wtorku, czyli udało się to już załatwić.

– Świetnie... – powiedział pod nosem, czując się coraz bardziej głupio. – Dzięki za pomoc.

Jak tylko reszta gości zobaczyła kolosa i Wacława, zaczęła klaskać i wiwatować tak głośno, jakby na sali pojawili się państwo młodzi.

– Są i oni! – ryknął niespodziewanie głośno jeden ze starszych biesiadników, którego imponujących rozmiarów wąs odwracał uwagę od imponujących rozmiarów brzucha. – Są nasi dzielni rycerze! Wiwat!

– Wiwat! – zawtórowali inni mężczyźni, nie robiąc sobie nic z karcącego wzroku niektórych pań.

Wacław tylko się uśmiechał, ale był to jedynie wystudiowany grymas, wynik spięcia siedemnastu mięśni twarzy, bo do śmiechu nie było mu wcale. Kto by się spodziewał, że przyjeżdżając na Śląsk, zostanie rycerzem? Było mu strasznie wstyd, znowu.

Wziął do ręki talerz, nałożył sobie dwie skibki ciemnego chleba, dwie frankfurterki i dwa plastry żółtego sera. Do filiżanki nalał kawy, po czym usiadł przy tym samym stole, przy którym brylował kolos.

– Wacuś, mordó moja! Pamięć wraca, co? Czy nie bardzo?

– No tak średnio, bym powiedział.

– Ale że tak nic kompletnie?

– Nic.

– Nawet tego, jak próbowałeś otworzyć drzwi od pokoju tym naszym kółkiem od pizzy?

– Nawet tego.

– Wacuś, kochany. Bywa i tak, od wódki rozum krótki, a jak widać także pamięć. Ale nic się nie martw, ja jestem po tatusiu nieupijalny, prędzej się porzygam, niż wypiję tyle, żeby film mi się urwał. Już ci wszystko mówię, jak było. Ja to sobie stałem na fajce, jak żeś dreptał. Zwróciłem na ciebie uwagę, boś był jakiś taki nabuzowany. No i idziesz i...

– Poczekaj, poczekaj, yyy...

– Robert mi mamusia dała na imię.

– Robert, cudownie. Wybacz, że przerywam, ale czy szedłem sam?

– No sam, a z kim? Szedłeś normalnie naładowany jak jakaś strętwa.

– Jak co?

– Nie łowisz, prawda? Strętwa, ryba taka. Ludzie inaczej mówią, węgorz elektryczny. No mniejsza. Gdzieś tam sobie poszedłeś i nie minęło piętnaście minut, ja z bratem walił lufę przed salą akurat, i wracasz wścieknięty jeszcze bardziej. Patrzysz na nas, złapałeś się za biodra jak jakaś rozwydrzona tancereczka i wyjeżdżasz z ryjem. Co to ma być, ja się pytam! Co to za darcie mordy po nocy! Tak żeś gadał i zauważ, żeś sam mordę darł. No ale nieistotne. Ja do ciebie mówię, że wesele przecież jest, wiadomo, że będzie krzywkę głośniejszą niż normalnie. To tyś się odpalił jeszcze mocniej, wściekł jak osa wyzywasz, obrażasz, straszysz, wyobraź sobie, policję. Nienielegancko żeś się pan, panie Wacku, zachowywał. Brat mój już zakasywał rękawy, żeby dać ci w zęby, a miarkuj sobie, że u nas w familiji tradycje bokerskie są! Tatusia naszego sam Czesiek Caputa trenował! Wiesz kto to? Legenda! No, ale mniejsza o ludzi nieobecnych już, niech mu ziemia lekką będzie. Ja brata udobruchałem, młodszy jest, to się słucha. Rozumiesz, są lepsze sposoby na zażegnywanie konfliktów. Może nie tak bardzo satysfakcjonujące, ale lepsze. No to mówię, żebyś machnął z nami jednego na zgodę, bo przecież widziałem, że ty już swoje miałeś wlane. Od jednego do drugiego i...

No tak, to pamiętał. Pili jagery, jeden po drugim, aż wreszcie Klementyna zamówiła całą butelkę i kolejną pizzę. Trudno było mu uwierzyć w rewelacje gówniary. Musiał jednak przyznać, że to wszystko było bardzo intrygujące i co najmniej osobliwe. Dlaczego w rodzinnym domu matki, tak przynajmniej zakładał, jedna ze ścian powstała tylko po to, żeby ukryć sejf? Jakim cudem ten chodzący brudnopis zdołał go przechwycić? Co mogło się w nim znajdować i po co ktoś przedsięwziął aż tak radykalne środki, żeby to coś ukryć? Albo ochronić. Musi zacząć zapisywać sobie te wszystkie pytania, bo piętrzyły się i piętrzyły, jak elementy *Jengi*. Próbował sobie przypomnieć, o czym jeszcze rozmawiali, ale pustka była zbyt głęboka. Jego nowy kolega Robert mógł mu wmówić wszystko, co tylko chciał. Tabula rasa. Zresztą w połowę tego, co słyszał, nie mógł uwierzyć. Tańczenie z panną młodą? Podrywanie starych ciotek? Pojedynek na noże do pizzy? Śpiewanie męskim chórem *Miłość w Zakopanem*? I to bez koszulek? A na odchodne zbił lustro w kiblu, bo stwierdził, że siebie nienawidzi. Poprawka, w to ostatnie wierzył całym swoim czarnym sercem.

– ...a na koniec, zanim cię zanieśliśmy do pokoju, to chciałeś dzwonić do swojej byłej, ale wybiliśmy ci to z głowy.

– Mhm.

– Wybiliśmy, prawda? Słuchaj, stary, tego kwiatu jest pół świata, poza tym...

– O, jest i mój Wacuś! Dzień dobry, kawalerze! – usłyszał za sobą kobiecy głos, a po chwili poczuł duszący zapach zbyt dużej ilości perfum.

Przypadłość starych ludzi. Często zastanawiał się, czy robią to dlatego, żeby zabić zapach wewnętrznej zgnilizny, który czują tylko oni sami. Następnie podszedł przywitać się ojciec panny młodej, kolejny, któremu do gustu przypadł rycerski pojedynek Wacława. Ten z kolei musiał przyznać, że zrobiło mu się nieco lżej na duszy. Może i nie zachowywał się najlepiej, ale nikt nie był zły, nikt mu niczego nie wypominał, nikt nie traktował go teraz jak trędowatego. Jeśli tak wyglądała śląska gościnność, chciał jej jak najwięcej. Przez kilka minut czuł się ze sobą dobrze, do momentu, aż nie przypomniał sobie o Karci.

– Idę zajarać, panowie, za moment wracam.

Nie zdążył nawet dobrze się zaciągnąć, kiedy na teren hotelu wjechał przyciągający wzrok samochód. Lakier mitsubishi lancer evolution dziesiątej generacji był różowego koloru, a dźwięk silnika sugerował, że właściciel lubił, kiedy prędkościomierz bardzo szybko zamieniał zero na setkę. Wacław początkowo myślał, że to jakaś fanaberia panny młodej, że tym pojazdem młodzi jechali do ślubu, ale kiedy otworzyły się drzwi kierowcy, ukazała się znajoma postać.

– Wsiadaj, frajerze – powiedziała Klementyna, unosząc ciemne okulary. – Jesteś gotów poznać mroczne tajemnice swojej rodziny i narodzić się na nowo?

Wacław nie mógł się nie uśmiechnąć. Zaciągnął się szybko papierosem, zgasił go w popielniczce i ruszył w kierunku samochodu. Pomimo wczesnej pory słońce wyraźnie nie miało zamiaru przejmować się tym, że jego blask może komuś przeszkadzać.

ROZDZIAŁ 7

Klementyna nie zdążyła pokazać, co potrafi jej auto. Zakład Pogrzebowy Eden znajdował się przy tej samej ulicy, co hotel, w którym zatrzymał się Waław. Zaparkowała na podjeździe i z szelmowskim uśmiechem spojrzała Waławowi w oczy.

– No co jest? – zapytała po chwili. – Nie wchodzisz? Mam cię złapać za rączkę i dotrzymać towarzystwa? Kurde, wybacz, to nie było zbyt miłe – zreflektowała się po chwili. – Iść z tobą? Ej, Wacek! Kontaktujesz?

– Wybacz – odpowiedział. – Zapalę sobie najpierw, okej?

– Ty, tylko nie w furze! Broń cię ręka boska! Wypad.

Chciał wytłumaczyć, że nigdy nie miał takiego zamiaru, ale Klementyna działała dużo szybciej, niż Waław budował zdania. Nie zdążył otworzyć ust, a ona już była na zewnątrz, przestępując z nogi na nogę i bawiąc się czymś ściszanym w lewej dłoni. Waław wyszedł z auta i od razu zmrużył oczy.

– Ale masz brudne buciory, mordo. – Klementyna się zaśmiała. – Gdzieś wlaż?

– Nie wiem.

Waław zaciągnął się papierosem, czując, że znowu wpada w szpony nałogu. Nie było na to rady, szczególnie teraz. Raz udało mi się rzucić, pomyślał, to uda i drugi. Chyba.

– Jak to nie wiesz? – prychnęła Klementyna.

– Film mi się urwał.

– Ha, ha, co? Jak to? Przecież kiedy rozchodziliśmy się wieczorem, to wyglądałeś nieźle. Kontynuowałeś na smutno do lustra?

- Okazuje się, że ani na smutno, ani do lustra. Wprosiłem się na wesele.
- Na to samo, na które tak narzekałeś?
- Na to samo.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, patrzyła na niego kompletnie bez wyrazu z lekko otwartymi ustami. Po chwili wybuchnęła tak szczerym, pogodnym i zaraźliwym śmiechem, że nawet zawstydzony Wacław cicho parsknął pod nosem. Przechodnie patrzyli na nich spod byka, bo jakby nie patrzeć, parking zakładu pogrzebowego nie był najlepszym miejscem do tego typu zachowań.

– Człowieku, ale mnie teraz boli brzuch! No nie mogę, co za typ! „Nienawidzę wesel, bababa!” – przedrzeźniała Wacława. – „Zwierzęta, nie ludzie, bababa!” Tak gadałeś mordo, dokładnie tak! Dobra, dobra, już się nie śmieję. Odwaliłeś coś?

– Najwyraźniej podrywałem starsze panie, pojedynkowałem się na noże do pizzy i zostałem rycerzem, tańczyłem bez górnej części garderoby i rozbiłem lustro dłonią, a Robert, przesympatyczny gość, jak się okazuje, tak profesjonalnie założył mi opatrunek na palcu, że prawie go straciłem.

– Co za tyyyyp. – Klementyna złapała się za głowę i ze wszystkich sił próbowała nie wpaść w kolejny atak śmiechu.

– Ekstra, co nie? Ale gorsze jest to, że później dzwoniłem do mojej byłej. Najgorsze z kolei to, że rozmawialiśmy, a ja za Chiny ludowe nie pamiętam o czym.

– Grubo, stary. Może po prostu zadzwoń do Karci i zapytaj, co się stało.

– Czekaj, stop – powiedział zdziwiony Wacław. – Skąd wiesz, jak ją nazywałem?

– Bo mi o tym powiedziałaś? Wczoraj? Zaraz, zaraz, a czy ty pamiętasz, o czym my w ogóle rozmawialiśmy?

– Do pewnego momentu. Powiedziałem ci również o...

– Przepraszam! – przerwał mu głos należący do kogoś, kto wyszedł z zakładu. – Jesteście klientami? Bo jeśli nie, to proszę się przenieść gdzie indziej!

– Jesteśmy – odparła Klementyna. – Idź, Wacław, ja poczekam. I tak, powiedziałaś. Nawet nie wiesz, jak bardzo ci współczuję.

Kolor zniknął z jego twarzy. Nigdy nikomu o tym nie opowiadał, a teraz zwierzył się kompletnie obcej, pokręconej i podejrzananej dziewczynie? Miał do niej ambiwalentne podejście. Z jednej strony wydawała się przesympatyczna i, o dziwo, potrafiła zarazić go niepohamowanym entuzjazmem. Z drugiej jednak – ten przyprawiający o gęsią skórkę blog, jakieś dziwaczne koneksje... Przecież nie można ot tak wziąć sobie czegoś z miejsca tragedii! Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić na policję i nie powiedzieć, że gówniara wzięła sobie sejf, ale

doszedł do wniosku, że współpraca z nią będzie mniej problematyczna, a jeśli czegoś miał w nadmiarze, to właśnie problemów.

W zakładzie pogrzebowym przeprosił za wcześniejsze zamieszanie, a następnie wybrał trumnę, co okazało się najmniej istotnym zadaniem – większej części ciała ciotki po prostu nie było. Pracownik zakładu miał duży problem z wyartykułowaniem tego, co stało się z ciotką Sabiną, ale gdy Wacław powiedział mu, że nie czuł się z nią emocjonalnie związany i najlepiej będzie mówić wprost, mężczyzna odzyskał rezon. Gaz z butli gazowej podłączonej do kuchenki wybuchł w momencie, kiedy Sabina znajdowała się blisko niej. Zbyt blisko. Nie będzie szans na otwartą trumnę. Pogrzeb ma się odbyć w najbliższy poniedziałek o godzinie dwunastej. Wacław próbował wysondować, czy pracownicy zakładu pogrzebowego wiedzą o jakichś dziwnych znaleziskach na miejscu zdarzenia, ale ci jedynie spojrzeli na niego podejrzliwie. Podziękował, wyszedł i automatycznie sięgnął po kolejnego papierosa. Musi przestać z tym walczyć, przynajmniej teraz.

– A powiedz tak szczerze – powiedziała uśmiechnięta od ucha do ucha Klementyna – pamiętałeś, że miałam po ciebie przyjechać, czy przeżyłeś podwójny szok?

– Dlaczego podwójny?

– No nie gadaj, że moja fura nie wywaliła cię z twoich ubłoconych papci.

– Pamiętałem, że chciałaś mi dzisiaj pomóc. To miłe. Nie wiem tylko, dlaczego to robisz.

– Bo ja jestem miła. I bardzo, ale to bardzo chcę wiedzieć, co jest w środku tego sejfu. Czyż to nie ekscytujące? Gdzie teraz? – zapytała, widząc, że skończył palić.

– Do kościoła. Na... Czekaaj, niech zerknę. Okazuje się, że ciotka była w jakimś Legionie Maryi.

– Co to? Jakaś żeńska odnoga Żołnierzy Chrystusa?

– Mam nadzieję, że nie. O, mam. – Spojrzał w otrzymane od Uszoka papiery. – Kościół Podwyższenia Krzyża Świętego.

– Podasz mi jakiś adres?

– Nie wiesz, gdzie to jest?

– A skąd niby miałabym to wiedzieć, Wacław? Nie znam na pamięć adresów wszystkich kościołów w Jastrzębiu-Zdroju, tym bardziej że w nich nie bywam.

– Wybacz. Kusocińskiego czterdzieści pięć.

– Bliziotko. Nie dasz mi się nawet dzisiaj rozpędzić. To niedaleko owuenu. Przejdziemy się później na spacer.

Nie dociekał, czym albo kim miał być ten cały owuen. Zamiast tego oparł się w wygodnym fotelu pasażera, by choć na kilka minut rozluźnić ramiona. Odkąd wyszedł ze szpitala, chodził jakiś dziwnie przykurczony; zakładał, że to wszystko

ze stresu. Klementyna, biorąc pod uwagę jej pojazd, jechała zaskakująco przepisowo, nie włączyła też żadnej muzyki ani radia. Dziwne, zważywszy, że wcześniej założyła słuchawki nawet na kilkuminutowy spacer. Dłoni wystukiwała na kierownicy jakiś rytm, aż w końcu zorientowała się, że Wacław jej się przygląda.

– Jesteś wierzący? – zapytała.

– Nie.

– Od zawsze czy może przestałeś, kiedy...

– Będę bardzo wdzięczny – przerwał jej obcesowo – jeśli nie poruszymy tego tematu. Nigdy. Od liceum. A ty?

– Ja, mój drogi, bardzo długo szukałam czegoś, w co mogłabym wierzyć. W wielu miejscach, w wielu ludziach, w wielu religiach. Naprawdę chciałam, żeby był nad tym wszystkim jakiś byt, najlepiej taki, z którym nie ma żadnej dyskusji, bo wtedy możesz go winić za wszelkie swoje niepowodzenia. Tak byłoby łatwiej. Byłam gorliwą katoliczką, taką z prawdziwego zdarzenia. Krótko, ale jednak. Wkręciłam się w buddyzm, ale szybko zaczął mnie irytować. Islam to trochę przypał, nie uważasz? Wierzyłam, że inni ludzie będą rozwiązaniem moich problemów... A wiesz, w co uwierzyłam ostatecznie?

– Zapewne w siebie.

– W młodość. Moją religią jest nieskończona młodość, a możliwości bóstwami. Stary, kiedy zdasz sobie sprawę, jakie to wszystko jest miałkie, jakie bez znaczenia w skali wieczności, jak szybko zostaniesz zapomniany, kiedy umrzesz... są wtedy dwie drogi.

– Ta zła i ta dobra?

– Nie, Wacław. Kurde, kim my jesteśmy, żeby w ogóle móc oceniać, co jest dobre, a co złe? Są dwie drogi, po prostu. Jedna to nihilizm absolutny. Jak wygląda, kogo i co na niej spotkasz, tego nie wiem. Ja wybrałam tę drugą, czyli korzystam z czasu, jaki mam na tym dryfującym w kosmosie kamieniu. Popatrz, dojechaliśmy.

Kościół był nowy, nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat albo przeszedł niedawno generalny remont. W jego bryle znajdowało się sporo trójkątów. Wacławowi od razu przyszedł na myśl fejsbukowy profil „Kościóły, które udają kury”, z którego nieraz zaśmiewali się z Karcia. Jakiś geniusz udawał kilkoma kreskami w Paincie, jak bardzo nowoczesne świątynie przypominają te ptaki. Wacław musiał przyznać, że i ta przypomina kurę, wystarczyło, że wyobraził sobie dziób i ślepią. Na dachu zauważył panele fotowoltaiczne. Przez chwilę zastanawiał się, czy to gospodarność proboszcza, czy może ten jedynie przegrał z wytrwałością telemarketera napędzanego sztuczną inteligencją i algorytmami.

– Tym razem idę z tobą. – Klementyna się uśmiechnęła. – Lubię rozmawiać z duchownymi.

– Dlaczego?

– Bo... Zresztą zaraz zobaczysz. Szczęść Boże! – krzyknęła i zaczęła machać do zbliżającego się do nich księdza.

Duszpasterz był młody, nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat. Zbliżał się do nich sprężystym krokiem, wyglądało to tak, jakby w ogóle nie używał pięt. W Waławie włączył się wewnętrzny specjalista, widział ewidentne zaniedbania w dzieciństwie księdza. Współczuł jego łydkom i zakładał, że ma okrągło-wklęsłe plecy. Z powodu poruszania się duchownego dopiero po chwili zauważył, że jego włosy są pofarbowane na jasny blond i nosi okulary w cienkich oprawkach i o okrągłych szklach. Skojarzył mu się z Eminemem.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – odpowiedział ksiądz, wyraźnie zdziwiony ich obecnością. – Fajne tatuaże – dodał po tym, jak otaksował wzrokiem Klementynę. – Sam mam jeden, o tutaj.

Podciągnął sutannę. Na jego łydce widniał symbol prześladowcy Waława, odkąd ten przyjechał na Śląsk – godło górnicze. Ksiądz, podobnie jak lekarz, pod pyrlikiem i żelazkiem miał wytatuowane liście laurowe. Kiedy Waław podniósł wzrok, zauważył, że Klementyna się wzdrygnęła i na ułamek sekundy jej twarz stężała. Trwało to tak krótko, że równie dobrze mogło mu się wydawać, zwłaszcza że innego logicznego wytłumaczenia nie mógł znaleźć. Teraz stała i szczyrzyła się w swoim stylu.

– Co was tu sprowadza, kochani?

– Nazywam się Waław Wolf, chciałem załatwić formalności związane z pogrzebem.

– Kto wrócił do ojca?

– Wróciła do ojca – poprawił go Waław – moja ciotka, Sabina Borowska. Chciała, żeby msza odbyła się właśnie w tym kościele.

Młody ksiądz położył rękę na ramieniu Waława, drugą zrobił znak krzyża, oczy skierował ku niebu.

– Moje kondolencje, straszna to tragedia. Dobrze znałem siostrę Sabinę, była gorliwą katoliczką i dobrym człowiekiem. Wielka to strata dla naszej społeczności, wielka... Jej bliscy z Legionu są załamani, ale wszyscy musimy pamiętać, że siostra Sabina jest teraz w lepszym miejscu. A dla ciebie – zwrócił się do Klementyny – kim była świętej pamięci Sabina?

– Nigdy w życiu nie widziałam jej na oczy. Jestem wsparciem emocjonalnym tego kawalera. Fajne włosy.

– Ach, rzadko widzi się księdza w młodzieżowej stylówce, nieprawdaż? Oprócz Legionu mam pod opieką również oazę młodzieżową. Przegrałem z dziećmi

zakład i proszę, oto efekt. Przepraszam, nie wyłapałem imienia...

– Mojego? Bo go nie podałam. Klementyna.

– Piękne imię! Chyba już trochę zapomniane, prawda? Twoją patronkę beatyfikował nasz papież. Wybaczcie, kochani, ale męczennice chrześcijańskie to trochę mój konik, szczególnie te *in defensum castitatis*, pisałem o nich pracę magisterską na religioznawstwie. Chciałem cię tylko zapytać: czy uczęszczasz do naszej parafii?

– Tak się składa, że nie uczęszczam do żadnej.

– Mam niesamowicie dobrą pamięć do twarzy, może nie fotograficzną, ale bardzo jej bliską. Skądś muszę cię kojarzyć...

– Na pewno nie z żadnego kościoła. Waclaw?

– Co? A, no tak. Msza. Pogrzeb. Czy moglibyśmy...

– Oczywiście! Proszę wybaczyć, to pewnie dla pana strasznie trudne, a ja tu sobie urządzam kącik zapoznawczy. Zapraszam do kancelarii.

Ksiądz ruszył żwawym, skocznym krokiem. Wacław spojrział zdziwiony na swoją towarzyszkę, ale ta jedynie wzruszyła ramionami i naśladowując krok duchownego, udała się za nim. Wacław kroczył ostatni. Czuł, że resztki alkoholu już z niego wyparowały. Był śpiący, zmęczony, brudny i co najgorsze – śmierdzący. Wątroba walczyła z wypitą wodą za pomocą hepatocytów, więc przez skórę wydzieliał się aldehyd octowy. Kwaśny odór przyprawiał go o mdłości, ale w jego przypadku jak zawsze gorsze było coś zupełnie innego – przeszywające poczucie wstydu. Podniósł rękę i pomachał dłonią pod pachą, chcąc tym gestem podpytać Klementynę. Uśmiech dziewczyny zmienił się w demoniczny grymas, a odpowiedzią na nieme pytanie były mówiące więcej niż tysiąc słów dwa palce wsadzone do ust.

Blond klecha spisał wszystkie niezbędne informacje, ustalił godzinę i sposób przejazdu na cmentarz, dał też Wacławowi numer telefonu do organisty. Gdy przyszło do ustalenia nieformalnego wynagrodzenia dla księdza, zrobiło się niezręcznie. Wacław nie wiedział, na ile „co łaskę” wyceniają tutejsi księża, najchętniej pokazałby blondasowi wyciąg z konta i wyszedł, ale wtedy musiałby nie być Wacławem. Wyjął z kieszeni portfel i dopiero wtedy dotarło do niego, że nie ma żadnych banknotów.

– Przepraszam, czy jest tu może jakiś bankomat w pobliżu? – zapytał zawstydzony. – Mam tylko same monety...

– Wysypuj, Wacław! – zachęciła go Klementyna. – Zobaczymy, ile uda się uezierać z tych twoich kotłoków!

– Z czego?

– Z drobnicy. No, wysypuj. A ksiądz niech pomaga liczyć, chyba ma ksiądz wprawę, co nie? Tyle tego grosza zawsze leży na tacy. W seminarium macie jakieś

zajęcia z matematyki stosowanej?

Duchownego zamurowało, nie zdążył powiedzieć nawet słowa, kiedy pieniądze wylądowały na biurku, a Klementyna głośno i wyraźnie zaczęła rachować bilon.

– Złotówka, dwie, trzy... A to? Co to jest, Waław?

– Dwa złote, ale jakieś okolicznościowe.

– Faktycznie! Co jest na rewersie? Klasztor franciszkanów, Kalisz, no kto by pomyślał! Czyli w temacie, ja bym policzyła jako trzy. Czyli mamy pięć...

Okazało się, że Waław miał przy sobie osiem złotych i czterdzieści trzy grosze, żeton do wózka i pierścioneł. Zauważył go pierwszy i szybko schował do kieszeni, unikając niewygodnych i bezczelnych pytań Klementyny.

Ksiądz wybuchnął nerwowym śmiechem.

– Kochani, no kto to widział. Weźcie to, weźcie. Tyle, co siostra Sabina zrobiła dla kościoła, to mało kto zrobił, nie trzeba, nie trzeba.

– Ależ trzeba! – zawołała Klementyna, wyłączając głównego zainteresowanego z konwersacji. – Pieniądz nie śmierdzi, prawda? – Mrugnęła do Waława, a ten oblał się rumieńcem. – To co, załatwione?

Blond ksiądz tylko się uśmiechnął, jeszcze raz złożył kondolencje i życzył dużo siły w modlitwie i Jezusie Chrystusie. Mieli już opuszczać kancelarię, kiedy Klementyna się odwróciła i klasnęła w dłonie.

– O co był zakład?

– Tajemnica – odpowiedział ksiądz.

Dziewczyna mrugnęła do duchownego i zamknęła za nimi drzwi.

Kiedy Waław odpalał papierosa, a Klementyna wyzywała go od zgniłków i skunksów, blondwłosy ksiądz upewnił się, czy na pewno nie ma nikogo za drzwiami, zamknął je na klucz i wybrał numer telefonu. Nie miał go zapisanego w książce, wprowadził wszystkie dziewięć cyfr z pamięci.

– Byli tu – powiedział, kiedy osoba po drugiej stronie odebrała. – Nie wiem, być może. Wygląda na to, że się udało. Nie zapłacił za jeden pogrzeb, a co dopiero za dwa...

ROZDZIAŁ 8

- Mamo! A Kamil mnie chlapie po buzi!
- Kamil! Pieronie, niy napasztuj Baški!
- Burek, do nogi! Ale już! Bardzo panią przepraszam, Burek, ty łajzo!
- Nic się nie stało, pewnie poczuł kotka. Gryzie? Ała!
- Burek, no do kur...
- Do mnie, podaj do mnie! Iii, bomba!
- Ale urwał, ale to było dobre!

Owuen, o którym mówiła Klementyna, okazał się otoczonym przez blokowiska nowoczesnym parkiem w samym centrum miasta. Ośrodek Wypoczynku Niedzielnego bynajmniej nie działał tylko w dzień świąty; gorący, wakacyjny piątek sprawił, że najwyraźniej przybyło tu całe miasto. Tak przynajmniej wydawało się Waławowi, który, jak typowy mieszkaniec metropolii, traktował mniejsze miasta jak wsie. Zakładał, że każdy każdego zna, a topografia miasta jest tak mało skomplikowana, że taksówkarzami mogliby być przedszkolaki. Pomysł Klementyny okazał się całkiem niezły, bo krótki spacer w tym skwarze sprawił, że pot Waław przestał być aż tak śmierzący, a on sam poczuł się trochę lepiej, choć zakładał, że jak zaśnie, to będzie spał co najmniej do połowy kolejnego dnia. Potrzebował cukru na tyle, że wygrał z wewnętrznym wstydem i nieśmiało, niczym kilkuletnie dziecko, zaproponował, żeby kupili sobie po lodzie. On stawia. Kiedy stali w sporej kolejce, co jakiś czas ktoś a to pomachał do Klementyny, a to zawołał ją po imieniu, żeby się przywitać. Gwar najmłodszych jastrzębian

bawiących się w wodnym placu zabaw, specyficzny zapach waty cukrowej i popcornu oraz lejący się z nieba żar sprawiły, że Waław poczuł błogość.

Kiedy był mały, często jeździł z rodzicami nad okoliczne jeziora. Ojciec szalał z nim w wodzie, mama pomagała jedynie w pracach na brzegu, takich jak budowanie zamków i piaskowych babek. Nie tylko nie umiała pływać, ale kiedyś nadepnęła w jeziorze na fragment szklanej butelki, który głęboko rozciął jej stopę. Wyglądało to dość upiornie, bo woda zrobiła się czerwona jak podczas ataku piranii, a szczie rany bolało jak cholera. Ta losowa sytuacja sprawiła, że jej plażowanie zawsze odbywało się bez udziału wody. Waław z kolei był urodzonym pływakiem. Nigdy z tym nic nie zrobił, choć był czas, kiedy ojciec zachęcał go do uprawiania tego sportu. Ukierunkowany na sukces syna, nie chciał, żeby ten tracił czas. Bo każda zabawa była stratą czasu. Jak tylko wyczuł, że Waław się czymś interesuje, chciał to profesjonalizować. Nie uznawał czegoś takiego jak dzieciństwo.

– Siema, Klementynko! – zawołał sprzedawca lodów, kiedy dotarli na początek kolejki.

– Bercik? Sorka, typie, kompletnie cię nie poznałam. Zgoliłeś wąsa? Dlaczego, dlaczego?!

– Wiesz, jak jest. Mejj lubej się nie spodobał i przez trzy tygodnie wyczerpałem moje budowane latami zapasy asertywności. Był wąs, ni ma wása.

– A mogłeś dla beki rozdawać autografy jako Rogucki. Kiedy wpadasz na jakąś dziarękę?

– Masz terminy jeszcze w tym roku?

– Mam dwa kalendarze. Jeden dla klientów...

– ...a drugi dla przyjaciół, tak, wiem. Odezwę się, coś by wypadało zrobić. Może jakąś biomechanikę o tutaj, na szyi? – Wskazał palcem miejsce. – Co myślisz?

– Oldskulowa biomechanika zawsze spoko. Co słyhać u...

– Przepraszam – powiedziała podniesionym głosem stojąca za nimi tęga dziewczyna. – Inni również tutaj czekają.

Klementyna przewróciła oczami, a znajomy sprzedawca lodów jedynie uśmiechnął się pod nosem i nałożył dwa średnie śmietankowe lody. Zanim Waław zdążył wyciągnąć telefon z kieszeni i zapłacić, Bercik rzucił, że tym razem na koszt firmy, co jeszcze bardziej zirytowało tęgą miłośniczkę mrożonych deserów.

– Zauważyłeś, drogi Waławie – zaczęła Klementyna między jednym a drugim liźnięciem – że wzrost tkanki tłuszczowej powoduje wybiórczą ślepotę? Szczególnie u bab.

– Obawiam się, że nie rozumiem. Gdzie teraz?

– Chodź, przycupniemy w tężni solankowej. Poczujesz w końcu uzdrowiskowy klimat miasta – zaproponowała i wróciła do poprzedniego tematu. – W jaki inny sposób można wytłumaczyć to, że im tłustsza locha, tym wybiera mniejsze rozmiary ubrań? Wszystko się wylewa... tak jak właśnie twój lód, zaraz się ubrudzisz, Wacek... a ona nie widzi w tym nic złego. Troszeczkę mnie to odpala, bo od kilku lat grubasy, które pewnie mają cholesterol poza skalą, miążdżycę, cukrzycę i kij wie co jeszcze, wycierają sobie tłuste mordy ciepłopozytywnością. Pewnie, akceptujemy wszystkich, ale nie mówmy, że bycie grubą świnią jest zdrowe. Patrz, zwolniła się ławka, siadamy.

W tężni atmosfera od razu się zmieniła. Nadal było słycać dochodzący z oddali wszędobylski wesoły hałas, ale wewnątrz konstrukcji panował półcień, który jakimś cudem tworzył swojego rodzaju syntetyczną ciszę. Pomiędzy tarninowymi ścianami średnia wieku drastycznie wzrosła, starsi wiekiem jastrzębianie delectowali się leczniczą mgiełką. Wacław zauważył, że jedna z pań siedzących w gradierni czytała dość wyświechtaną książkę z charakterystyczną czerwoną okładką. Nazwisko autora było napisane dużo większą czcionką niż sam tytuł. *Zezwierzęcenie* Jakuba Jabłońskiego było jedyną książką z gatunku *true crime*, jaką przeczytał, i to dwa razy z rzędu. Jak tylko skończył epilog, od razu wrócił do prologu, tak bardzo poruszyła go ta historia. Nie lubił kryminałów, nie lubił reportaży o zbrodniach, ale Karcia tak długo wierciła mu dziurę w brzuchu, że w końcu, dla świętego spokoju, sięgnął po tę pozycję. W fotelu spędził całą noc, a kiedy Karcia wstawiała rano do pracy, on robił sobie kolejną kawę.

– Czytałaś? – zapytał Klementynę. – O tym morderstwie mówiła cała Polska.

– Hmm? A, nie, nie. W sensie wiem, o czym mówisz, ale z książkami, które nic nie wnoszą do mojego rozwoju, to jestem trochę na bakier. Dlaczego pytasz?

– Strasznie mnie to poruszyło. Morderstwo w małym mieście, kłamstwa, manipulacje. Przeróżające.

– Sugerujesz, że jednak ktoś cię chciał zabić?

– No nie wierzę... O tym również ci powiedziałem?

– Wacek, typie. Dam ci dobrą radę: odstaw wódkę, przestań wbijać na imprezy na krzywy ryj. Niektórzy nie powinni mieć dostępu do używek. Tobie nie służą.

– Dzięki za dobrą radę. Całkiem tu miło – zauważył Wacław, omiatając wzrokiem wnętrze tężni.

– Co nie? Niby nic, a to magiczne powietrze jakoś faktycznie dobrze wpływa na człowieka.

– Mówię o całym tym ośrodku. W ogóle jestem zaskoczony, ile tu jest zieleni.

– W Jastrzębiu-Zdroju? Staaary. Dlatego się stąd nie ruszam. To jest naprawdę świetne miasto do życia. Unikatowe w skali Polski, a pewnie i Europy. Wypycham

klatę i nie spuszcza wzroku, kiedy ktoś pyta mnie o pochodzenie. Nie mówię szeptem, gdy mówię, skąd jestem. Co tak patrzysz dziwnie? Uwaliałam się lodem?

– Nie. Po prostu... Wybacz, mam pewien problem, jeśli chodzi o swobodne komunikowanie się. Nie lubię zwracać komuś uwagi, brać pod włos czy krytykować. Chciałem powiedzieć, że nie wyglądasz na kogoś, kto przykłada dużą wagę do miejsca urodzenia.

Dziewczyna podała mu bez słów swojego loda i zaczęła ściągać koszulkę. Kręcący się wokół ludzie od razu zauważyli ich obecność, jakby para zaczęła emitować jakieś promieniowanie, choć wcześniej byli po prostu kolejnymi osobami w tężni. Jedna z kobiet zakryła nawet oczy swojemu towarzyszowi. Klementyna miała na sobie sportowy stanik, więc zgorszenie szybko uleciało, ale Wacław i tak po raz kolejny zmienił kolor.

– Coś ty taki czerwony? Niby poznańska pyra, a jednak buraczek. Patrz.

Wśród wielu wzorów tatuowanych najróżniejszymi stylami wskazała mu napis ciągnący się przez cały brzuch. Gotycka czcionka skojarzyła mu się z osiedlowymi dresami i imionami ich ukochanych, tych jedynych kobiet życia, imionami, które później trzeba było przerabiać. Tylko jak z Agnieszki zrobić Kaśkę?

– MADE IN UPPER SILESIA. Okej.

– Patrz tutaj.

Na mostku, wśród psów, dinozaurów, kawałka pizzy i logo Playstation, ciągnął się szyb kopalniany, a geometria jego podstawy przypominała diament. Jedynym kolorem, jakiego się dopatrzył, była czerwień kominów; wydobywający się z nich dym układał się w napis STRONGEST ON EARTH.

– Mam jeszcze kilka dziarek związanych ze Śląskiem: beboka, Świętą Barbarę robiącą kickflipa na deskorolce, wagon węglowy pełen górników z głowami Pokémonów... My tutaj czujemy szczególne przywiązanie do małej ojczyzny. A Jastrzębie-Zdrój? Typie, mówię ci. Zostałbyś na tydzień i nie chciałbyś wracać. Powiedz mi, gdzie indziej była kiedyś wieś uzdrowiskowa, która później zamieniła się w prężnie działający organizm miejski ukierunkowany na przemysł wydobywczy? To jest obrót o sto osiemdziesiąt stopni! Wiesz w ogóle, że to miasto w przyszłym roku będzie miało swoje sześćdziesiąte urodziny? Może, gdyby nie pieprzona Polska Ludowa, to... No co gały wytrzeszczasz, babo jedna, już się ubieram. Ach, ta pruderia...

Wstała i przeciągnęła się, mrużąc jak kot, Wacław słyszał strzelające kości. Jeden z obserwujących ich jastrzębian, ten sam, któremu chwilę wcześniej żona zasłaniała oczy, wpatrywał się w Klementynę z rozdziawionymi ustami, do pełnego obrazu starego zboczeńca brakowało tylko kapiącej śliny. Do Wacława dotarło, że to jedno z wielu podobieństw łączących bobasy z mężczyznami, którym śmierć depcze po piętach – gapienie się na kobiece piersi z nabożną wręcz czcią.

Klementyna odwróciła się do Wacława plecami i wtedy to zauważył. Jedno z niewielu miejsc na jej ciele, gdzie nie znajdował się żaden tatuaż. Całą przestrzeń pleców pomiędzy łopatkami pokrywały blizny. Ślady po ranach były różnej długości, nachodziły na siebie, tworząc upiorną mozaikę bólu i cierpienia. Korciło go, żeby zapytać dziewczynę o ich pochodzenie, ale skoro on opowiedział jej wczoraj o swojej traumie, to może ona zrobiła to samo? Po raz kolejny wybrał milczenie i poszukał tematu zastępczego.

– Dużo ludzi cię tu zna, prawda?

– No racza! Nadeszły dobre czasy dla tatuatorów. Wiesz, ile osób chce wbić tusz pod skórę? Mam wrażenie, że teraz więcej ludzi jest podziabanych niż czyściutkich. No i fajnie, tatuaże są ekstra.

– Czyli jestem w mniejszości...

– Typie, możemy to zmienić w trymiga! Chyba że jesteś anty.

– Nie, nie o to chodzi. Nigdy nie mógłbym zdecydować się na jakiś wzór, bo bałbym się, że kiedyś mi się znudzi i nie będę mógł na niego patrzeć.

– To se zrób na plecach! – Dziewczyna się zaśmiała. – Wiesz, zawsze można zrobić cover.

– W sensie?

– Jedną dziarę można zakryć drugą. A tak w ogóle to należy o tym myśleć inaczej. W jakimś konkretnym momencie życia chciałeś mieć jakiś konkretny tatuaż. Nawet jeśli ci się znudzi, niech funkcjonuje jako wspomnienie. Chyba że masz wydzieraną swastykę, wolfsangel czy inne nazistowskie gówno. Wtedy do utylizacji. Tatuaż razem z właścicielem.

– Ciekawy punkt widzenia. Musiałbym to przemyśleć, tatuaż powinien mieć jakieś głębsze znaczenie.

– Bo co? To też jest jakiś przedpotopowy pogład. Wiesz, dlaczego mam dziewięćdziesiąt procent dziar? Po prostu mi się podobały. Owszem, niektóre mają znaczenie, mam na ciele analogie i metafory, ale jak myślisz, dlaczego na bicku widnieje tańcząca żaba trzymająca karton z napisem SEND NUDES? Gdzie tu jakaś głębia? Wiesz gdzie? Nigdzie! Ziomeczek narysował zabawny wzór i mi się spodobał. Tyle. – Wytarła koszulką spoconą twarz. – Jeśli się zdecydujesz, *just say the word*.

Wacław uświadomił sobie, że Klementyna fascynuje go coraz bardziej i zaczyna ją traktować trochę jak siostrę. I to na dodatek starszą.

– Wybacz, ale muszę cię o coś zapytać – powiedział.

– Skończ z tym wybaczeniem, Wacław. I pytaj, przecież widzę, że coś cię dręczy.

– Nie musisz być dzisiaj w pracy?

– Typie, ja nic nie muszę. Mam własne studio i wzięłam sobie wolne. Klienci rozumieją, nie pierwszy, nie ostatni raz. Ci stali już się liczą z moją spontaniczną nieprzewidywalnością.

– A jak się nazywa to studio?

– Jestem bardzo dumna z tej nazwy, myślałam nad nią dobry tydzień. Uwaga, gotów? No kiwnij chociaż głową! Dzięki. I! Po! Trzy! RUSZ TUSZ! – krzyknęła tak głośno, że po raz drugi zwróciła uwagę wszystkich osób znajdujących się w tężni solankowej. – Dobrze, co nie?

– Faktycznie. – Waclaw się uśmiechnął. – Kreatywności nie można ci odmówić. Pomyślę.

– O czym?

– O tatuażu. Może po pogrzebie...

– No jasne! To będzie czysta przyjemność – zapewniła, zerkając na swój telefon. – To jak, doszedłeś już trochę do siebie?

– Nie, dzięki. Potrzebuję snu, oczy mi się zamykają. Gdybym siedział tu sam i nie musiał z nikim rozmawiać, to zasnąłbym w trymiga.

– Mogę cię odwiedzić do hotelu, a do tajemnicy dobierzemy się jutro. Jak myślisz, co tam może być?

– Szczerze? Pewnie nic, co mogłoby sprawić, że twój wpis na blogu będzie... sztosem, tak? Co starsza, bogobojna kobieta, dumna członkini Watahy Marii...

– Legionu.

– A tak, faktycznie, Legionu. Co dumna członkini Legionu Marii, na dodatek samotnie mieszkająca, może trzymać w sejfie? Myślę o tym cały dzień. Opcja, z której byłbym naprawdę rad, to jakieś oszczędności, może sztabka złota. Kurczę, nawet złote zęby byłyby ekstra. Jestem obecnie trochę... pod kreską. Ale to z kolei nie urządzi cię, bo co napiszesz na blogu? Był sejf, było złoto, tyle. Druga opcja...

Popatrzył na parę spacerujących staruszków. Miał wrażenie, że robią już dziesiątą rundkę wokół tężni. Począł, aż się oddalą, tak na wszelki wypadek, i dopiero wtedy postanowił podzielić się z Klementyną swoimi obawami.

– Odkąd jestem w tym mieście, mam wrażenie, jakbym stale był obserwowany. Jakbym trafił do jakiejś alternatywnej rzeczywistości, gdzie wszyscy wokół grają tylko po to, żeby zmylić głównego bohatera. Tak, wiem, co za buta! Jak można myśleć o sobie w takich kategoriach, prawda? A jednak to wrażenie nie przechodzi.

– A w tej twojej teorii to kim ja jestem? Znudzona *status quo* miłośką protagonisty?

– Symulacja się zepsuła.

– Co? Wacek, czy ty masz udar? Weź nie miej, ja się nie znam na pierwszej pomocy! W sumie to się nie znam na żadnej!

– Nie mam udaru. Widzisz tę wymalowaną babcię? O, tę z perłowym naszyjnikiem? Chodzi sobie tak w kółko, mija nas już chyba z dwunasty raz. Ten dziadek, który za nią człapie, chwilę temu trzymał ją pod rękę. Ona cały czas tutaj zerka.

– Może nadal jest wściekła za mój mały pokaz.

– Nie, nie. Patrzy się na mnie. Widziałaś? O, znowu.

– Typie, pewnie cię słyszała, to się teraz patrzy. I w ogóle to jej wcześniej nie zauważyłam.

– Mhm. Czyli wyszło na moje. Symulacja się zepsuła.

– Dobra, stary, zacznasz mnie przerażać. Wyjaśnisz czy mam dzwonić po ambulans?

Wacław wstał, przespacerował się wokół tężni kilka razy, ale wymalowana matrona jakby wyparowała. Żałował, że na moment spuścił z niej wzrok. Usiadł obok Klementyny i wyciągnął papierosa, a widząc jej strofujący wzrok, od razu schował go z powrotem do coraz bardziej wyświechtanej paczki czerwonych marlboro.

– Wiesz, na czym polega argument snu?

– Czyli jednak do hotelu?

Wacław się zaśmiał.

– Nie – odparł. – Argument snu to hipoteza, według której ludzie śniący nie zdają sobie sprawy, że są we śnie. Skoro tak, to skąd mamy wiedzieć, że nie śnimy nawet teraz?

– Mogę cię uszczypnąć, jeśli chcesz. Co to ma wspólnego z symulacją?

– Daj dokończyć. Zakładam, że nie wiesz, kim jest Nick Bostrom? – zapytał, a zobaczywszy, że Klementyna kręci przecząco głową, kontynuował swój wywód.

– Bostrom to filozof i zaciekły piewca teorii transhumanizmu, a jedna z jego hipotez dotyczy właśnie symulacji. Teraz uważaj. Bostrom przedstawił trylemat...

– Co to jest trylemat?

– Dylemat, ale z trzema alternatywami.

– Uuu, trójkącik, naaajs. Kontynuuj.

– Teraz uważaj. Bostrom twierdzi, że jedno z tych trzech twierdzeń musi być prawdziwe. Cywilizacje przestają istnieć, zanim osiągną technologiczną możliwość tworzenia symulacji rzeczywistości, to pierwsze. Jeśli nie jest to zgodne z prawdą, Bostrom zakłada, że zaawansowane cywilizacje w ogóle nie zwracają sobie głowy tworzeniem symulacji.

– Dlaczego? – zapytała Klementyna. Wyglądała na zaciekawioną i skupioną.

– Może mają ważniejsze rzeczy na głowie, bunt maszyn, szalejąca AI, kto wie.

– Ja mam wrażenie, że bunt maszyn już się rozpoczął, wiesz gdzie? W Biedronkach. Te biedne kasy krzyczą „potrzebna pomoc, potrzebna pomoc, potrzebna pomoc!” i wiesz co? Nikt im nie pomaga. W końcu się wkurzą...

– Ale... Klementyna, one nie proszą o pomoc, a...

– Żartuję. To był żart. Nie jestem głupia. No dobrze, i co dalej?

– Jeśli pierwsze dwa stwierdzenia są fałszywe, Bostrom sugeruje, że wcale nie jesteśmy samotnymi, pełnymi lęków formami życia pochodzenia węglowego. W rzeczywistości jesteśmy jedynie sztucznymi symulacjami, które fizycznie istnieją jako układy scalone w magazynach danych cywilizacji przyszłości. Jestem przekonany, że ta kobieta minęła nas kilkanaście razy, ty twierdzisz, że nie. Może po prostu symulacja się na chwilę popsuła.

Klementyna patrzyła na niego intensywnie, lekko zmrużyła oczy, jakby szukała na twarzy Wacława jakichś mikroskopijnych niedoskonałości. On z kolei był pewien, że dziewczyna zaraz wybuchnie śmiechem, powie, że jest kretyńcem, debilem i na dodatek foliarzem. Cisza zaczęła mu przeszkadzać, dłonie się spociły, a serce zaczęło bić odrobinę szybciej.

– Wiesz jak bardzo się w tej chwili zmieniłeś? – powiedziała w końcu. – Z zahukanego i potulnego baranka stałeś się wilkiem. Mógłbyś wystąpić na scenie TED Talks. Aż ci się oczy świeciły.

– Przepraszam, ale...

– Nie! Nie przepraszaj, mordo. Zawsze tak się dzieje, kiedy mówisz o czymś, co uważasz za interesujące?

– Chyba tak – odparł po chwili. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Widzisz, gdybyś uznał, że cały świat jest w dechę, wskrzesił tę dziecięcą ciekawość, to żyłoby ci się lepiej. Sorka za dygresję. Kurde, już nawet przepraszam jak ty. – Zaśmiała się. – Wierzysz w to? Że to tylko symulacja?

– To nie jest kwestia wiary. Takie podejście sprawia, że życie staje się odrobinę bardziej... znośne.

– Staaary. Strasznie to głębokie. I nawet harmonizuje z moją teorią o dwóch drogach. Ale mi zaschło w pysku. Skoro to wszystko, ta tęźnia, twój kacowy smród, moje myśli i słowa są jedynie kodem binarnym, a ty jesteś tego świadom... Do jakich wniosków dochodzisz?

– Nic tak naprawdę nie ma większego znaczenia, a wolna wola nie istnieje.

– Właśnie. – Ucieszyła się. – I sam powiedziałeś, że daje ci to jakimś komfort. Ale mimo wszystko skręcasz w kierunku nihilizmu, mylę się?

– Nie mylisz się.

– Spójrz na to w ten sposób. Może ci ultraaawansowani naukowcy prowadzą symulację próbną. Wersję beta. Może testują nas w tym wirtualnym życiu. Dwie

linijki kodu i bum, dom twojej ciotki eksploduje, źle postawiony slash i tracisz to, co dla ciebie najważniejsze. Przecież skoro ten cały Bornholm...

– Bostrom.

– Niech będzie. Jeśli założył sobie, że to wszystko to symulacja, to przecież można ją zresetować, co nie? Odpalić od nowa i włączyć tryb dla początkujących. Wpisać kod na nieśmiertelność albo nieskończone pieniądze w banku. Może twoja jaźń trafi następnym razem do jakiegoś wspaniałego miejsca, gdzie wszystko jest w porządku, wszyscy są mili i sympatyczni. Raj na ziemi.

– Jeśli mogą zrobić coś takiego, to wysoce prawdopodobna jest także odwrotność – zauważył ze smutkiem. Ogień i siarka. Ból i cierpienie. Najwyższy poziom trudności.

– Hah – prychnęła Klementyna, cały czas pogrążona w deliberacji. – Nie przypomina ci to czegoś? Właśnie rozszyfrowaliśmy większość znanych ludzkości religii. *High five!* – Wyciągnęła dłoń.

Wacław przybił piątkę, ale jego ruchy były ospałe, jakby został zalany jakąś gęstą mazią. Breja wlewała mu się przez uszy, wchłaniała płyn mózgowo-rdzeniowy i zmieniała domyślne ustawienia na tryb rozpacz. Zamknął oczy i przypomniał sobie, co kiedyś słyszał w podcaście o radzeniu sobie ze stresem, którego gościem był Andrew Huberman. Wacław nie obserwował wielu kont na Instagramie, ale to należące do neurobiologa z Uniwersytetu Stanforda stało się jednym z jego ulubionych. To właśnie dzięki Hubermanowi poznał fizjologiczne westchnienie, specyficzny wzorzec oddychania. Dwa wdechy przez nos, długi wydech przez usta. Według Hubermana zwiększa to powierzchnię płuc i znacznie wydajniej usuwa dwutlenek węgla z organizmu, a w rezultacie relaksuje całe ciało. Dwa wdechy, wydech. Może Huberman wie o symulacji, a ten jego wzorzec wysyła sygnał do ruchu oporu? Dwa wdechy, wydech. Może istnieje druga grupa naukowców, tych dobrych reptilian, którzy chcą przejąć serwery i faktycznie zmienić parametry symulacji? Albo ulżyć wszystkim w cierpieniu i po prostu wyciągnąć wtyczkę? Dwa wdechy, wydech. Wacław skupiał się na swoim otłuszczonym ciele, tak bardzo zniszczonym przez lata zaniedbań. Oddychanie miało spowolnić tętno, ale czarna breja skutecznie blokowała komunikację na linii mózg–serce. Dwa wdechy, wydech. Na jak długo się wyłączył? Nie mogło to trwać dłużej niż kilka sekund, ale skoro tak, to dlaczego czuł, jakby spędzał w tej nicości już kolejny tydzień. Słyszał głos Klementyny, a raczej zakładał, że należał do niej, bo był zniekształcony i niewyraźny. Wtedy nadszedł on, znowu. Naczelnny Skurwysyn, Architekt Cierpienia, Pan i Władca Bólu. Sen. Nie wiedział, jak wygląda jego nemezis, ale czuł jej obecność, słyszał, jak do niego szepcze.

Ziemniaki.

Awokado.

Worki na śmieci.

Grana pa...

Odgłos, który wywołało bardzo szybkie zbliżenie się otwartej dłoni Klementyny do jego policzka, słyhać było w całej tętni. Charakterystyczny plask odbił się echem od tarniny. Po raz trzeci wszystkie pary oczu skierowały się na ten nieoczywisty duet. Atak zainicjowany przez Klementynę obrócił się przeciwko niej samej – pisnęła z bólu i zamachała dłonią, bezgłośnie przeklinając. Waclaw otworzył oczy i złapał haust powietrza. Dopiero teraz poczuł, że jest cały mokry. Serce waliło mu jak oszalałe, a prawa dłoń niekontrolowanie drżała.

– Dlaczego mnie oblałaś wodą?

– Wodą? Wodą?! Waclaw, człowieku, ty wpadłeś w jakąś martwość czy inne cholerstwo! Tak się spociłeś!

– Co? Kiedy?

– Teraz! Ja pier... Zobacz! Zobacz na swoją dłoń! Ty to robisz? Przestań tak ruszać ręką!

– Co się stało?

– Zamknęłaś sobie oczy i zaczęłaś jakoś dziwnie oddychać. Myślałam, że chcesz sobie ode mnie odpocząć, a ty nagle zmieniłeś nos w odkurzacz, typie. Zaraz się zrobiłeś mokry, pot ci normalnie ciurkiem po twarzy leciał. Mówię do ciebie, krzyczę, potrząsam, a ty, kurde, nic! Dopiero plaskacz cię wybudził z tego paraliżu.

– Uderzyłaś mnie? Nic się nie stało, wygrałaś.

– Waclaw, dzwonię po karetkę, przecież ty bredzisz, jakbyś znowu był pijany.

– Nie trzeba, nie trzeba. Wszystko dobrze. Zobacz. – Podniósł prawą dłoń. – Już ustało.

– Na pewno? – zapytała z obawą w głosie, trzymając telefon w gotowości.

– Tak. Zaraz mi pęknie łeb. Masz może jakieś proszki?

– Chyba apap, ale to w aucie. Dojdiesz? Zawiozę cię do hotelu, musisz się porządnie wyspać. Sejf jest u mnie bezpieczny, nigdzie nie ucieknie.

– Dam radę, jedźmy. Wiesz, na co ten sejf zaczyna mi wyglądać? – zapytał i zaczął się podnosić. Poczował, jak ciało rzuca go na prawą stronę.

– Na błąd w symulacji.

Uśmiechnął się, podniósł kciuk lewej ręki i ruszył za dziewczyną w kierunku miejsca, gdzie zaparkowała swój samochód.

Krótki spacer odbył się w akompaniamencie śpiewu ptaków i trajkotania Klementyny. Przez całą drogę trzymał dłonie w kieszeniach i robił wszystko, żeby powstrzymać drżenie jednej z nich. Coraz więcej jastrzębian ciągnęło w drugą stronę, chcąc złapać choć kilka chwil relaksu po całym tygodniu pracy. Waclaw

intensywnie przyglądał się ich twarzom, ale najwyraźniej do laboratorium reptilian przyszła już nocna zmiana, bo nie zarejestrował błędu.

ROZDZIAŁ 9

Wacław opuścił szybę w drzwiach pasażera i przez całą drogę do mieszkania Klementyny zachowywał się jak pies pragnący świeżego powietrza. Jego dłoń wreszcie się uspokoiła, podobnie jak Klementyna. Dziewczyna chciała, żeby obejrzał go lekarz, ale Wacławowi udało się ją od tego odwieść. Swój stan sprzed chwili obracał w żart, symulacja tego dnia musiała naprawdę szwankować, ktoś przysypiał w robocie. Co miał jej powiedzieć? Ogarnęła go trwoga, bo przecież był przekonany, że jedyne, co robił, to oddychał głęboko. Jeszcze bardziej przstraszyła go drgająca niekontrolowanie dłoń. Znał tylko jedną przypadłość, która tak się objawiała. Z tego, co wiedział, zdiagnozowanie Parkinsona było bardzo trudne. Może wcale nie miał samodziagnozowanej depresji? Przecież początkowe objawy tych chorób się pokrywały. Może był genetycznie obciążony? Nie znał drzewa genealogicznego matki, a ojciec nie utrzymywał już z nim jakiegokolwiek kontaktu. Zadzwoń do niego po powrocie do domu, umówi się też na tomografię komputerową mózgu, elektroencefalografię i rezonans magnetyczny.

Jeśli chcę się leczyć, pomyślał, to może podświadomie chcę także żyć?

– Ty! – zawołała nagle dziewczyna. – A co z tą twoją Karcia? Nie chcesz się dowiedzieć, co jej nagadał?

– Co ci się tak nagle przypomniało?

– No nie wiem, jakoś tak.

– Wybacz, ale wydaje mi się, że wyjdę na jeszcze większego kretyna i desperata.

– Dlaczego desperata? Od razu zakładasz, że chciałeś do niej wrócić na kolanach?

– Nie wiem, o czym innym miałbym z nią dywagować przez prawie piętnaście minut.

– Może... – Zastanowiła się, trąbiąc na jakąś dziewczynę przechodzącą w niedozwolonym miejscu. – Może o słoniu w pokoju?

– Klementyna, o jakim znowu słoniu? – zdziwił się Waław.

– No wiesz, jest taki amerykański idiom, który znaczy...

– Wiem, co znaczy, i wydaje mi się, że bezpośrednie tłumaczenie na nasz język niewiele powie jakemukolwiek twojemu rozmówcy. Odpowiadając na pytanie: może o słoniu, ale jeśli rozmawialiśmy o niej, to tym bardziej nie chcę wiedzieć, co jej mówiłem przez tyle czasu.

– Okej. Już odpuszczam. Zobacz, jesteśmy.

Mieszkanie Klementyny znajdowało się na Osiedlu Wygodnym przy ulicy Wiejskiej. Dojechali tam w kilkanaście minut. Waław nie był przyzwyczajony do tak krótkich podróży po mieście. Zazwyczaj musiał zmieniać tramwaje i autobusy, tym bardziej że mieszkał na poznańskich Jeźycach, a pomieszczenie, które zaadaptował na gabinet fizjoterapeutyczny, znajdowało się na Wildzie. Gdyby mieszkał w Jastrzębiu-Zdroju, poruszałyby się zapewne jedynie na piechotę, bo lubił spacerować dużo bardziej niż gnić w komunikacji miejskiej. Hulajnóg nie uznawał, a nienawidził, odkąd jakiś rozwydrzony bachor wjechał w niego na chodniku. Rower? To było zbyt wiele dla jego niewysportowanego ciała.

W jego oczach to miejsce w ogóle nie pasowało do Klementyny, było zbyt nowe, zbyt sterylne. Wyobrażał ją sobie w jakiejś kamienicy, gdzie ściany mają trzy metry wysokości, w mieszkaniach są stare piece kaflowe, a zunifikowani autochtoni walczą z postępującą gentryfikacją. Tymczasem tu, gdzie właśnie podjechali, powinni mieszkać przedstawiciele wyższej klasy średniej, ojciec pracujący w zachodniej korporacji, po godzinach chodzący na crossfit i identyfikujący się jako brodac, sfrustrowana matka, która została kurą domową nie ze swojego wyboru, pijąca po kryjomu olbrzymie ilości drogiego wina, dwójka dzieci: syn gra w licealnej drużynie koszykówki i jest obiektem westchnień płci przeciwnej, córka ma zadatki na pianistkę światowej sławy, ale wraz z koleżankami odkryła właśnie tani mefedron na dowóz. Na podjazdach modnych szeregowców stały auta typu kombi i najnowsze elektryki. Nie było tu słychać gwaru dzieci, tak wszędobylskiego na wielkopłytowych blokowiskach. Nikt nie tworzył bohomazów kredą, bo pewnie skończyłoby się to interwencją straży miejskiej, nikt nie krzyczał, bo zapewne starsi lokatorzy mieli na podorzędziu mierniki decybeli.

– Zapraszam do mojego królestwa – powiedziała Klementyna, przerywając jego wiwisekcję potencjalnych mieszkańców osiedla. – Właż, właż, szybciej! Bo Tofu ucieknie!

– Tofu? Masz psa?

– Typie, kocham pieski, kocham w gruncie rzeczy wszystkie zwierzątka, ale ja to jestem kociarą. Zaraz cię przedstawię. Tofu! Tofu, gdzie jesteś, pieronie?! Pewnie się zawstydził albo znowu utknął w łazience. No, wchodź. Czym chata bogata, czuj się jak u siebie i w ogóle.

Na parterze mieszkania Klementyny mieścił się salon z aneksem kuchennym i, jak zakładał Waław, łazienka. Zdziwił się ponownie, bo w mieszkaniu było naprawdę czysto. Czyżby ta szalona dziewczyna miała pedantyczne zapędy i w wolnym czasie zapieprzała z mopem i miotełką do kurzu? Jedną ścianę salonu zajmował olbrzymi telewizor, do którego podpięto Nintendo Switch. Przed odbiornikiem stał jajowaty fotel żywcem wyjęty z jakiegoś *Star Treka* albo innych *Gwiezdných wojen*. Obok niego leżał olbrzymi puf w kształcie jakiegoś stwora, którego Waław skądś znał, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd. Przy przeciwległej ścianie znajdował się designerski stół i cztery krzesła, a aneks kuchenny pełen był sprzętów Smega. Marzenie Karci, odkładała pieniądze na turkusową lodówkę tej firmy.

– Ładny dom, naprawdę – powiedział, rozwiązując brudne buty.

– A dziękuję, dziękuję. Jakby co, to tu jest łazienka, tu trzymam rowery, nie otwieraj drzwi na ogród, bo Tofu może czmychnąć. Chcesz zobaczyć górę? Na pewno chcesz, tam czeka na nas wielka tajemnica! Coś do picia? Jesteś głodny? Ja jestem antykucharką, ale zawsze możemy coś zamówić!

– Czekaj, po kolei. Tak, chętnie zobaczę górę. Nie kłopotz się, zjem coś, jak wrócę do hotelu. Chętnie się czegoś napiję.

– Ha! Frajer! To nie było po kolei! Ciepłe? Zimne? Alkohol to może sobie dzisiaj odpuścimy, co nie?

– Może lepiej tak. Zwykła woda wystarczy. Co to jest za stwór? – Wskazał brodą na pufa.

– To przecież Snorlax – odpowiedziała uradowana. – Z Pokémonów! A wodę sobie weź z lodówki i zapraszam na ciąg dalszy wycieczki po Casa de Clementi.

Weszli po betonowych schodach pomalowanych jakąś strukturalną farbą w kolorze ciemnego fioleto ze srebrną, brokatową dosypką.

– Tu na wprost – oznajmiła, pokazując ręką – jest druga łazienka. Taka o.

Kiedy otworzyła drzwi, z pomieszczenia dumnie wymaszerowało stworzonko o olbrzymich uszach, hipnotyzujących oczach o barwie akwamaryny i z mnóstwem fałd na bezwłosej skórze. Stworzenie usiadło przed Waławem, spojrzało mu prosto w oczy i wydało z siebie jedno jedyne przeciągłe miauknięcie.

– No już dobrze, dobrze – powiedziała do stworzonka Klementyna. – Nie musisz się skarżyć, w końcu sam to sobie zrobiłeś. Waław – podniosła stworzenie na ręce – to jest Tofu, Tofu, to jest Waław. Bądźcie dla siebie mili.

– To jest właśnie twój kot? – zapytał Waław, wyraźnie zniesmaczony.

– Wiesz co, z kotami to jest trochę tak, że to chyba ja jestem bardziej jego. Ale to właśnie jest Tofu, sfinks doński. Prawda, że przepiękny?

– Przepiękny. Naprawdę – skłamał, wyczuwając w powietrzu kocią antypatię.

– No, Tofu – powiedziała i postawiła zwierzę na ziemi. – Później mi opowiesz, jak ci minął dzień. Chodź, Waław, idziemy dalej. Tu jest moja sypialnia – wskazała ręką kolejne drzwi – a z sypialni możesz sobie wejść do garderoby. Nie lubię tego słowa, bo kojarzy mi się z jakimiś wyniosłymi snobkami, no ale nic nie zrobisz. Po prostu trzymam tam ciuchy.

Obok małżeńskiego łóżka stała szafka nocna z małą lampką, a na podłodze walały się kocie zabawki i maskotki. W garderobie z kolei znajdowały się konstrukcje z kartonów, które wyglądały na wysoce niestabilne. Jeden fałszywy ruch i będzie jak w Jendze, pomyślał Waław. Na większości z nich widniał charakterystyczny *swoosh* odzieżowego giganta.

– Chyba bardzo lubisz buty, co? – zapytał, bojąc się zrobić choćby pół kroku.

– Kocham! Jestem absolutną sneakerheadką! Niektóre modele tutaj są warte... No sporo! Ale to nie o to chodzi. Po prostu lubię w nich chodzić. Nie trzymam jak niektórzy pod kloszem, buty są, kurde, do chodzenia, co nie?

– Trudno się nie zgodzić. A te, które miałaś dziś na nogach?

– Nike SB Dunk Low Freddy Krueger. Co z nimi?

– Krueger! No właśnie, cały czas z czymś mi się kojarzyły, ale nie wiedziałem z czym. Lubisz *Koszmar z ulicy Wiązów*?

– Nie. Nie lubię oglądać horrorów, za bardzo się boję! Ale te buty są absolutnie kolekcjonerskie, nigdy nie były w oficjalnej sprzedaży, więc musiałam je mieć w mojej skromnej kolekcji. Chodź. Ostatni przystanek zwiedzania. Moja sala tronowa. Miejsce, gdzie dzieje się magia!

Pracownia Klementyny zajmowała ponad połowę metrażu piętra. Na wszystkich ścianach znajdowały się obrazy i rysunki w antyramach. Biurko ustawione było tak, żeby nie padało na nie światło słoneczne z żadnego z dwóch okien. Stał na nim iMac z podłączonym dodatkowym monitorem, a nieopodal klawiatury leżał tablet graficzny. Na podłodze z kolei zalegała wielka tajemnica, o której mówiła Klementyna, choć wcale na wielką nie wyglądała. Sejf był poobijany i wciąż brudny od materiałów budowlanych, ale najwyraźniej wybuch nie naruszył jego zamka. Do pracowni Klementyny wszedł Tofu, a widząc, że ludzi interesuje ten dziwny przedmiot, postanowił zrobić sobie z niego chwilowe legowisko.

– Kurde, aż mam gęsią skórę! Zobacz, Waćław! – Wyciągnęła w jego kierunku rękę. – Zobacz! Masakra, no jaram się na maksa! Jak pochodnia! Jak Londyn w tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym roku! Jak...

– Widzę – przerwał jej Waćław i od razu tego pożałował. Znowu zachował się niegrzecznie. – Ja byłbym jednak bardziej oszczędny w jaraniu się.

– Nadal myślisz, że nie znajdziemy w nim nic ciekawego? Serio?

– Myślę, że była to fanaberia starszej, samotnej i nieufnej kobiety. Dam sobie uciąć rękę, że w tym sejfie znajduje się coś cennego. Materialnie cennego. Może jakaś rodzinna biżuteria, może wartościowy zegarek, który przetrwał wojnę ukryty w pewnej tylnej części ciała. Czy są to rzeczy wybitnie ciekawe? Warte opisanie dla ponad stu tysięcy ludzi miesięcznie? Nie sądzę, to już puzzle i niedziele niehandlowe w wynikach wyszukiwania są dużo bardziej ciekawe.

– A ja myślę – podjęła Klementyna, zrzucając kota z sejfu – że się mylisz. I to grubo. Zobacz, ile jest tu dziwnych zbiegów okoliczności. Ciotka pisze testament zaraz po śmierci twojej matki. Matka przez całe życie nie mówi ci ani o swojej siostrze, ani o śląskim pochodzeniu. Ktoś próbuje cię zabić, zanim w ogóle pojawisz się w Jastrzębiu-Zdroju. Moim zdaniem jest tam coś ważnego. Wybitnie ważnego.

Waćław nie przypominał sobie, żeby powiedział jej o zdarzeniu drogowym, ale to akurat już go nie dziwiło, skoro Klementyna wiedziała nawet o tym, co spotkało jego i Karcie.

– Dlaczego w ogóle czekałaś na mnie? Na pewno są jakieś metody na siłowe otwarcie sejfu, a skoro nikt się nie zorientował, że zniknął ze zgliszczy, to po co w tym wszystkim ja?

– Wacek, *think, think, think!* Nie bądź Kubusiem Puchatkiem. Przecież wtedy nie mogłabym w żaden sposób wrzucić tego na bloga. Liczyłam, że ktoś będzie wyprawiał jej pogrzeb i że ten ktoś będzie miał klucz do sejfu.

– Okej. A skąd wiedziałaś, że tym kimś jestem ja?

– Tajemnica! – Pokazała mu język i mrugnęła prawym okiem. – To co? Otwieramy? Czy potrzebujesz chwili dla siebie?

Waćław kiwnął głową na znak zgody, usiadł na podłodze i wyciągnął klucz z kieszeni. Jego dłoń nieznacznie drgnęła, ale na szczęście Klementyna tego nie zauważyła. Włożył klucz do zamka sejfu, przekręcił i otworzył drzwiczki.

W środku nie było sztabek złota ani żadnych cennych przedmiotów, a jedynie jakieś bardzo stare papierzyska. Waćław wyciągnął je delikatnie, nie chcąc uszkodzić dokumentów. Klementyna usiadła obok niego. Wyglądała, jakby każda część jej ciała cieszyła się w inny sposób, jakby miała zaraz wybuchnąć z ciekawości.

– Co to jest? – zapytała w końcu, ignorując ocierającego się o jej nogi kota.

– Wygląda na listy. Tylko listy i nic więcej. Bardzo stare listy. Chyba wyszło na twoje.

– Mogę zobaczyć? Tylko ostrożnie. Nie ma żadnej instrukcji od ciotki Sabiny?

– Wygląda na to, że nie. Kto jest autorem tych listów? Moja mama?

Klementyna rzuciła okiem na kilka dokumentów, dokładnie sprawdzając podpis.

– O cholera – zaklęła tylko.

– Co jest?! Co to za listy? Czemu nic nie mówisz?

Klementyna odpowiedziała mu dopiero po chwili. Wstała i wyciągnęła telefon z kieszeni.

– To ja jednak zamówię coś do jedzenia, a ty idź zrób drinki. Czeka nas długa noc.

LISTY I

Najdroższy!

To jest już więcej niż pewne. Jestem przy nadziei! Mój brzuch wypełnia się nowym człowiekiem na obraz i podobieństwo Boga stworzonym. Wiem, kochany, że dla Ciebie to nie jest dobra nowina. A może jest? Wiem też, że synek Twój, oczko w głowie Twoje, zawsze będzie tym najważniejszym, pierworodnym. Żywię nadzieję, że zechcesz chociaż raz, ten jeden jedyny raz, dziecko swe wziąć na ręce i dziecku swemu kolejnemu choć pobłogosławić. Ono niczemu winne, jedynie grzech ma pierworodny, jak każdy człowiek. Niech dziecko nasze nie musi płacić za błędy jego rodziców. Lecz czy to na pewno błąd? Czy błędem nazwać można to uczucie, które nas połączyło? Czy błędem były Twe pocałunki? Twój dotyk i ta namiętność z dnia na dzień narastająca? Te momenty ludzkiej słabości? Nie myślę tak i myśleć nie mam zamiaru! Skoro człowiek na obraz i podobieństwo Boga stworzonym, to nawet nasz grzech musiał w sobie mieć pierwiastek boski, czyż nie? Tak piękny czas nie mógł być dziełem szatana, pustynnym kuszeniem. Nie mógł. Najdroższy, czekam zatem na Twą decyzję i tuszę, że podejmiesz tę właściwą. Dziecko musi mieć ojca. Nawet jeśli jedynie na chwilę.

*Twoja i tylko Twoja
Eufemia*

Najdroższa!

Wiesz, że gorliwym wyznawcą nauk Jezusowych. Wiesz, że w Boga wierzę nie tylko na pokaz. Ale najdroższa! Kładziesz przede mną węzeł prawdziwie gordyjski, a jedyne, co ja widzę, jakie wyjście sobie imaginuję, to wyrok salomonowy. Mówi przykazanie z Dekalogu pierwsze – nie będziesz miał bogów cudzych przede mną! Z tobą, najdroższa, przykazanie to łamałem. Tyś moją boginią była, Twe usta, piersi Twe i łono. W chwili upojenia, wtedy w łóżu, Boga bym się wyrzekł, wszystkie świętości przeklął. Kolejne przykazanie, szóste, mówi: nie cudzołóż! I com ja robił, Najdroższa? Cudzołożył, nie raz, nie dwa, lecz wiele razy. Wiesz przecież, że żonę moją kocham. Ale to Ciebie, najdroższa, zawsze pożądałem. Jak dzikie, bezrozumne zwierzę, na instynktach tylko działające. To już dwie dekalogowe zasady złamane. Tylko dwie czy aż dwie? Jak sądzisz, Najdroższa? Nigdy się z tego nie wypowiadał i wypowiadać nie zamierzam. Sam nie wiem już, czy to wstyd mi nie pozwala, czy może myśl, do Twej podobna, że wcale grzechem to nie było. Ale! Złamać przykazanie muszę kolejne, razem musimy. Najdroższa, dziecko nasze, mimo że z namiętności poczęte, na Boga obraz i podobieństwo, narodzić się nie ma prawa. Nie ma. I tutaj do Dekalogu znowu wrócić muszę i przywołać przykazanie, które szóste się pojawiło na Mojżeszowych tablicach prawa. Znasz je na pewno, boś również bogobojna, czyż nie, Najdroższa?

W tajemnicy zrobić to musimy największej, pod osłoną nocy, najlepiej, kiedy małżonka ma będzie wizytować rodziców swych. Nikomu ani słowa pisnąć nie możesz, ani ja nie mogę. Przerwać ciążę Twą muszę, ku temu mam powody natury nie boskiej, lecz ziemskiej. Być może piekło wieczne mnie za to czeka, ale nie mogę pod pozorem żadnym mieć bękarta. Nie chodzi o mnie tylko, nie chodzi tylko o rodzinę mą, ale o cały kurort. Żywię nadzieję, że rozumiesz. W liście następnym, przez tego samego posłańca co zwykle dostarczoną, o dogodnym terminie cię powiadomię. Niech dobry Pan Bóg ma nas w swej opiece.

Twój Mikołaj

Najdroższy!

Wtedy, kiedyś prosił, błagał, żebym Cię do łóża wpuściła i leżała z Tobą tyle, ile tylko chciałeś, ile potrzebowałeś, wtedy prowadziła Cię ręka Pana Boga naszego. Teraz myślisz, że nie, odpowiedzi szukając w dekalogowych przykazaniach, sam sobie zaprzeczając. Najdroższy, nie potrafię sobie nawet wyimaginaować, jakież to demon kierował Twą dłońią kreślącą te słowa. Czyżby to Flauros, generał piekielny, zawładnął na moment Twą nieśmiertelną duszą? Może duch ciemności, Mefistofeles, pod osłoną nocy wstąpił w Twe ciało śniące? Bo chyba nie sam Lucyfer potężny sięgnął po Ciebie, Najdroższy, swym łapskiem, grzechem i złem skażonym? Wierzyć w to nie chcę, żeś sam, zdrowy na ciele i umyśle, nieopętany przez siły nieczyste, miał pomysłu, żeby takie okropności na papier przelewać! Nie widzę możliwości takowej, żeby to dziecko ze mnie żywe nie wyszło, żeby światła nie ujrzało, żeby pierwszego haustu powietrza nie wzięło, Najdroższy. Ono żyć musi, tak jak ja, Ty czy syn Twój z łóża prawowitego. Przemyśl dobrze swą decyzję i nie lękaj się mej niedyskrecji. Ona, bo ja czuję w trzewiach mych, że Bóg dał nam córeczkę, nigdy nie będzie żądać od Ciebie niczego, co jej należne nie będzie – jedynie odrobiny, tylko kawałeczka ojcowskiej uwagi i miłości. Może trochę grosza, żebyśmy za co żyć mieli. Tylko tyle, Najdroższy. Nigdy nie będzie spadków żądać ani o spuściznę zabiegać. Proszę i błagam, żebyś w swe serce i duszę swą nieśmiertelną zajrzał długo i wnikliwie. Tam odpowiedź jest ukryta.

Twoja i tylko Twoja
Eufemia

Droga,

nie wierzę nawet, albo wierzyć po prostu nie chcę, że nie potrafisz zrozumieć, w jakiej stawiasz mnie teraz sytuacji. Mówiłem ci zawsze, powtarzałem, że rodzina jest dla mnie ważna, tak jak i reputacja. To dziecko może zniszczyć wszystko, co przez lata budowałem. Przekreślić plany, jakie wykoncypowałem co do przyszłości, również naszej. Obiecałem Ci, Droga, że pewne sumy pieniężne będę Tobie przekazywał przez posłańca zaufanego i zdania zamierzałem i nadal zamierzam dotrzymać. Nie może jednak po tej ziemi stąpać dziecię zrodzone z naszych namiętności. Nie może! Tym bardziej dziecko to nie ma prawa wiedzieć, że z mego nasienia poczęte zostało. Nie ma

żadnego prawa! Może i Ty nigdy nie będziesz chciała, żeby dziecko to żądało od ojca swego dóbr doczesnych, ale nie wiesz i wiedzieć nie możesz, cóż to dziecko będzie chciało uczynić z wiedzą o majątnym ojcu.

Zdziwionym bardzo biegłości Twojej, Droga, w demonicznej nomenklaturze. Może to właśnie Ty pod wpływem piekielnym jesteś? Może to Ciebie opętał szatan, żeby na świat swój diabelski pomiot sprowadzić? Może moje lędźwie zapłonęły, boś wiedźmą na Lucypera usługach? Wiedźmą, która zgłębiła arkana napojów miłosnych i magii czarnej jak moje myśli teraz? Imaginuj sobie, jaki absurdus właśnie czytasz, i odstęp od nadprzyrodzonych spekulacji! Zważ, że jestem człowiekiem nauki i nie zniosę takiej argumentacji w naszej erystycznej dyskusji.

Droga! Czynu dokonam osobiście, żebyś dyskomfortu innych rąk nie czuła i żeby tajemnica nadal tajemnicą pozostała. Zrozum, ileż ja ryzykuję nawet samą ciężą terminacją! Lekarz warszawski o nazwisku Zajdowski został na czynie tym przyłapany i na Syberię zesłany. Lata ciężkich robót w klimacie nieludzkim wręcz. Powtarzam, dogodny dla mnie termin podam wkrótce. Liczę na twe pełne zrozumienie i dyskrecję dalszą.

Twój Mikołaj

Drogi,

widzę, że szybko zmieniłeś sposób, w jaki zaczynasz korespondencję, uczyniłam zatem podobnie. Jako że uważam się za damę, a nie jakąś kurtyzanę czy gejszę z dalekich zamorskich krajów, to pewne sumy pieniężne możesz sobie, Drogi, zatrzymać. Tak jak i ja zamierzam zatrzymać to dziecko. Nieważne, co zrobisz, nieważne, co powiesz. Jeśli taka jest Twa wola i naprawdę chcesz, żeby to dziecko nigdy nie poznało swego ojca, kim jestem, żeby z nią wchodzić w dyskusje? Nie ma jednak możliwości – żadnej, podkreślam – żeby to dziecko nie przyszło na świat! Chyba że dobry Pan Bóg zdecyduje inaczej, ale On i tylko On! Jesteś, Drogi, lekarzem, Twa profesja, z tego, co wiem, polega na ratowaniu życia, prawda to? Nie na odbieraniu. Nigdy nie pozwolę Ci tego zrobić, choćbyś tu do mnie przyszedł w sile mężczyzn wielu. Będziesz musiał i mnie zgładzić, ale wierz, że zrobię wtedy wszystko co w mojej mocy, żebyś również żywot swój zakończył. Nie traktuj tego jako pogróżki, jeno jako obietnicę. Bać się nie musisz, że

me usta zdradzą naszą tajemnicę, nie mam żadnego interesu w tym, żeby zatruć ci życie. Choć może teraz powinnam?

Nie martw się, bo nie czuję zła ni wściekłości. Zawód jeno wielki i smutek straszny. Myślałam, Drogi, że znajdziesz w sobie... Nieważne. Proszę, abyś więcej korespondencji do mnie nie przysyłał. Mijając na ulicy, co niechybnie się stanie, nie pozdrawiaj. Zapomnieć Cię chcę, choć już zawsze część Ciebie w mym sercu mieszkać będzie.

Eufemia

Droga,

znam Cię już i wiem, że jeśli głowa Twa zdecydowana, to żadna siła już tutaj nie pomoże. Nawet gdybym faktycznie Lucypera samego o pomoc błagał, na nic by się to wszystko zdało. Prosiłaś, aby korespondencja ustała, ale muszę wiadomość jeszcze jedną skreślić. W sercu liczę, że kiedyś zrozumiesz, skąd moje naciski, skąd moja decyzja. Nie zmuszę Cię do ciąży terminacji, ale nigdy z dzieckiem tym nawet słowa nie zamienię na tematy wiadome. Sprawiasz, Droga, że muszę wykrzesać z siebie wszystkie pokłady zaufania, a wiesz doskonale, że z natury nieufny i ludziom nie do końca wierzący. Wiedz zatem, że jeśli kiedykolwiek postanowisz zdanie swe zmienić i ubiegać się o uznanie dziecka, rozmowę czy mecyje moje, wyprę się wszystkiego, każdego słowa, każdego zdania. Jak Bóg mi świadkiem, zrobię, co w mej mocy, żeby życie Twoje i dziecka Twego piekłem uczynić, a wiesz, że środki ku temu mam dość poważne. Liczę na Twój zdrowy rozsądek i w zaufaniu pozostaję.

Ponadto żywię nadzieję, że na drodze Twej stanie któregoś dnia mężczyzna o sercu wielkim i duszy czystej. Mężczyzna, który i Ciebie pokocha, i dziecko Twoje. Niech dobry Pan Bóg prowadzi Was przez życie.

Mikołaj



**CZĘŚĆ II
KIEDYŚ**

ROZDZIAŁ 10

Żaneta stała nad umywalką i po raz kolejny oblewała twarz zimną wodą. Lustro, z którego spoglądało na nią jej przygnębione i zatroskane oblicze, miało pęknięcie w rogu. Hiacynt i jej ojciec skleili powierzchnię, dumni z siebie, że nie trzeba kupować nowego. Żanetę jednak zawsze to pęknięcie irytowało, nawet teraz, w taki dzień jak dzisiaj, nie mogła przestać myśleć o tej banalnej usterce. Znowu ochlapała się lodowatą wodą, choć zimna i chłodu miała już serdecznie dość. Na ulicach leżało mnóstwo śniegu, a ujemna temperatura dawała się wszystkim we znaki. Zaraz się zrobi gorąco, pomyślała, otwierając drzwi od toalety.

Jej mąż i rodzice siedzieli w dużym pokoju, paląc papierosa za papierosem. Kiepy prawie wysypywały się na ceratę, a zadymione powietrze można było kroić nożem. Położona rok temu tapeta wyraźnie pożółkła, a ukochane przez mamę paprotki nie wyglądały najlepiej. Sama najchętniej zapaliłaby teraz papierosa, ale pewnie po kilku machach skończyłoby się na klęczeniu przed sedesem. Stres ścisnął jej żołądek tak mocno, że nie mogła się całkowicie wyprostować.

Nikt nie zauważył, gdy weszła do pomieszczenia, bo wszystkie oczy wgapiały się w odbiornik telewizyjny Neptun.

Był 13 grudnia i świat milionów Polaków właśnie stanął na rozdrożu. Coś od dawna wisiało w powietrzu, niektórzy początku dramatycznych wydarzeń upatrywali w dniu, kiedy pozbyto się zdrajcy Solidarności, kiedy Sienkiewicz przestał być przewodniczącym komitetu strajkowego w kopalni. Jedną z osób, które dobrze odczytały przyszłość, był ojciec Żanety, Józef.

Józef, zwany przez wszystkich Zeflikiem, pracował jako fryzjer, więc nawet gdyby bardzo tego nie chciał, słyszał plotki. Jego zakład mieścił się przy ulicy Wielkopolskiej, a nazwa, Franek, nawiązywała do imienia jego ojca. Strzygli się u niego zarówno solidarnościowi działacze, jak i ci, którzy w ówczesnej władzy upatrywali remedium na całe zło, nieubłagane płynące ze zgniłego Zachodu. Zeflik swoje wiedział i swoje myślał, ale poza domem starał się zachować neutralność. Człowiek jest człowiek, mawiał, nakładając krem do golenia, nie może chodzić jak ciaprok. Kilka dni po Trzech Królach, dokładnie Zeflik nie pamiętał, w jego fotelu usiadł Jarosław Sienkiewicz. Klient poprawił okulary w grubych oprawkach i poprosił o zrobienie porządku z niesforną, gęstą fryzurą. Zeflik wziął się do pracy, a że nie wiedział jeszcze, co się wydarzyło, pytał o święta, pogodę, jakieś bzdury. Po dłuższej chwili Sienkiewicz zmienił nagle temat, ku wielkiemu zdziwieniu fryzjera.

– Pracuje pan w soboty? – zapytał ni stąd, ni zowąd.

– No pracuję, a jak – odparł Zeflik. – W soboty to, panie, klienci drzwiami i oknami włazić chcą. Życ nie dają.

– Ale nie musi pan.

– Muszę – powiedział coraz bardziej skonfundowany fryzjer. – Muszę, bo inaczej miałbym tu butelki z benzyną i kamienie we mnie wymierzone, panie kochany.

– Żona pracuje? – zapytał Sienkiewicz, który trochę poczerwieniał z frustracji.

– Ano pracuje. Brydzia to jest, proszę pana, tak robotna baba jak mało która.

– Czym, jeśli można wiedzieć, szanowna małżonka się na co dzień zajmuje?

– Ano można, to żódné tajmstwo. Ekspedientką jest, rachować umie jak mało kto.

– Jasne, niezwykle to rzadka umiejętność – ironizował. – Czy szanowna małżonka musi w soboty rachować?

– W soboty to jedynie do trzynastej.

Józef powiedział to z tak rozbrajającą szczerością, że Sienkiewicza prawie zalała krew. Do końca strzyżenia już tylko przebąkiwał pod nosem, że niedługo wszyscy zobaczą i pożałują. Fryzjer nie miał zielonego pojęcia, co sfrustrowany mężczyzna ma na myśli.

– Pan się nie przejmuj, panie Zefliku – powiedział mu kolejny klient. – Wiesz pan, kto to był?

– Nie mam pojęcia. Tak jak zawsze?

– Jak zawsze. To był Sienkiewicz. Przewodniczący Komitetu Strajkowego z Lipcowego. No, już były przewodniczący.

Zeflik się ucieszył.

– Z Manifestu? Tam zięc mój robi. Dlaczego były?

– Panie, się okazuje, że on to chyba nigdy przewodniczącym zostać nie powinien. Szwagier mój, Kazek Stolarski, znasz pan Kazka? Nie, aha. No nieważne. Kazek jest w komitecie i mi, panie Zefliku, wszystko wyłożył. Okazuje się, że ten cały Sienkiewicz – klient zniżył głos, dostrzegłszy kolejnego mężczyznę w poczekalni – to on się trochę z władzą brata. Trochę za bardzo. A Żabiński, mówi to coś panu?

– Żabiński... – Fryzjer się zamyślił, a w tym zamyśleniu nie stracił nic ze swego manualnego kunsztu. – Znam jednego Żabińskiego. Ten, co na Góry Wyzwolenia mieszka? Albin?

– A gdzie tam! Żabiński, ale Andrzej! Sekretarz komitetu wojewódzkiego z Katowic. To jest dopiero niezłe ziółko. No to ten właśnie Żabiński z naszym, ale już nie naszym, Sienkiewiczem to się odrobinę za bardzo polubili, rozumiesz pan, co mam na myśli? Tak mi Kazek gadał. Nasi, panie, się w końcu pokapowali i trzy dni temu tak na Sienkiewicza wsiedli, że sam zrezygnował. Kazek mi gadał, że jeśli już takie kroki są podejmowane, to już nie ma o czym gadać. Wyszło szydło z worka... A to jego picie? Panie Zefliku!

– Głowa trochę niżej. O tak. A kto teraz czasami nie wypije? Czasy są, jakie są. Teraz wyżej.

– Będą jeszcze cięższe. To się tak nie skończy, komisje zakładowe tak łatwo nie odpuszczą. Tego Sienkiewicza nadal sporo ludzi lubi. Jeśli ten kraj zapłonie, tak mi Kazek mówił, to on zapłonie u nas, panie Zefliku, na Śląsku.

– Ja tam nie wiem, panie kochany. A co on tak o tych sobotach mówił?

– Sienkiewicz? Przecież on porozumienie jastrzębskie podpisywał w zeszłym roku, panie Zefliku. A tam postulat jeden stoi jak byk: wolne soboty dla wszystkich. Sobie to przypisuje, szuja jedna. Tak upaść, panie Zefliku, tak upaść...

Zeflik w swoim zakładzie był małomówny i preferował słuchanie, za to kiedy przekraczał próg domu, to gęba mu się nie zamykała. Pławił się w swojej wiedzy, uwielbiał sprzedawać nowinki rodzinie, a już szczególnie zięciowi Hiacyntowi. Zięć robił na grubie w Manifeście Lipcowym, a że atmosfera na Śląsku gęstniała z miesiąca na miesiąc, gęstniał również dym z papierosów, kiedy dwaj panowie dywagowali godzinami, co stanie się z ich małą ojczyzną. Kiedy premierem zostawał generał Jaruzelski, jeden i drugi mieli mieszane uczucia, bo nad krajem wciąż wisiało widmo radzieckiej interwencji, szczególnie po prowokacji bydgoskiej w marcu.

We wrześniu w zakładzie fryzjerskim i w kuchni Zeflika nie mówiło się o niczym innym jak o manewrach wojskowych Zapad 81. Ten gigantyczny pokaz siły militarnej Układu Warszawskiego odbywający się na całym graniczącym z Polską Ludową obszarze ZSRR według wielu klientów salonu oznaczał jedno –

przyjacielska interwencja sąsiadów jest tuż, tuż. No bo jak inaczej zinterpretować kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy czekających tylko na rozkaz marszałka Kulikowa?

– Będzie powtórka z Czechosłowacji – twierdzili klienci.

– Panie Zefliku, przecież oni nawet marynarke zmobilizowali! Tyle będzie widział Wałęsa ze swojego Gdańska, kupę gruzów. Przecież jak oni odpalą te wszystkie rakiety, to nie będzie czego zbierać. Ale im ta Solidarność za skórę zaszała – mówili inni.

Zeflik jak zwykle jedynie kiwał głową, strzygł i golił wszystkich, niezależnie od sympatii rządowych, a po zamknięciu zakładu pędził do domu, by odgrywać alfę i omegę od spraw geopolitycznych.

Po wrześniu roku pańskiego 1981 było już tylko gorzej. 18 października – ten dzień Józef zapamiętał doskonale, ponieważ obchodził wtedy swój gyburstag. Wtedy to jeden z fizjonomii całkiem niepozorny człowiek zgromadził w swoich rękach olbrzymie pokłady władzy. Może taka jej ilość zniszczyłaby każdego, kto wie? Kiedy nadchodziła złota polska jesień, a liście spadały z drzew każdego dnia coraz intensywniej, generał Wojciech Jaruzelski do swojej i tak bogatej kolekcji honorów i funkcji dodał kolejną, chyba najbardziej kluczową.

– Teraz to już po ptokach, panie Zefliku – powiedział jeden ze stałych klientów.

– Rozjadą Solidarność walcem, mokra plama nawet nie zostanie. Kania to się hamował, dialogu szukał, tyle panu powiem. A generał? On się czołgów bać nie będzie.

Zeflik strzygł i słuchał, golił i przyswajał informacje, chłonał zarówno plotki, wymysły, jak i rzeczy, których lepiej byłoby nie wiedzieć. Dlatego teraz, kiedy rodzina, podobnie jak setki innych rodzin w Polsce, wpatrywała się w zatroskaną twarz generała, kiedy tysiące dzieci nie doczekały się Teleranka, Zeflik, prosty jastrzębski fryzjer, dumnie wypiął pierś i powiedział:

– A nie mówiłem? Wojna będzie.

– Cicho! – skarciła go małżonka, robotna ekspedientka Brydzia.

– *Zwracam się dziś do was jako żołnierz i jako szef rządu polskiego. Zwracam się do was w sprawach wagi najwyższej. Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią. Dorobek wielu pokoleń, wzniesiony z popiołów polski dom ulega ruinie. Struktury państwa przestają działać. Gasnącej gospodarce zadawane są codziennie nowe ciosy...* – mówił z Neptuna Jaruzelski.

Mąż Żanety, Hiacynt Wojnar, co rusz komentował słowa generała.

– Ciosy?! Ciosy?! – uniósł się, zaciągając się papierosem. – To wyście te ciosy wyprowadzali i nadal wyprowadzacie, gnębicie, uciskacie! To wyście...

– Cicho!

Brydzia, podobnie jak mąż, starała się być apolityczna, o co trudno było w Polsce Ludowej. Zerknęła na Hiacynta i rozumiała jego gniew, bo przecież wielu

jego kolegów z grupy działało w Solidarności. Chciała być po jego stronie, ale wtedy popatrzyła na Żanetkę. Jej Żanetkę.

– *Przy wspólnym stole zabrakło kierownictwa Solidarności. Słowa wypowiedziane w Radomiu, obrady w Gdańsku odsłoniły bez reszty prawdziwe zamiary jej przywódczych kręgów. Zamiary te potwierdza w skali masowej codzienna praktyka, narastająca agresywność ekstremistów, jawne dążenie do całkowitego rozbioru socjalistycznej polskiej państwowości. Jak długo można czekać na otrzeźwienie? Jak długo ręka wyciągnięta do zgody...* – kontynuował generał.

– Ja pieprzę! – krzyknął Hiacynt. – Muszę zadzwonić!

– Zobaczcie, że Śląsk się postawi najpierwszy, to tutaj będzie iskra, sytuacja u nas chyba najbardziej napięta... – powtarzał zasłyszane mądrości Zeflik.

– Józef, jak Boga kocham, będziesz ty cicho?! – zirytowała się Brydzia.

– Halo? Aga? Hiacynt mówi. Ale czemu ty płaczesz? Aga? Aga, kurwa, mów, co się dzieje! Kiedy? O której? Co powiedzieli? Aga, spokojnie, żyje. Na pewno żyje. Z kim jesteś? Przyjadę. Tak, przyjadę! No, pa. – Hiacynt odłożył słuchawkę. – Żaneta! Jorgusia aresztowali w nocy! Nic nie powiedzieli, skurczysyny jedno, weszli jak do siebie i go w środku nocy wytargali! Jadę do Agi!

– *Zwracam się do was, robotnicy polscy: wyrzeknijcie się dla ojczyzny waszego niezbywalnego prawa do strajku na taki okres, jaki okaże się niezbędny dla przezwyciężenia najostrzejszych trudności* – mówił dalej generał. – *Musimy uczynić wszystko, aby owoce waszej ciężkiej pracy nigdy już nie poszły na marne...*

– Wyrzeknijcie?! – zawołał z gniewem Hiacynt. – Wyrzeknijcie?! Wy dopiero zobaczcie, co to znaczy strajk. Oko za oko, ząb za ząb, czerwone kanalie. Za każdego kolegę was rozliczymy, za każdą koleżankę!

– Hiacynt, albo już idź, albo się zamknij! Co za chopy!

– *Zwracam się do was, funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa: strzeżcie państwa przed wrogiem, a ludzi pracy przed bezprawiem i przemocą.*

Wtedy sześć par oczu oderwało się od ekranu i zatrzymało na Żanecie. Chudej i wątlej dziewczynie, która choć siedem lat temu osiągnęła dorosłość, to fizys nadal miała dziewczęcą. Na Żanecie, córce fryzjera i ekspedientki, żonie górnika. Na Żanecie, pierwszej i jedynej milicjantce w Jastrzębiu-Zdroju. Na Żanecie, która stojąc w pełnym umundurowaniu, poczuła się źle i w zadymionym pomieszczeniu zwróciła na dywan całe śniadanie. Zawirowało jej w głowie, a przed upadkiem uratowały ją silne, żylaste ramiona Hiacynta, które tak bardzo lubiła gładzić, czując pod swoimi dłońmi jego mięśnie. Ostatnie, co miała przed

oczami, zanim zemdlą, to jego tatuaż. Kupła, górnicze godło. Skrzyżowane żelazko i pyrlík, a pod nimi wieniec laurowy.

ROZDZIAŁ 11

Trudno egzystuje się w miejscu, w którym ciepło domowego ogniska potrafi poparzyć. W którym najczęściej używanym paliwem są skrajnie posunięta miłość do ojczyzny, ksenofobia i nienawiść do wszystkiego, co inne. A inne potrafiło być wszystko, co nie wpisywało się w wizję świata Joachima Wojnara. Jego największą tragedią było to, że urodził się za późno. Na świat przyszedł 1 września 1939 roku, w dniu, kiedy wydawało się, że Polska właśnie się skończyła. Ominęło go więc wszystko, czego tak naprawdę pragnął. A pragnął bohaterstwa, walki ze znienawidzonym wrogiem, pragnął mającej znaczenie śmierci na froncie. Nie można go za to winić, Joachim Wojnar wychował się bowiem w kulcie własnego ojca, Ottona. Otton Wojnar odznaczał się bohaterstwem, i to w czynie, nie słowie. Bo łatwo jest mówić, ale prawdziwe piękno godnego męskiego życia jest w działaniu, najlepiej z bronią w ręku.

Kiedy 11 stycznia 1919 roku powstała Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska, było jasne, że prędzej czy później Otton, jako najsprawniejszy, najsilniejszy i najbardziej zaangażowany w działanie Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, zasili jej szeregi. To właśnie z popularnych Sokołów wywodziła się większość peowiaków.

Otton z uśmiechem na ustach i wzruszeniem w sercu recytował przysięgę.

– Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, że jako dobry żołnierz będę spełniał wszystkie rozkazy mojej przełożonej władzy powstańczej. Ślubuję dochować tajemnicy organizacyjnej i na wezwanie walczyć z bronią w ręku o przyłączenie Górnego Śląska do Polski. Tak mi dopomóż Bóg – powiedział

swoim śpiewnym, basowym głosem (w jego głosie zakochała się później Bernadeta, która miała zostać matką Joachima).

Gdyby urodził się w innym miejscu i innym czasie, być może los zechciałby, aby Otton spełniał się w operze, wykonując partie przeznaczone dla *basso profundo*. Los jednak dał mu karabin, pistolet oraz granaty ręczne i kazał walczyć o secesję Górnego Śląska od Republiki Weimarskiej. Kiedy okazało się, że pomimo początkowego chaosu, bez planów genialnych strategów, pomimo dużo gorszego uzbrojenia i wykształcenia oraz braku doświadczonego i scentralizowanego dowództwa Wielkopolanie z sukcesem przeprowadzili swoją insurekcję, peowiaków ogarnął hurraoptymizm. Otton był jednym z tych, którzy rwali się do walki z niemiecką potęgą. Marzył o, jakkolwiek makabrycznie to brzmi, mordowaniu wroga. Szansa na to przysłała, jednak Otton musiał na nią czekać prawie pół roku.

Od zakończenia pierwszej wojny światowej nastroje na Śląsku były gorączkowe i tak jak zrzeszali się peowiaci, tak samo radykalne kroki podejmowali Niemcy. Kaganek nazizmu niósł tutaj generał Karl Hofer, który stał na czele 117. Dywizji Piechoty. Grenzschutz siał postrach i terror, ale to, co zrobił w Mysłowicach, było kroplą, która przelała czarę goryczy. Trwające na całym Śląsku strajki w kopalniach miały apogeum właśnie tam.

Tego piątku słońce wzeszło o 6.21 i wszystko wskazywało na to, że będzie to piękny dzień. Kilka godzin później jego promienie odbijały się od rozlanej krwi.

Stojące przed bramą Mysłowitzgrube tysiące górników wraz ze swoimi rodzinami pragnęły jedynie dostać to, co bezsprzecznie im się należało – wynagrodzenie za pracę. Tymczasem niemiecka dyrekcja co rusz przesuwiała termin wypłaty, a kiedy podjęto decyzję, żeby na teren kopalni wpuszczać małe grupki robotników, oddział Grenzschutz nie zastanawiał się zbyt długo. Od świszających kul głośniejsze okazały się tylko pełne paniki wrzaski uciekającego tłumu. Polała się krew nie tylko górników, lecz także trzynastoletniego chłopca, którego jedyną przewiną było to, że chciał być z ojcem, że tak samo jak jego rodzice każdego dnia bał się o swoją przyszłość. Krew potrafi przestraszyć. Krew pokazuje, jak bardzo nijakie i mizerne jest ludzkie jestestwo. Krew potrafi też przyprzeć do muru, krew potrafi zradykalizować. Już następnego dnia Niemcy mieli się przekonać, jak na rozlaną krew reagują Ślązacy.

Pierwsze powstanie wybuchło w nocy z 16 na 17 sierpnia. Ottona napełniło to radością. Nie znał nikogo pochodzącego z Mysłowic, ale każdy, kto tamtego dnia zginął, był mu niczym brat i niczym siostra. Jego koledzy po broni drżeli ze strachu, bo jednym jest o walce mówić, a drugim w walce uczestniczyć. Drżał też Otton, tyle że jego ciało ani na moment nie chciało przestać funkcjonować. Nadnercza Wojnara nie produkowały tak dużych ilości kortyzolu, żeby poczuł duży

stres. Jego ciałem rządziła adrenalina i granicząca wręcz z fanatyzmem chęć mordy. W takich właśnie okolicznościach Otton poznał Mikołaja z Witczaków. Początkowo ogarnęło go zdziwienie i konfuzja, bowiem jak każdy jastrzębianin znał to imię i nazwisko, jednak według jego wiedzy Mikołaj Witczak, lekarz, przedsiębiorca i twórca sukcesu kurortu Bad Jastrzemb, od kilku miesięcy już nie żył, świeć panie nad jego wieczną duszą. Otton wtedy jeszcze nie wiedział, że jego przyszły najlepszy przyjaciel, druh i pokrewna, bojowa dusza nosi to samo imię, co ojciec.

Mikołaj Witczak junior rozpaczał wokół siebie coś, co w historii nosiło różne imiona. Jedni nazywali to aurą, inni urokiem, kolejni energią duchową. Jak by tego nie nazwać, nie było dyskusji, że wokół Witczaka juniora unosiło się coś, co przyciągało jemu podobnych. Pasjonatów, nieustraszonych łowców przygód, których w życiu pcha wieczna pogoń za walką.

– Prussactwo przecież nie śpi – mówił przed wyruszeniem w bój. – Prussactwo ma tu swych zwolenników, nielicznych, ale ma. Nie możecie tego zapomnieć! – krzyczał wśród wiwatów swojego oddziału pod Gdowem. A krzyczał w taki sposób, że słuchającym wyrastały skrzydła. Skrzydła, na których lecieli po zwycięstwo. – Jakie są nasze szanse na zwycięstwo? Jakie? Jak jeden do stu! Jak jeden do tysiąca! Cóż jednak z tego? Cóż z tego, ja się was pytam, koledzy? Nic! Nigdy nie możemy zwątpić, nasza wiara nigdy nie może zostać zachwiana. Ani na moment! Ku zwycięstwu!

– Ku zwycięstwu! – wtórowali mu powstańcy, a Otton był najgłośniejszym z nich.

Dzięki dowództwu Witczaka, na spółę z Janem Wyglendą, walecznym powstańcom udało się zdobyć wieś Godów. Grenzschutz nie należał do łatwych przeciwników, jednak zaciętość, wola walki i niezłomność charakteru ludzi Witczaka pokonała lepiej uzbrojonych Niemców.

W awangardzie formacji nie mogło zabraknąć Ottona, który ze śpiewem na ustach i z mauserem 98 w rękach celował w głowy i serca zniechęconych wrogów. Dla niego każdy Prussak, bez wyjątku, był tym samym, który przyczynił się do rozlewu śląskiej krwi. Niemcy nie jawili mu się jako ludzie, a szarańcza, którą należy wytępić. Poddać anihilacji. Otton miał skłonność do szybkiego naciskania spustu, jednak do serca wziął sobie rozkazy Witczaka dotyczące oszczędzania tak cennej wtedy amunicji. Sam jeden położył trupem sześciu z trzydziestu Prussaków, którzy padli podczas walk o Godów. Pech chciał, że i on sam doznał bliskiego kontaktu z ołowiem, bo z identycznego karabinu jak ten, który sam dzierżył, wyleciała kula kalibru 7,92 milimetra, przecięła powietrze i zagłębiła się w jego umięśnionym, gibkim ciele. Przeleciała na wylot, raniąc go nieznacznie w bark, ale jak później miało się okazać, Otton był jedynym

powstańcem, który doznał obrażeń podczas walki. Pech często jest jednak zakamuflowanym szczęściem, bo może gdyby nie prussacka kula, gdyby nie ta rana, nigdy nie uściskałby dłoni Mikołaja Witczaka juniora.

– Gdyby wszyscy byli tacy jak ty – powiedział wtedy dowódca – to powstanie nawet i dnia by nie trwało. Jak się nazywasz, druhu?

– Wojnar. Wojnar Otton.

– Wojnar. Widać nazwisko cię prowadzi, druhu. Ja jestem Witczak Mikołaj. Dobrze mieć cię po swojej stronie.

Kiedy ich dłonie się złączyły w braterskim pozdrowieniu, Otton poczuł, dlaczego to właśnie Witczak stanął na czele oddziału. Od dowódcy biła pewność siebie, waleczność i niezłomna aura człowieka, który jeśli tego zechce, to zawsze wygra.

– Mogę ci mówić Otek?

To był początek przyjaźni, która trwała wiele lat, na dobre i na złe. Otton nie odstępował Mikołaja Witczaka na krok, gotów chwycić za broń zawsze, kiedy nadchodziła taka potrzeba, i iść w bój z niemą pieśnią na ustach, by z uśmiechem rozrywać serca i mózgi Prussaków. Razem z Witczakiem ochraniał polskie wiece i manifestacje, kiedy trwała kampania plebiscytowa, mająca raz na zawsze rozwiązać sprawę przynależności Górnego Śląska.

– Pamiętaj, Otek, Prussacy to jest jakaś dziwna, okrutna rasa – wbijał do głowy przyjacielowi Mikołaj. – Oni są jacyś absolutnie zafascynowani rządem i co jakiś czas odczuwają niezwykłą potrzebę maszerowania i wznoszenia nad niebiosa jakiegoś nowego wodza.

Otton jedynie wtedy przytakiwał, czuł się dziwnie bowiem. Wprawdzie Witczak opisywał wroga, jednak w tym opisie Wojnar dostrzegał samego siebie. Bez walki, bez wiecznego niepokoju pchającego go do przodu, bez nieskończonej szarpaniny z życiem czułby się pusty. Ale z drugiej strony – czyż na straży ludzi dobrych i poczciwych nie musi stać ktoś, kto może się z wrogiem równać bezdusnością i barbarzyństwem?

– Pieprzone prussactwo jest symbolem wszystkiego, co najgorsze – mówił Witczak chwilę przed wybuchem drugiego powstania. – Junkierstwa, militarizmu, kastowości, zaborczości, hakatyzmu, dyskryminacji, eksterminacji rasowej i wielu innych obrzydliwości. To jest nam, prawdziwym Polakom, obce, prawda Otku?

– Prawda najprawdziwsza.

Cóż innego miał powiedzieć? Skupiał się wyłącznie na działaniu, bo myślenie sprawiało, że czuł się źle. Czuł się jak pieprzony Prussak. Podczas drugiego powstania był jeszcze bardziej bezlitosny, jeszcze bardziej bestialski. Nie mógł się pogodzić z tym, że coraz więcej cech wroga widział w sobie. Dlatego odreagowywał z niezawodnym mauserem przystawionym do oka. Pod wodzą

Mikołaja, do którego dołączył jego brat, Józef, udało im się zdobyć Wodzisław Śląski. Rok później, już po plebiscycie, Otton był jednym z powstańców działających w grupie operacyjnej „Południe”. Walki stawały się coraz bardziej zacięte, a Wojnar po raz drugi w swoim życiu został ranny. Kiedy nie mógł zabijać Niemców, ogarniała go frustracja, a w jego sercu rosła coraz większa nienawiść do wszystkiego, co niepolskie. A nie było polskie to, czego za polskie nie uważał Witczak, główny ideolog Ottona.

Walki w końcu wygasły, a Mikołaj Witczak junior postanowił kontynuować życiowe dzieło swego ojca i powrócił na łono jastrzębskiego uzdrowiska. Nie mógł nie wziąć ze sobą Ottona, z którym nieraz spędzał całe noce na rozmowach o sprawie polskiej. Czuł, że ten człowiek, jeszcze kilkanaście miesięcy temu całkowicie obcy, był mu jak brat, którego nigdy nie miał. Którego podświadomie zawsze pragnął mieć. Byli świadkami na własnych ślubach, które wzięli w tym samym roku. Wybranką Witczaka została Czeszka, Jarmila Ružene Totušek, a Otton Wojnar wziął za żonę Bernadetę z domu Hawlik. Któregoś wiosennego dnia przesiadywał na ławce w Parku Zdrojowym i tak zatracił się w wojennych wspomnieniach, że nucenie podnoszących ducha pieśni przeszło w śpiew. Nawet nie wiedział, że zaczął śpiewać, nie zauważył, że obserwuje go coraz więcej spacerowiczów, wśród których znalazła się Bernadeta. To ona pierwsza zaczęła bić brawo, a on pierwszy raz w życiu poczuł coś innego niż gniew i złość. Poczł wstyd i zażenowanie, ale jednocześnie w jego sercu zagościło coś na kształt radości. Ich pierwsze dziecko urodziło się rok po ślubie. Martwe. Otton przeżył to dużo bardziej niż Bernadeta, nie mógł się pogodzić z tym, że jego potomek był zbyt słaby na to, aby żyć. Międzywojnie minęło Wojnarowi na pracy dla Mikołaja Witczaka i bitewnych opowieściach, które snuł Bernadecie, a ona, zakochana po uszy, chłonęła każde przesiąknięte patriotyzmem i miłością do ojczyzny słowo.

Syn Ottona, Joachim, po raz pierwszy otworzył oczy, kiedy zaatakowano Westerplatte. Wojnara rozpieła duma, ale ani myślał być podręcznikowym ojcem, opoką rodziny. Nie teraz, nie kiedy znowu nadszedł czas wojny. Czas karabinów i granatów. Czas siewców śmierci. Tylko jedna rzecz kładła się cieniem na jego radości z rozlewania niemieckiej krwi – brak brata u boku. Mikołaj Witczak był diabelsko inteligentnym człowiekiem, a kiedy nabrał pewności, że niemiecka agresja ponownie wyleje się na ukochany kraj, zorganizował ucieczkę dla swojej rodziny.

– Dla ciebie też jest miejsce, Otton. Bernadeta jest przy nadziei. We Francji będzie bezpieczna. Twoje dziecko będzie bezpieczne. A my sprawie polskiej możemy przysłużyć się i tam. To jak?

To był pierwszy raz, kiedy Otton miał odmienne zdanie od swojego ideologicznego idola. Od swojego brata. Nie chciał słyszeć o wyjeździe,

a Bernadeta nie chciała zostawić go tutaj samego. Przed wyjazdem Mikołaj wyściskał i wycałował Ottona, nawet uronił łzę podczas pożegnania, które, jak się później okazało, było pożegnaniem ostatecznym. Już nigdy nie mieli się zobaczyć. Witczak zostawił swojemu przyjacielowi pakunek, w którym znalazł się między innymi ukochany pistolet Steyr M1912 oraz list. List, w którym napisał wszystko to, czego nie potrafił powiedzieć w oczy swemu przyjacielowi. Otton czytał ten list codziennie przed snem i każdego wieczoru nie mógł zasnąć, bo tęsknota mieszała się z gniewem.

Podczas drugiej wojny światowej nie miał okazji walczyć zbyt długo. Zginął w bitwie pszczyńskiej 2 września 1939 roku, dokładnie o tej samej godzinie, w której urodził się jego długo wyczekiwany potomek. Otton padł od niemieckiej kuli, która przeszła pełne namiętności serce we wsi Ćwiklice. W ostatniej świadomej myśli Ottona Wojnara nie znalazło się miejsce dla Bernadety. Nie było tam nawet krzty miejsca dla małego Joachima. Kiedy Otton Wojnar umierał, żałował, że u jego boku nie było brata – Mikołaja Witczaka juniora.

Bernadeta Wojnar wraz z małym Joachimem przetrwała niemiecki terror i zakrojoną na szeroką skalę akcję germanizacyjną. Kobieta pomagała, jak mogła, w konspiracyjnej Organizacji Orła Białego, a kiedy kładła się spać z ukochanym syneczkiem u boku, opowiadała mu to samo, co kiedyś usłyszała od męża. Opowiadała o walce i bohaterstwie, o niezłomności śląskiego ducha.

Kiedy wojna dobiegła końca, a Joachim miał sześć lat, otrzymał od matki prezent – ten sam pakunek, który wcześniej trafił do jego ojca z rąk Mikołaja Witczaka. Pistolet zatrzymała dla siebie. Witczak po wojnie wrócił do Jastrzębia-Zdroju i nie omieszkał odwiedzić wdowy po Ottonie Wojnarze. Ze wszystkich sił fizycznych i finansowych próbował odbudować uzdrowisko, przywrócić jego dawny blask. Obiecał, że zajmie się Bernadetą, da jej dobrą pracę, żeby nowe pokolenie, które widział w Joachimie, miało lepszą przyszłość. Spokojniejszą. Tyle że chłopak tego nie chciał. Całymi nocami śnił o karabinach, czołgach, rozlewie krwi. O miotaniu się w wiecznej wojnie. Dla większości ludzi byłyby to koszmary, ale na twarzy Joachima Wojnara gościł wtedy uśmiech.

Wyglądało na to, że dla Wojnarów i Witczaków nadejdą dni pełne zwykłego, nudnego życia. Do czasu aż funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa nie aresztowali Mikołaja Witczaka juniora, aż jego majątek ponownie nie został upaństwowiony. Ubecja nie odpuszczała Witczakowi, a coraz starszy Joachim Wojnar nie mógł patrzeć na szykany zadawane przyjacielowi jego bohaterskiego ojca.

Kiedy w Jastrzębiu-Zdroju rozpoczęto przekształcanie regionu w industrialnego molocha i otwarto jedną z pierwszych kopalni, Moszczenicę, Joachim Wojnar znalazł tam pracę. Był to jednak wyłącznie środek do celu, bo Joachim Wojnar

zaczął nienawidzić Polski Ludowej tak bardzo jak jego ojciec i Mikołaj Witczak nienawidzili prussackiego robactwa. Wojnar planował walkę, wielką ideologiczną wojnę.

A symbolem jej została kupła, górnicze godło. Skrzyżowane żelazko oraz pyrlik, a pod nimi symbol zwycięstwa – wieniec laurowy.

ROZDZIAŁ 12

Kiedy Żaneta się ocknęła, była w pokoju sama. Z pomieszczenia wyparował papierosowy dym, ucichły też wszystkie słowne przepychanki. Spojrzała na wiszący na jednej ze ścian zegar. Nie mogła stracić świadomości na dłużej niż dwadzieścia minut. Suchość w ustach bardzo jej doskwierała, ale na ławie zauważyła szklankę herbaty. Podniosła się i wzięła duży łyk gorzkiego naparu, takiego, jaki najbardziej lubiła. Nie mogła zrozumieć, jak ktoś może słodzić coś, co jest ciepłe i do picia. Wypiła pozostałą zawartość szklanki i zwlekła się z tapczanu. W mieszkaniu została już tylko mama, która krzątała się po kuchni i pod nosem śpiewała jedną ze swoich ulubionych pieśni.

– *Komu dobrze, to mu dobrze, ale mnie nie bardzo. Leżałem za piecem, ciełą na mnie wlało...*

Ulubioną książeczką Żanety z dzieciństwa był pierwszy zeszyt *Pieśni Ludowych Górnego Śląska z melodjami*. Na pamięć znała pierwsze dwa zdania z przedmowy. „Piosnka jest to wynurzeniem i wylaniem duszy człowieka. Jaka dusza, taka też i piosnka z niej wypływa”. Żaneta oparła się delikatnie o ramę drzwi i z założonymi rękami słuchała delikatnego głosu mamy, przy którego śpiewie zasypiała niezliczoną ilość razy. Może teraz też odpłynęła do królestwa Morfeusza przy jednej z maminych piosenek?

– *O, nie było ci to ciełą, ręce, nogi miało, pytało, czego chcę, na dwór iść kazało...*

Mama Żanety zamilkła, skupiła się na myciu kilku naczyń, które od wczorajszego wieczora zalegały w zlewie. Bardzo lubiła porządek, ład

i dyscyplinę. Lubiła rygor dnia codziennego, który sama sobie narzucała. Ojciec świata nie widział poza matką, nieba by jej uchylił, od wszelkich obowiązków zwolnił. Brydzia jednak lubiła swoje poukładane, spokojne, pełne rutyny życie.

– *O, nie kasuj mi ty na dwór, bo tam wielka zima, zostaw mnie tu leżeć, ty idź pod pierzyna* – dokończyła wesoło Żaneta.

Matka aż podskoczyła, zaskoczona obecnością córki w kuchni.

– Boże święty, Jezusie Nazareński! – krzyknęła. – Toś mnie, dziewczyno, wystrachała, aż zem przez ciebie zgrzeszyła!

– Idealną wybrałaś piosenkę, mamó. Za oknem wielka zima, a ja najchętniej schowałabym się pod kocem i przeczekała do wiosny. Gdzie chopy?

– Znasz ojca. Poszedł na spacer pooglądać czółgi z bliska i może się dowiedzieć czego ciekawego.

– Pooglądać czółgi... – Żaneta złapała się za głowę. – Tutaj nie ma nic do oglądania. A gdzie Hiacynt?

– Zrobił, jak powiedział – zachnęła się Brydzia i wróciła do naczyń. Szklanka, którą usilnie szorowała, nie mogła być już czystsza.

– Oj, mamó. Mówisz, że znam ojca. A ty znasz Hiacynta. Wiesz, jakie to dla niego wszystko ważne.

– Nie dla niego, tylko dla jego ojca. Niepotrzebnie go wciągnął w te swoje...

– Przestań, mamó! Przestań, proszę. Kolegę mu aresztowali, co miał zrobić? To w nim cenię najbardziej. To, że tak bardzo troszczy się o ludzi, których kocha.

– Ale to ciebie powinien kochać najbardziej. Ciebie i...

– Przestań, błagam! Wszystko jest dobrze.

– Dobrze?! – Matka się odwróciła, a namydlona szklanka wyslizgnęła się z jej rąk. – Dobrze, Żanetka? Jak może być dobrze? Jak wy to pogodzicie?

– Nie takie rzeczy się już na świecie udawały. Dlaczego my mielibyśmy się nie udać, mamusiu?

– Ciekawe, w jaki sposób? Zostaw, ja pozamiatam. I proszę mi nie mydlić oczu! Mówię ci, że czas wylewać wodę, a ty dalej swoje, że portki masz suche, a do brzegu coraz bliżej.

– Ty i te twoje zawiłe metafory... Szklanki szkoda.

– Ciebie szkoda, córuniu! Ciebie szkoda! Ja nawet rozumiem, żeś chciała do milicji, może to i dobry pomysł na karierę. Nie wiem, ja to za głupia jestem na takie...

– Mamó, co ty...

– Nie przerywaj mi! Za głupia jestem na takie rozmowy i dywagacje. Wybrałaś, co wybrałaś. Ale dobrze wiedziałaś, jaki jest Wojnar. Jaki jest jego ojciec. Ja nie mówię, że to coś złego, ale to, co wybrałaś, to jest woda na ogień Joachima. On cię nigdy nie zaakceptuje, nigdy w niczym nie pomoże, nigdy...

– JESTEM! – ryknął zdyszany Hiacynt, wpadając do domu niczym piorun kulisty, waląc drzwiami tak mocno, że aż szyby w oknach się zatrzęsły.

Gdyby to był normalny dzień, mężczyzna dostałby od teściowej reprimendę, jak zawsze uśmiechnąłby się od ucha do ucha i wybłagałby przebaczenie. Ale to nie był normalny dzień i każde z nich doskonale to rozumiało. W powietrzu czuło się nie tylko przeraźliwe zimno, lecz także jakąś elektryzującą energię, która tylko czekała, żeby wybuchnąć. To już nie była kwestia czy, to była kwestia kiedy.

– Aga jest załamana! – poinformował zdyszany Hiacynt, patrząc to na żonę, to na teściową. – W nocy zaczęli czystki, skurwysyny. Jorgusia wytargali w pizamie, w ogóle chłopina nie miał szans, żeby im jakoś uciec. Aga mówiła, że wysyłają tych największych, żeby strach wzbudzić. Po Bożka też przyszli!

– A ty skąd to wszystko wiesz? – zapytała Żaneta, poprawiając rękaw munduru. Miała jeszcze kilka minut.

– Wszyscy już wiedzą, Żanetka, wszyscy! Ale Janek miał dużo szczęścia.

Jan Bożek był przewodniczącym zakładowej Solidarności w kopalni węgla kamiennego Manifest Lipcowy. To właśnie tam pracował Hiacynt Wojnar, syn Joachima, wnuk Ottona. Pierwszy, który miał w sobie coś z romantyka, pierwszy, który oprócz walki szukał w życiu także miłości. I znalazł, tyle że zakazaną.

– To wzięli go czy nie wzięli? – dopytywała Żaneta, widząc, że matka jest cała spięta i za moment wybuchnie.

Brydzia nawet nie spojrzała na zięcia, wciąż zajęta myciem tych samych naczyń na okrągło. Żaneta podeszła do niej i zaczęła masować jej ramiona.

– Bożek stawiał opór, a jak ci silnoręcy ciągnęli go po klatce schodowej, to zrobił takie larmo, że sąsiedzi z mieszkań powybiegali. A sąsiadów ma Bożek dzielnych, nieustraszonych. Zablokowali wyjście z klatki schodowej, a Bożek w końcu wyrwał się tym byczkom. Podobno w tym całym ambarasie zadzwonił na milicję, sam nie wiem po co. Przecież to od razu wiadomo, że to był ktoś od was.

– No i co mu powiedzieli?

– Że ma dokładnie to, na co sobie zasłużył. Że w końcu wszyscy się doigraliśmy i możemy sobie próbować uciekać, ile wlezie. Że nadeszła kara za podnoszenie ręki. Wtedy Bożek był już pewny, że idą po wszystkich z Solidarności. Wszystkich dużych.

– Zabarykadował się w domu? Sąsiedzi mu pomagają?

– Żaneta, co ty! To jest Bożek, on żadnym tchórzem nie jest. Od razu ruszył do kopalni! Wysłali po niego zakładowy samochód, nyskę. Bożek, niczym Mikulski, hyc do nyski, a kierowca na pełnym gazie jak wyrwał z Turystycznej, to aż się z opon zadymiło! Ale wasi, Żanetko, wasi to są czujni. Jak sępy za padliną się rzucili. Ale ta padlina to jeszcze żywa była!

– Co wy dzisiaj macie z tymi pokrętnymi metaforami?

– Co?

– Nieważne. Nasi jak sępy, i co dalej?

– Za nyską wyrwał fiat, pewnie pełen tych samych silnorękich, co to go próbowali wytargać z mieszkania. Kierowca z kopalni nogę miał ciężką i jak z Turystycznej wyleciał w Średnicową, to się prawie na lampie zatrzymał. Byczki nie odpuszczały, chciały Bożka za wszelką cenę dopaść. Nyska im odbiła w Olszową i do kopalni wpadła na pełnym gazie, ledwo szlaban zdążył pójść w górę. Żaneta, to normalnie było jak ze *Stawki większej niż życie*. Chcieli Bożka internować, zgnoić, a teraz zrobią z niego bohatera! Tak się kończy zadzieranie z Solidarnością, tak się kończy zadzieranie z Szy...

– Hiacynt! Jak Boga kocham, zaraz ci przywalę tą patelnią w twój durny łeb – wybuchnęła w końcu Brydzia. Odepchnęła córkę i z kuchenną bronią w ręku stanęła przed zięciem. Była od niego niższa o półtorej głowy, lżejsza pewnie o jakieś trzydzieści kilogramów. Pomimo tej różnicy nikt z obecnych w kuchni nie miał wątpliwości, kto zwyciężyłby w tym starciu. – Wchodzisz tu jak do jakiegoś baru, walisz drzwiami, a ja tyle razy cię prosiłam, żebyś drzwiami nie walił, gęba ci się nie zamyka o jakichś Bożkach, nyskach, ale chciałam ci tylko przypomnieć, bohaterze, że masz tutaj żonę! Masz żonę, która zemdlała, a ty sobie jak gdyby nigdy nic wymaszerowałeś! Nawet się nie zapytasz, jak się czuje, nawet nie zapytasz, dlaczego...

– Mamo! – wcięła się w słowo Żaneta. Zrobiła się cała czerwona. – Błagam cię. Nic mi nie jest. Nie jestem zła, ale Hiacynt...

– Nie, mamusia ma rację – powiedział twardo mężczyzna. Teściowa zawsze była mamusią, nigdy mamą. Mama była tylko jedna i każdego dnia za nią tęsknił. – Przepraszam cię, Żanetka, ale...

– Już się zaczyna, już „ale”! – Brydzia ponownie się wściekła. – Kiedy po „przepraszam” mówisz „ale”, to tak, jakbyś w ogóle nie przeprosił!

W kuchni nastała cisza, słychać było tylko płynącą w rurach kanalizacyjnych wodę. Samotna kropla spadła na pozostawione w zlewie talerze.

– I znowu muszę mamusi przyznać rację – odezwał się w końcu Hiacynt. Przytulił żonę, mocno, tak jak lubiła. – Przepraszam cię, Żanetko. Bez żadnego „ale”. Dobrze się już czujesz?

Żaneta podniosła głowę i spojrzała w jego malachitowe oczy. I już wszystko było dobrze, wszystko mogła mu wybaczyć. Nawet wówczas, kiedy jego ojciec napluł jej w twarz, kiedy prawie wydziedziczył własnego syna, wystarczyło jedno spojrzenie w te wielkie, głębokie oczy i wszystko, co złe, znikało jak za dotknięciem magicznej różdżki.

W oczach Joachima Wojnara była to miłość zakazana, miłość, która nie miała prawa istnieć. W jego głowie i sercu od lat tliła się nienawiść do Polski Ludowej.

Nienawidził wszystkiego, co sobą reprezentowała, nienawidził władzy, nienawidził wszystkich służb, mundurów, odznak i legitymacji. Tym samym – nienawidził Żanety.

Kiedy się dowiedział, że młodzi biorą ślub, pierwszy raz od pięciu lat uderzył syna. Pięścią. Widział, że w synu się gotuje, że przemyśla wyprowadzenie kontry. I być może właśnie tego Joachim chciał – wyciągnąć z syna prawdziwego Wojnara, człowieka, w którym płonie chęć walki, chęć mordowania wroga. Nawet jeśli chwilowym wrogiem ma być własny ojciec. Patrzył w oczy syna i nie widział ani krzty agresji, ani krzty tak niezbędnego do prowadzenia wojny barbarzyństwa. Tego dnia Hiacynt, nazwany tak po ukochanym kwiecie swojej zmarłej matki, jedynie zwiesił głowę, spakował kilka rzeczy do plecaka, wziął swoją gitarę, łyżwy i wyszedł bez słowa. Joachim ani myślał pojawić się na weselu, ale po kilku tygodniach odezwał się do syna. Całkowicie pominął temat ożenku i Żanety. Potrzebował syna jako narzędzia. Hiacynt Wojnar był człowiekiem, który – zanim poznał Żanetę – dbał o kulturę fizyczną oraz własny głos. Jego mięśnie budziły szacunek, nierzadko też strach. Właśnie tego strachu od czasu do czasu potrzebował Joachim.

Problem polegał na tym, że agresja i złość wychodziły z Hiacynta wyłącznie na lodowisku. Od małego jeździł na łyżwach na Jastorze, często też, pomimo wyraźnych zakazów matki, wybierał się na zamarznięte zbiorniki wodne. Rodzicielka oczyma wyobraźni widziała go pod lodem, tonącego, walczącego o chociaż jeden haust powietrza. Los jest jednak przewrotny i woda zakończyła życie, tyle że nie jej syna. Żałobę po matce Hiacynt leczył na lodowisku, a że jeździł naprawdę nieźle i warunki fizyczne miał dużo, dużo lepsze od rówieśników, szybko trafił do juniorów GKS Jastrzębie. Na lodzie był bezwzględny, nie uznawał półśrodków. Prawdziwa bestia – do momentu ściągnięcia łyżew. Do jastrzębskich seniorów trafił, gdy klub jako beniaminek awansował do drugiej ligi. Po wygranym dwumeczu z Borutą Zgierz zawodnicy świętowali w restauracji Hawana, a strzelec większości bramek, Hiacynt Wojnar, kij do hokeja zamienił na gitarę. Grał i śpiewał większą część wieczoru, ku uciechu wszystkich bawiących się w lokalu. Najszczyściej uśmiechała się jedna z dziewczyn. Chuda, wątła, o pięknej i delikatnej twarzy. Jak kwiat. Jak Hiacynt.

Ta sama dziewczyna patrzyła teraz na swojego męża i czuła, że będzie dobrze. Że pomimo tych wszystkich różnic między nimi, pomimo ciężkich czasów, które nadeszły, pokonają każdą przeszkodę. Hiacynt w końcu wypuścił Żanetę z niedźwiedziego uścisku, wziął umytą cztery razy szklanę, nalał sobie zimnej wody i wypił całą tak szybko, jakby to była literatka.

– Idę do kopalni. Strajk będzie.

– Teraz? – zdziwiła się Żaneta. – Przecież masz na rano, na poniedziałek.

– Żanetka, będzie strajk. Żadna zmiana nie ruszy. Ani u nas, ani w Moszczenicy, ani w Boryni, ani nigdzie.

– Błagam, tylko uważaj na siebie – powiedziała zmartwiona. – Nie rób niczego głupiego, nie daj się wciągnąć w te... w te gierki.

– Gierek to był, ale się zmył – zażartował, ale nikt się nie zaśmiał. – Będę uważał. Ale, Żanetko, tak prawdą a Bogiem, co wy nam możecie zrobić, co? Zdzielić pałą? Nie ruszycie górników. Nie macie takich jaj.

Żaneta tylko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się smutno. Pocałowała go w gładko ogolony policzek, na drugim położyła dłoń.

– Kocham cię – wyszeptła.

– Ja ciebie bardziej, kwiatuszk.

Pocałował ją w czoło i opuścił kuchnię, a kiedy wychodził z domu, zamknął drzwi najdelikatniej, jak potrafił.

Matka i córka popatrzyły na siebie.

– Nie zamierzasz mu powiedzieć?

– Zamierzam, mam. Oczywiście, że zamierzam. Ale nie dzisiaj, nie teraz. Niech to się wszystko trochę uspokoi.

– A jeśli się nie uspokoi?

– Musi, mam. Zawsze się uspokaja. Muszę iść. Służba wzywa.

– No dobrze, skoro tak stawiasz sprawę, to ja się już wtrącać nie będę. Jak gdzieś ojca przyuważysz, to mu powiedz, żeby wracał do domu. Włóczy się jak jakaś stara klachula. Czołgów mu się zachciało...

Żaneta przytuliła matkę i wyszła, tak jak Hiacynt chwilę wcześniej, uważając na drzwi. Był 13 grudnia 1981 roku. Ona musiała przywdziać mundur, on strajkować z przyjaciółmi przeciw władzy. Kochali się szczerze i mocno. Ale już nigdy nie mieli zamienić nawet tych dwóch najważniejszych słów.

ROZDZIAŁ 13

Hiacynt szedł wśród podmuchów zimna, śniegu i opancerzonych samochodów. Do samego końca myślał, że do tego nie dojdzie. A jednak ojciec znowu miał rację. Życie nauczyło go, że Joachim Wojnar zawsze miał rację. Hiacyntowi to nie przeszkadzało, chciał jedynie, żeby ojciec pomylił się raz, w temacie dla niego najistotniejszym. W temacie Żanety. Ona nie była jak inni, nie mogła być. Nie wierzyła w mundur, działania „kolegów” z ZOMO ją obrzydzały. Dlaczego zatem wybrała taką drogę, dlaczego każdego dnia zakłada coś, co symbolizuje wszystko, czego rodzina Wojnarów od zawsze nienawidziła?

Podniósł kołnierz kurtki i przyspieszył kroku, chłód przeszywał go do szpiku kości. Nie podnosił wzroku, nie chciał przyciągać niepotrzebnych teraz sytuacji. Na jastrzębskich ulicach roilo się od mundurowych, którzy chyba tak samo jak i on nie do końca wiedzieli, co przyniosą następne godziny. Przed Żanetą musiał zgrywać twardziela, przecież taka jest rola mężczyzny. Dbanie o swoją kobietę, pod każdym względem. Zapewnianie, że wszystko będzie dobrze, a później podejmowanie wszelkich niezbędnych działań, żeby okazało się to prawdą. Kochał tę dziewczynę całym sercem, całym sobą. Patrzył na tę małą osobkę i widział w niej cały świat. Co z tego, że nigdy nie opuścił Polski, co z tego, że glob był olbrzymi? On doskonale wiedział, że wszystko, co w życiu ważne, piękne i dobre, zamykało się w niej. A jednak coś go pchało do kopalni, do innych działań. Może nawet ważniejszych. Nie wiedział tylko, czy to były myśli jego, czy te latami zaszczipiane przez ogarniętego nienawiścią, fanatycznego ojca. Hiacynt doskonale pamiętał każdą lekcję, jaką dał mu Joachim. Trudno nie pamiętać, skoro

zamiast zadań była przemoc domowa. Ojciec nie tolerował nawet najmniejszej luki w wiedzy syna na temat historii Śląska, na temat ich rodziny. Na temat historii Witczaków. Wbijał ją do głowy ciosami i pasem. Takim z naprawdę ciężką kłamrą. Kazał synowi recytować daty, nazwiska, miejsca starć. Hiacynt miał je umieć wyśpiewać obudzony w środku nocy. Miał je znać lepiej niż jakąkolwiek modlitwę. Może gdyby nie odejście żeńskiego pierwiastka z ich domostwa, to życie potoczyłoby się inaczej? Może byłiby kochającą się i szczęśliwą rodziną? Trudno ocenić to z perspektywy ponad dziesięciu lat, ale przecież wtedy wszyscy gadali, że to nie był wypadek. Że jego matka odebrała sobie życie, bo już nie mogła znieść Joachima i jego odziedziczonej po ojcu nienawiści, którą musiał co jakiś czas z siebie upuszczać, jak złą krew. Zgniłą i zepsutą. Najłatwiej mógł to zrobić w domu. Uderzenie z otwartej dłoni było dużo łatwiejsze niż rozmowa. Wyrzucenie garnka z zupą przez zamknięte okno, bo przecież nie można jeść pomidorowej trzy dni z rzędu, było o wiele mniej skomplikowanym rozwiązaniem niż próba uporania się z własnymi emocjami. Po śmierci żony Joachimowi został już tylko jeden bliski człowiek, więc postanowił wyładowywać się na nim podwójnie. Tym bardziej że patrzył w głębokie, malachitowe oczy syna i widział jej twarz, widział własną żonę. I pewnie sam do końca nie wiedział, czy bije z żalu i tęsknoty, czy z potrzeby upuszczenia nienawiści i wstrętu.

Hiacynt nie pamiętał, kiedy dokładnie przestał odczuwać ból. To znaczy on nadal gdzieś tam był, nawiedzał jego coraz silniejsze ciało. Po prostu Hiacynt przestał go rejestrować jako coś, czym trzeba się przejmować. W końcu przestało mu być wstyd, kiedy przebierał się w szatni, a jego ciało pokrywały siniaki i krwiaki. Nie słyszał już dogryzek kolegów, nie widział fałszywych uśmiechów. Zaakceptował życie takim, jakim było.

– Dokąd to tak się kolega śpieszy? – Z zamyślenia wyrwał go męski głos.

Cholera jasna, pomyślał Hiacynt, a jednak nie obejdzie się bez problemów.

Dwóch zomowców pojawiło się przy nim w trymiga, nawet nie zauważył żadnego ruchu. Jeden z nich, niższy, już trzymał dłoń na loli, gotowy w każdej chwili zacząć machać białą pałą. Hiacynt wiedział, że to on jest tym groźniejszym. Czuł jego strach, a strach potrafi być potężną bronią. Strach i kompleksy. Tak mu zawsze mawiał ojciec. Uważaj na tych, w których zobaczysz choćby namiastkę lęku.

– Głuchyś? – Głos należał do tego wyższego, pewniejszego siebie. – Dokąd to tak kolega szybko maszeruje, co? Zimno jest, wieje, w domku pewnie przyjemniej.

– Do roboty idę – odpowiedział Hiacynt, patrząc na swoje buty. Mięśnie ukryte pod warstwami ubrań były gotowe na wszystko. Walkę, ucieczkę, nieistotne. Wiedział, że potrafi z nimi wygrać.

– Do jakiej roboty? Niedziela jest – kontynuował ten wyższy z dwójki funkcjonariuszy. Najmniej groźny jest ten, co najgłośniej szczeka, pomyślał Hiacynt, układając w głowie plan działania.

– Na grubę.

– Na grubę, ja? A na którą?

– Do Manifestu idę.

– No to w takim razie, kolego, dokumenty twoje chciałbym zobaczyć. – Zomowiec uśmiechnął się głupkowato.

– Nie mam.

– Jak to kolega nie ma? Kolega może mieszka poza systemem? Jest jakimś przerośniętym bebokiem z bagien?

– Nie.

– Kolega wybaczy – wyższy zomowiec podszedł o krok bliżej, stał już prawie twarzą w twarz z Hiacyntem – ale prosiłbym głośniej. I pełnymi zdaniem.

– Nie, nie jestem przerośniętym bebokiem z bagien. Dokumenty oczywiście mam, ale akurat nie przy sobie.

– Błąd. Duży błąd, kolego. Kolega nie słyszał, co się w kraju dzieje? Na pewno kolega słyszał.

– Słyszałem.

– No właśnie! To chyba rozsądnie byłoby dokument tożsamości mieć przy sobie. Prawda czy nie prawda?

– Prawda.

– To nie było pełne zdanie.

– Warto byłoby mieć przy sobie dokumenty. Przepraszam, nie pomyślałem. Następnym razem się poprawię.

– Czyli kolega zakłada, że będzie następny raz, tak? A może następnego razu nie będzie?

Na to już Hiacynt nie wiedział, jak odpowiedzieć. Był przygotowany na uderzenie pałą przez plecy, bo ten niższy powoli, ale sukcesywnie starał się znaleźć za nim. Założył sobie, że wytrzyma ten ewentualny cios i podejmie próbę ucieczki, wjeżdżając w wyższego z byka. Musiałby zrobić jedynie krok, może dwa do tyłu, żeby mieć miejsce na rozpęd.

– No dobrze, drogi kolego – wznowił konwersację zomowiec. – Nazwisko. Imię. Adres.

– Wojnar Hiacynt. Żytńia piętnaście – odpowiedział Hiacynt. Na wszelki wypadek podał adres ojca, bo nigdy nie wiadomo, jak daleko sięgały jego macki.

– Czekej, czekej... – odezwał się po raz pierwszy niższy z zomowców i odpuszczając akcję okrążania Hiacynta, od razu pojawił się obok kolegi

w mundurze. – Z takim imieniem to za wielu Wojnarów nie może być. Czy ty grasz w giekaesie? W hokeja grasz?

– Ano gram – odpowiedział Hiacynt i odważył się na delikatny uśmiech. – Z szóstką na plecach.

– Szczepon, ty go nie poznówósz? To je nasz nojlepszy hokeista! Jak ôn strzylõ, to tormõny sõm we strachu! – ekscytował się funkcjonariusz. Wszystkie złe emocje z niego wyparowały. – Wielu strzylõś terõz we szpilu z Krynica?

– W pierwszym dwa, w drugim jednego. Dobry mecz to był.

– To bõł piykny szpil, chopie! Piyknisty! Kedy mõcie nastympny?

– A bẽdzie moźna w ogõle teraz grać? Czy nie moźna? Co panowie myślicie?

– A fto to wiy! Jõ na zicher bydã na lodowisku. Szczepon, dej mu pokõj, to je dobry karlus, talyntny karlus! Kejs bydzie w reprezyntacyje groł!

– No dobra – powiedział po chwili wyższy zomowiec. – Idź, kolego. Ale następnym razem pamiętaj o dokumentach. Możesz nie trafić na kibica.

– Chyba że następnego razu nie bẽdzie, prawda? – odważył się na uszczypliwość Hiacynt i ruszył, przyspieszając kroku na tyle, żeby nie wyglądało, jakby biegł.

Do samej kopalni już nikt go nie zaczepił.

– Komenda Rejonowa Milicji Obywatelskiej w Jastrzębiu-Zdroju, szeregowi Żane... Ale proszę się uspokoić. Tak, proszę przestać krzyczeć. Nie mogę udzielić takich informacji. Nie wiem i nie mogę. Ale jeśli bẽdzie mnie pani obra... Halo?

Sama spierdalaj, pomyślała Żaneta. Miała już powyżej uszu tych telefonów. Przez cały dzień dopytywano się, gdzie jest taki i taki, gdzie jest taka a taka. Miała na to jedną odpowiedź: nie możemy udzielać takich informacji. Było jej żal tych ludzi; miała w sobie spore pokłady empatii, potrafiła się postawić w sytuacji, kiedy nie wie, co stało się z jej mężem albo, co gorsza, ojcem. Wiedziała, że Hiacynt poradzi sobie w każdej sytuacji, przetrwa każde piekło. Ale jej ojciec? Nieporadny, poczciwy fryzjer Zeflik? Gdyby jego wzięli smutni panowie, to... Nie, nie chciała o tym myśleć. Odbierała telefony od samego rana i już miała serdecznie dość wszystkich wyzwisk. A okazało się, że w tym ludziku potrafią być naprawdę kreatywni. Hadra z popsutymi zymbami? Nawet zabawne. Erc dzichta bez szkoły? Bez przesady, była blondynką, a szkołę ukończyła z jednymi z najlepszych ocen w swojej klasie.

To, że ludzie byli potworami, wilkami w owczej skórze, wiedziała od niedawna. Przekonał ją o tym dopiero Joachim Wojnar. Niski, łysy człowieczek o naturze mordercy. Tak go właśnie postrzegała. W jej oczach Wojnar był kreaturą,

z którą nie dało się normalnie porozmawiać, bo nawet zwykła wymiana uprzejmości mogła się przerodzić w poważną konwersację o sprawie śląskiej. Jedno niewłaściwe słowo potrafiło odpalić aparat mowy Wojnara, który wypluwał z siebie pustosłowie, byleby tylko mówić i mówić. Nie znosił, kiedy ktoś próbował mu przerwać, ale sam robił to często. Bo jego racja, jego prawda zawsze stała na pierwszym miejscu. Joachim Wojnar nie wierzył w lokalny patriotyzm, to on jawił się jako lokalny patriotyzm, przynajmniej we własnych oczach i w oczach najbliższych współpracowników. Bo to, że Wojnar może dużo, wiedzieli wszyscy. Zastanawiała się, co zrobi teraz. Z powodu stanu wojennego zapewne nabierze wiatru w kruczocharne skrzydła. Powinno się rozpaść jego kruczocharne serce. Może w końcu doczeka się swojej zbrojnej walki.

– Żaneta! Komendant cię woła! – krzyknął jeden z obecnych w budynku milicjantów.

– Ale teraz? Przecież ja już nie nadążam z telefonami!

– Rób, jak uważasz. Kazał cię zawołać, zawołałem.

Żaneta wstała, wzięła głęboki wdech i na moment zamknęła oczy. Komendant przyprowadził ją o ciarki na plecach. Nie był furiatem jak Wojnar, wręcz przeciwnie. Cichy, spokojny, cedził słowa, jakby każde z nich kosztowało go rok życia. Nigdy nie słyszała, żeby krzyczał, ale potrafił mówić w taki sposób, że stanie na baczność wydawało się najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem. Jak by tego było mało, w jego spojrzeniu dostrzegła coś, co sprawiało, że czuła się przed nim naga.

Stała przed drzwiami jego gabinetu, zapukała najdelikatniej, jak potrafiła, i dopiero wtedy weszła. Komendant siedział za biurkiem pełnym teczek, papierzyk i najróżniejszych bibelotów, które służyły za przyciski do papierów. Nigdy nie mogła się nadziwić, że jest aż takim bałaganierzem. Ale wyglądało na to, że miał nad tym chaosem pełną kontrolę i tylko dla oczu maluczkich, niegodnych wiedzy tajemnej jego biurko wyglądało jak śmietnik.

Gdy tylko za Żanetą zamknęły się drzwi, komendant wstał, poczekał, aż kobieta podeszła do jego centrum dowodzenia, i wyciągnął rękę na powitanie. Chwycił jej dłoń i pocałował; gdy tylko jego usta dotknęły skóry, Żaneta dostała gęsiej skórki. Zawsze to robił, a te jego śliskie, wiecznie wilgotne wargi napawały ją obrzydzeniem.

– Siadaj, Żaneta – wychrypiał komendant i poprawił okulary, które wiecznie zjeżdżały mu po orlim nosie. – Masz dosyć – nie zapytał, lecz stwierdził z pełną stanowczością.

– Czego dość, panie komendancie?

– Tego – powiedział, splatając dłonie i opierając na nich twarz. Świdrował ją oczami, które odkąd pamiętała, wyglądały na znudzone. Jakby widziały już

wszystko, początki i końce niezliczonych światów, ludzkie szczęścia i tragedie, każdą znaną emocję. Widziały wszystko i już nic nie mogło zrobić na nich wrażenia. – Jeszcze tylko kilka dni i przestaną dzwonić. Zdadzą sobie sprawę, że to nie ma większego sensu.

– Rozumiem, panie komendancie. – Siedziała wyprostowana niczym struna, spięta i zestresowana.

– Poza tym – podjął – chciałbym cię jutro na ulicy. Ocieplisz trochę wizerunek munduru. Mam nadzieję, że to dla ciebie nie problem?

– Żaden, panie komendancie.

– Bardzo mnie to cieszy. – Wstał i zaczął powoli spacerować po swoim gabinecie. – Rozumiesz, jak ważne rzeczy się dzieją?

– Tak jest, panie komendancie.

– Nasz rząd podjął wielkie ryzyko. Generał podjął wielkie ryzyko. Wiesz o tym?

– Wiem, panie komendancie.

– Takie genialne umysły jak generała rodzą się raz na pokolenie. A wiesz, dlaczego pomysły takich jednostek są tak bardzo cenne?

– Nie wiem, panie komendancie.

– Bo są absolutnie – podkreślił to słowo, kładąc nacisk na ostatnią sylabę – nieprzewidywalne. Jeśli znalazłbyśmy rozwiązania wszelkich problemów, to któż szukałby ekspertyzy? – kontynuował swój wywód, najdłuższy, jaki z jego ust słyszała Żaneta. – To, czego nie znamy, Żaneto, jest groźne. Ta sytuacja dokładnie taka jest. Ale żeby stawić groźnemu czoła, trzeba się w nie rzucić. I ja ci właśnie taką możliwość daję. Boisz się?

– Nie, panie komendancie.

– Boisz się, Żaneto. Każdy z nas się boi. Ale właśnie dlatego musimy stawić czoła naszemu strachowi. Gdyby groźba nie była realna, konfrontacja z nią nie miałaby sensu. Niebezpieczeństwo i niepewność definiują ryzyko, a ryzyko, droga Żaneto, jest konieczne dla nagrody. Wiesz, co będzie twoją nagrodą?

– Nie wiem, panie komendancie.

– Coś, co nie ma swojej ceny. Czym potrafią się cieszyć tylko nieliczni. Progres. Progres, no i oczywiście radość ze służby Polsce Ludowej. Przecież dlatego tu wszyscy jesteśmy. Nie zawracam ci dłużej głowy. Jeśli będziesz miała dość odbierania telefonów, to, tak między nami, możesz od czasu do czasu podnieść słuchawkę i od razu ją odłożyć.

– Tak jest, panie komendancie.

Żaneta wstała, zaszalutowała i skierowała się do drzwi, cały czas czując wzrok komendanta na swoich plecach.

– I Żaneto – powiedział, kiedy położyła dłoń na klamce – pozdrów ode mnie swojego teścia. Nie mogę się doczekać, aż znowu go zobaczę.

Dziewczyna postanowiła już nic więcej nie mówić. Zamknęła drzwi delikatnie, cichutko, tak jakby po drugiej stronie była jej przewrażliwiona na tym punkcie matka. Gdy wróciła do siebie, posłuchała rady komendanta. Słuchawka telefonu opadała, a wraz z nią opadały nadzieje mieszkańców Jastrzębia-Zdroju.

ROZDZIAŁ 14

Bożek! Gdzie jest Bożek?!

– Rafel? A co ty tu robisz? Jezu, dlaczego ty jesteś cały we krwi?

– Wszystko opowiem! Tylko mnie do Bożka prowadź! Im kompletnie odwaliło, Bercik! Kompletnie!

– Im? Jakim im?

– Zomowcom! Człowieku, wy się lepiej szykujcie, bo idą też po was! Idą po was i nie patrzą, czyś chłop, czy baba, czyś młody, czy stary! Leją wszystkich po równości, jak jakie dzikie zwierzęta. Choć ja nie wiem, czy jakie zwierzęta tak by się zachowywały. Do Bożka prowadź, Bercik!

Dwa dni. Minęły zaledwie dwa dni od czasu ogłoszenia stanu wojennego, a śląska ziemia spłynęła krwią niewinnych. Zomowcy wpadli w bestialską furję i bili na oślep. Nie miało znaczenia, czy ktoś strajkował, czy nie. Pod ciosami uciekali nawet przykładni członkowie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, zdziwieni i zaskoczeni. Milicja i wojsko najpierw spacyfikowały dwie jastrzębskie kopalnie – Jastrzębie i Moszczenicę – przepędzając górników z ich zakładów pracy. Ci, którzy pracowali w Manifeście Lipcowym, mieli czas, żeby się przygotować.

– Koledzy – powiedział Bożek do zebranych – sytuacja jest gorsza, niż wszyscy przypuszczaliśmy. Idą po nas i idą uzbrojeni po zęby, bez krzty litości w sercach. Pytam się was, koledzy, czy zostajemy na kopalni? Czy będziemy się bronić?

– Tak!

– Niech żyje Polska!

– Wrona w końcu skona! – dało się słyszeć z tłumu.

– Koledzy! – kontynuował Bożek. – Musimy się zbroić! Musimy przygotować się na odbicie ataku. Bo będzie to atak bezpardonowy i brutalny, tak nam koledzy z Jastrzębia donieśli. Zomowcy nie patrzą na wiek, nie patrzą na nic. Podobno nawet kobiet w ciąży nie oszczędzają!

Ta informacja rozjuszyła Hiacynta. Gdyby Żaneta była w ciąży i gdyby ktoś dotknął ją choćby palcem, choćby małym paluszkiem... Na samą myśl o tym zalewała go krew, jego wzrok zasnuwała delikatna, czerwona mgiełka. Tak samo widział, kiedy z pełnym impetem kasował hokeistów przeciwnych drużyn. Razem z kolegami ruszył na poszukiwanie wszystkiego, co mogłoby posłużyć za broń, a potem układał na kupki kamienie i metalowe śruby, którymi niczym Dawid mógłby ciskać w czerwonego Goliata. Przygotował sobie łańcuch, w sam raz do łamania czaszek. Spora grupa osób tworzyła prowizoryczne barykady w miejscach, gdzie najłatwiej byłoby ich zaatakować.

– Hiacynt, pozwól no na stronę! – zawołał go kolega ze zmiany. – Słuchaj, jest taka idyjo. Przecież mu tu siedzimy na prawdziwym arsenale.

– To znaczy? – zapytał Wojnar, wyraźnie zakłopotany.

– Chopie, przecuć sie! Gdzie ty robisz, w piekarni? Przecież my tu nie mamy chlebów. Żymła czerwońca nie skrzywdzi. Mōnka też nie. Chopie, przecież my tu mamy benzyny pod dostatkiem. Flachy z gasym. Możemy całe to czerwone towarzystwo odesłać do Pana Boga w trymiga! Co myślisz? Bieremy to?

– Nie wiem, Damian. Przecież to się piekło rozpęta.

– A kto zaczął?! – zdenerwował się Damian, cały spocony z ekscytacji. – Powiedz, chopie, kto zaczął?! Sami piekła chcieli.

– Ale to nie była metafora Damian. Tu będzie prawdziwe, biblijne piekło. Takie z ogniem.

– A to niech i będzie piekło biblijne. Tylko że Hiacynt pamiętaj: to my będziemy diabłami.

Hiacynt jedynie pokiwał głową i poszedł w swoją stronę, mając cichą nadzieję, że żaden grubiorz nie wpadnie na podobny pomysł, a Damian, zostawiony sam na sam ze swoim geniuszem, odpuści.

Atmosfera stawała się z godziny na godzinę coraz bardziej gęsta. W oczach górników gościł strach, ale i wola walki. Hiacynt spojrzął na zegarek, który otrzymał od ojca. Czasomierz należał wcześniej do Ottona Wojnara, a przedtem do Mikołaja Witczaka juniora. Był jedną z rzeczy, które Otton otrzymał w pożegnalnym pakunku. Wskazywał jedenastą siedem, kiedy tłum górników zaczął krzyczeć.

– Są tu! Przyjechali! Od tyłu też! Do broni, chopy! Do broni!

Hiacynt na kilka sekund zamarł, nie mógł się zdecydować, gdzie najbardziej przydadzą się jego krzepa i wola walki. Założył, że będzie bardziej potrzebny od frontu kopalni, ruszył więc na barykady, z łańcuchem przewieszonym przez szyję. Biegając, usłyszał olbrzymi huk, jakby faktycznie ktoś zadecydował o odpaleniu materiałów wybuchowych. Przyspieszył jeszcze bardziej i dopiero po chwili zlokalizował źródło dźwięku. Czołgi przerwały barykadę, ich kierowcy parli naprzód.

– Cofajcie się! Cofajcie się, bo nas rozjadą jak robaki! – krzyczał ktoś głosem pełnym paniki.

Hiacynt pomyślał, że jego ojciec znowu miał rację. Mówić można wiele, słowa to pusta, nieszkodliwa amunicja. Prawdziwa siła, jedyna siła jest w czynach.

Górnicy posłuchali i rzucili się do tyłu między budynki. Wąskie przejścia obiecywały bezpieczeństwo, nawet jeśli miało być tylko chwilowe. Pobiegł za resztą, nie potrzebował dzisiaj uzyskać statusu bohatera. Nie miał potrzeby chojrakowania. Pomysł wycofania okazał się słuszny, bo czołgi zaczęły się blokować. Obok Hiacynta pojawił się ktoś z węzem z wodą.

– Polewać ich! – ryczał. – Polewać czerwonych, to nas nie będą widzieli! Dawać więcej wody!

– Na nich! Tereź na nich, chopy! Bij, zabij czerwoną kanalię!

Chaos w kopalni robił się coraz większy, a Hiacynt bez przekonania zaczął się zbliżać do oddziałów szturmowych. Coś mu mówiło, że dzisiejszy dzień nie należy do niego. Intuicja, ta sama, dzięki której potrafił być nie do zatrzymania na lodzie, krzyczała: nie szarżuj!

– Pałaj się! Czołgi się pałaj! Zara to wszystko wybuchnie! – krzyczał ten sam, który wcześniej wpadł na pomysł oblewania pojazdów wodą.

– Nic się nie pali, chłopie! – ryczał ktoś inny. – To te skurwysyny nas zadymiają! Spokojnie, damy im radę! Wrona skona!

– WRONA SKONA! – ryknął rozwścieczony tłum.

Dym gryzł w oczy i gardło, Hiacynt pomyślał, że zomowcy musieli też użyć jakiegoś gazu albo innej chemii. Wzrokiem szukał czegoś, czym mógłby choć trochę ochronić usta i nos. Wszystkie szmaty były nasiąknięte olejem, ściągnął więc kurtkę, a z flanelowej koszuli oderwał rękaw. Zrobił z niego maskę i rzucił się przed siebie. Zomowcy zaczęli się wycofywać. Nie musiał podejmować walki, nie musiał użyć ani łańcucha, ani zgromadzonej w kieszeniach amunicji ze śrub. Odetchnął głęboko, starł pot z czoła i usiadł na ziemi. Wiedział, że to jeszcze nie koniec.

Miasto od samego rana huczało. Prawdziwe informacje mieszały się z plotkami, wydarzenia trywialne urastały do rangi epokowych, a ludzie, którzy mieli już nie żyć, zmartwychwstawali i odwrotnie.

W zakładzie fryzjerskim Zeflika nie rozmawiano o niczym innym niż o pacyfikacji kopalni. Ludzie schodzili się do fryzjera po to, by uzyskać najnowsze informacje, fryzura była rzeczą drugorzędną. Zeflik, jak to on, ciął, golił, robił swoje – i jedynie słuchał. Tak jak pozostali w poczekalni.

Zeflik nie bał się o Hiacynta, bał się o Żanetkę. I nie chodziło o to, że wierzył w siłę i krzepę zięcia, zupełnie nie. Hiacynt był mu człowiekiem obojętnym. Akceptował wybór córki, bo życie nauczyło go, że z kobietami lepiej nie dyskutować. Lubił z zięciem pogadać, wypić z nim wieczorne piwo. Gdyby coś mu się stało, to owszem – odczułby przykrość, ale tylko dlatego, że zabolaloby to jego ukochaną pierworodną córkę. Jego oczko w głowie. O tej drugiej, marnotrawnej, nie chciał nawet myśleć.

Brydzia poprzedniej nocy nie mogła spać. Patrzyła w sufit, który Zeflik miał pomalować już w marcu. Obrała sobie jeden punkt, lekko żółtawy zaciek, i patrzyła się w niego z taką zawziętością, jakby pod wpływem niewidzialnej energii miał zniknąć. Co jakiś czas musiała szturchnąć Zeflika, bo zaczynał chrapać. Czula jakiś wewnętrzny strach, coś wciąż podpowiadało jej, że niedługo będzie musiała chodzić w czerni. Udało jej się zasnąć dopiero nad ranem, a w jej snach pojawiał się Joachim Wojnar. Mężczyzna dzierżył w dłoniach okrwawiony miecz i coś krzyczał, ale był to język dla niej niezrozumiały.

– *Es ist Zeit zu kämpfen! Die Zeit der Feuersbrunst ist gekommen! Die Unwürdigen müssen gehen!* – wył Wojnar, wymachując mieczem na prawo i lewo, wszystko brudząc krwią. – *Das Blut der Erniedrigten wird brennen! Das Blut der Unterdrückten wird unsere Erde durchtränken!*

Krew z miecza z każdym kolejnym machnięciem robiła się bardziej czarna, aż w końcu zmieniła się w maź oblepiającą wszystko i wszystkich. W końcu maź trafiła również w Brydzię.

– *Ich werde auch dein Blut vergießen, du unwürdige Schlampe!*

Kiedy Joachim Wojnar wypowiedział te słowa, obudziła się. Nic się nie zmieniło. Zeflik chrapał, plama na suficie nie zniknęła. Strach nadal wypełniał jej serce.

– *Nieszczęśliwe były te karczemne tańce, bo się tam schodzili najwięksi zuchwalce. Trza było do karczmy nie chodzić, pachółków za sobą nie wodzić, nie byłabyś wianka straciła* – śpiewała później pod nosem, szykując obiad.

Skaleczyła się w palec dokładnie w tym samym momencie, kiedy zomowcy po raz pierwszy wycofywali się z Manifestu. Przeklęła, włożyła wskazujący palec pod kran i puściła lodowatą wodę. Szukając plastra, przypomniała sobie

makabryczny sen. Dziwne, pomyślała, wyśniłam swoją krew. Uśmiechnęła się, zaczęła śpiewać kolejną pieśń i wróciła do krojenia modrej kapusty. Usłyszała, że ktoś zaczął chodzić po mieszkaniu.

– O, księżniczka wstała. Wiesz, która jest godzina?

Księżniczka jedynie wzruszyła ramionami i weszła do toalety. Waląc drzwiami najgłośniej, jak potrafiła.

Żaneta drugi dzień z rzędu musiała zakładać dodatkowy sweter. To nie były jej temperatury, to nie była jej pora roku. Ona rozkwitała latem, kochała lejący się z nieba żar. Grudzień oprócz zimna przynosił też szaroburą atmosferę, która każdego dnia, kroczek po kroczku, wkradała się do serca Żanety. W takich momentach żałowała, że ludzie nie są jak niektóre zwierzęta, że nie zapadają w zimowy sen. Mogłaby położyć głowę na muskularnej klatce piersiowej Hiacynta, rozkoszować się tym, jak mąż bawi się jej włosami, i spokojnie zasnąć na kilka miesięcy.

W szkole, podczas lekcji geografii, zaczęła marzyć o podróżach. Chciała zwiedzić wszystkie ciepłe kraje, unikając tych, w których zimno lubi rządzić. Marzyła jej się Kuba, Brazylia, cała Afryka. Ale im była starsza, tym nabierała większej pewności, że nigdy nie uda jej się wyjechać z Polski. Dopóki nie poznała Hiacynta. Dopiero jemu zwierzyła się ze swoich pragnień, które jej rodzina zapewne uznałaby za mrzonki głupiej młódki. Mężczyzna jedynie się uśmiechnął i mocniej ją przytulił. Nie do końca wiedziała, jak to interpretować, ale miała poczucie, że z nim u boku wszystko staje się realne. Choć teraz to wszystko trzeba będzie odłożyć na kilka lat...

– Dzień dobry, Żanetko! – zawołał za nią znajomy, kobiecy głos. Pierwszy tego dnia przyjazny.

Julia się odwróciła.

– Dzień dobry, pani Michalikowa! Gdzie pani w to zimno pędzi?

– Żanetko, nie wiesz może, co się w tym Manifeście dzieje? – Starsza kobieta zignorowała pytanie. – Ojgen z rana za wypłatą poszedł i jeszcze nie wrócił...

– Nie wiem, pani Michalikowa. Słyszałam tylko – Żaneta ściszyła głos, dostrzegłszy karcący wzrok kolegi z komendy – że się tam bronią. Walczą. Pewnie pan Michalik chciał pomóc i został.

– Co to się porobiło, Żanetko, powiedz? Żeby Polak Polakowi takie rzeczy robił, no kto to widział?

Żaneta jedynie smutno się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami. Michalikowa ruszyła w swoją stronę, a dziewczyna próbowała wygrać z zimnem, wyobrażając sobie siebie, Hiacynta i... No właśnie, i kogo? W każdym razie całą trójkę na plaży w Rio de Janeiro. Tylko ona nie ukrywa się pod parasolem, promienie słoneczne lecą jej duszę. Tylko ona nie wchodzi do wody, boi się jej panicznie od

dziecka. Są szczęśliwi. Wyobrażała sobie ich wszystkich na Kubie, w San Cristobal de La Habana. Spacerują po starym mieście, gubiąc się w tętniących życiem uliczkach. Hiacynt próbuje lokalnych cygar, a ona przymierza te piękne, wielokolorowe suknie. Wieczorem tańczą, ucząc się salsy od najlepszych. Są szczęśliwi. Kiedy tak stała na zimnie, umysłem będąc zupełnie gdzie indziej, zomowcy wraz z wojskiem po raz trzeci uderzyli na Manifest Lipcowy. Po raz trzeci i ostatni.

– Na nich! Bij, zabij czerwonego!

– WRONA SKONA!

Hiacynt mocniej złapał za łańcuch, napiął wszystkie mięśnie. Był już zmęczony i głodny. Zmęczony czekaniem, głodny, bo od niedzieli nie miał za wiele w ustach. Dziwne, pomyślał, że w takiej chwili myślę o obiedzie. Ciekawe, co tam dobrego szwagra dziś gotuje? Z zamyślenia wyrwał go świst, który przeszedł jak rakietą nad głowami obrońców Manifestu Lipcowego. Górniczy patrzyli po sobie, zdziwieni i zaskoczeni.

– Ostrą amunicją strzelają! Ostrą! – krzyknął stojący niedaleko Hiacynta chłopak.

– Jak ostrą? – zapytał ktoś inny; Hiacynt nie mógł zlokalizować źródła głosu. – Po wybrzeżu mówili przecież, że już nigdy strzelać nie będą. Jakimiś gumowymi wałą!

– To jest ostra! – zawołał całkiem już blady chłopak. – Chopy, ja w wojsku byłem i wiem! To jest ostra! Zabić nas chcą.

– Straszą tylko! – odkrzyknął Hiacynt, którego oczy zasnuwała czerwona mgła. – Nie ma już odwrotu! Na nich!

Liczba rozjuszonych, wściekłych, ale i przerażonych górników zrobiła wrażenie na agresorach, bo mundurowi zaczęli w panice uciekać, chować się, za czym tylko się da, w myślach prosić o bożą interwencję. Hiacynt już obrał swój cel. Zwierzyna uciekała, ale on był szybszy, sprawniejszy. Bardziej wściekły. W końcu nazywał się Wojnar, a walka to jego naturalne środowisko. Może ojciec znowu miał rację. Może ich plemię rozkwita tylko wtedy, gdy trzeba przelać krew. Może osiągają swój największy potencjał ludzki, kiedy przychodzi czas konfliktu. Czas, kiedy silni dyktują warunki. Jego mundurowa zwierzyna przewróciła się na twarz, Hiacynt Wojnar wziął potężny zamach łańcuchem; miał pewność, że jedno uderzenie w zupełności wystarczy. Zomowiec zdążył odwrócić się na plecy, a widząc biorącego zamach rosnącego górnika, zasłonił głowę rękoma. W tej mikrosekundzie ich oczy się spotkały. Hiacynt przez coraz bardziej czerwoną mgłę

zdążył zarejestrować, że na ziemi leży młody chłopak, być może nawet młodszy od niego. Mundurowy miał wzrok przerażonej sarny widzącej światła zbliżającej się ciężarówki. Taryfy ulgowej nie było. Hiacynt jednak zamarł. Nie mógł zrobić żadnego ruchu, nie mógł wypowiedzieć żadnego słowa.

Był w takiej furii, że nawet nie usłyszał drugiej serii oddanej z pistoletów maszynowych PM-63 RAK. Nie usłyszał wylatujących kul kalibru dziewięć milimetrów. Nie poczuł, jak jedna z nich zagłębia się w jego ciało, rozrywa mięśnie, przebija serce i wylatuje przez plecy. Nie poczuł upadku, nie słyszał, jak biegnący za nim górnik zaczyna krzyczeć. Nie zarejestrował, że ten sam górnik próbuje go zabrać z placu.

Hiacynt Wojnar zginął 15 grudnia 1981 roku na terenie kopalni Manifest Lipcowy. W dniu swojej śmierci, tak bardzo podobnej do śmierci dziadka Ottona, miał dwadzieścia dwa lata. Nie zdążył się dowiedzieć, że za siedem miesięcy urodzi się jego dziecko.

LISTY II

Drogi,

obiecалам sobie, że kontakt wszelki z tobą zerwę, ale to dużo trudniejsze, niż mogłabym sobie kiedykolwiek wyobrazić. Nawiedzasz mnie w snach i czasem są to piękne, utopijne wręcz fantazje, w których to mnie wybrałeś i ze mną życie postanowiłeś. Budzę się po takiej fantasmagorii i ronię łez kilka, bo piękne chwile się w mej głowie pojawiają. Nie ukrywamy się, bo nie ma przed kim. Nic na sumieniu nam nie ciąży, żadne przykazanie Dekalogu nie zostaje złamane. W snach tych dobry Pan Bóg dał nam dar szczęścia, które w sobie nawzajem znaleźliśmy. I w dziecku naszym. Ale, Drogi, są też sny inne zupełnie, widziadła obrzydliwe i koszmarnie. Też w nich jesteś, ale nie jawisz się jako dobry mąż i ojciec, ale jako ciemnyzyciel pokraczny. Zamiast dłoni, tak silnych i męskich, narzędzia masz lekarskie i za wszelką cenę chcesz pozbyć się dziecka naszego. Twarz Twoja jest wykrzywiona, niczym należąca do upiора jakiegoś czy biesa piekielnego. Krzyczysz wtedy rzeczy, których nawet przywołać na papierze nie chcę, a ja Cię błagam o litość. Tylko że w Twych oczach litości nie ma. Jest tylko wściekłość.

Drogi, jest jeszcze jedna sprawa, która zapomnieć mi o Tobie nie pozwala. Od dwóch tygodni samotna już nie jestem, już mam dla kogo żyć. Wyszedł ze mnie w bólach wielkich, akuszerka bała się o zdrowie i życie moje. Już myślałam, żeś miał rację, że może faktycznie dziecko

to na świat przyjść nie powinno i dobry Pan Bóg znak mi daje i wziąć chce do siebie. Żyję jednak, ja i dziecię. Patrzę na niego i jedyne, co widzę, to Ciebie, Drogi. Oczy ma Twoje, jakby zdjęte z Twojej pięknej twarzy. Wiedz, Drogi, że patrzę w nie i czuję zarówno miłość, jak i nienawiść. Miłość, bo nie potrafię sobie imaginować, że takiego maleństwa kochać nie można. Nienawiść, bo każdego dnia ten mały, niewinny cud życia o Tobie przypominać mi będzie i o Twojej podjętej decyzji.

Drogi, po raz ostatni apeluję. Spotkajmy się, choć ten jeden, jedyny raz. Weź w swe dłonie syna, nie musisz nawet nic mówić. Zobacz go choć jeden jedyny raz. Błagam cię, a jeśli będzie trzeba, to i na kolana przed Tobą padnę, łamiąc dekalogowe przykazanie pierwsze.

Twoja Eufemia

Droga,

bardzo rad z tego, jak poród się zakończył. Mimo mego stanowiska żelaznego potrafię wykrzesać z siebie odrobinę radości. Wiedz, Droga, że to nie jest tak, że zapomniałem o Tobie, że wyrzuciłem z myśli i snów. Ty również mnie nawiedzasz, kiedy po ciężkim dniu przykładam głowę do poduszki. Gdy obok leży żona ma, to i wiedz, że chciałbym, abyś to Ty, Droga, towarzyszyła mi w mej codzienności. Tęskno mi do Ciebie i ciała Twego, do łona, do Twoich gorących oddechów i słów, których przywołać na papierze nie wypada. Jest jednak życie, jakie jest, i życie, jakie chcielibyśmy, by było. Dla zdrowotności umysłu lepiej nie spędzać zbyt wiele czasu w tym drugim, w zadumie i marzycielstwie, bo nic z niego nie wynika, a jedynie przynosi żal, osowiałość i melancholię. Wiem, Droga, że nad snami nie ma kontroli, ale im mniej będziesz myśleć o przyszłości niedokonanej, tym lepiej dla Ciebie. Niech dziecko Twe chowa się w zdrowiu i niech dobry Pan Bóg ma je w opiece, choć to dziecko z grzechu pochodzące. Dużo nad tym dumalem, droga, Wszechmogący mi świadkiem. Wiele godzin nocnych poświęciłem na to, choć wiesz, ile teraz mam pracy. Jak kreśliłem wcześniej, nie chodzi już tylko o mnie. Chodzi o całe miasto. Miasto, w którym przecież i Ty, i dziecię Twoje żyć będziecie. I ja to miasto zamierzam zmienić. Ulepszyć.

Droga, jedna rzecz budzi mą obawę, ilekroć zacznę o tym myśleć. Jest matka i jest dziecko, ale każdy cymbał zauważy brak w tym równaniu. Kiedy pyta Cię ktoś, a pytał już na pewno, kto dziecko Twe

spłodził, jakiego responsu udzielasz? Droga, odpowiedz proszę szczerze.

Niech dobry Pan Bóg ma Was w swojej opiece.

Twój Mikołaj

Drogi,

raduje mnie niezmiernie fakt, że odpisać postanowiłeś. Smuci bardzo to, że za każdym razem do syna odnosisz się w korespondencji jako do „mojego dziecka”. Nasze, Drogi, nasze dziecko. Predestynowane jest ono do rzeczy niezwykłych i podniosłych. Tak jak ojciec jego.

Martwić się o respons mój nie musisz, zrobiłam bowiem coś, czego być może robić nie powinnam. Do łóżka mego wpuściłam nie jednego, nie dwóch, lecz trzech kochanków. Drogi, dzięki temu wiem, jakiś Ty dla mnie ważny, bo może i podniety cielesne osiągnęłam, ale przyjemności emocjonalnej nie było w tej lubieżności ani trochę. Drogi, przywołujesz wścibską sąsiadkę, a to ona kluczem do całej tej cyganerii i tamburynizmu. Ona bowiem każdego z mężów widziała i o każdym zapewne obrzydliwe plotki już rozpuściła. Chciałeś ze mnie zrobić wszetecznicę i zrobiłeś, tyle że zarobku z tego nie miałam i mieć nie chcę. Imaginuj sobie, Drogi, że to wszystko dla Ciebie, bo zdałam sobie sprawę być może najważniejszą – to Ciebie miłuję i miłować zawsze będę. Żaden inny mąż nigdy nie zastąpi Ciebie nawet w małej, najmniejszej części. Dlatego żadnego innego znać już nie chcę. Świadomie wybieram życie dla syna wyłącznie. Jeszcze nazwisko moje rodowe zasłynie. Będiesz, Drogi, czytał o Wojnarach w książkach historycznych. To wiem na pewno.

Żyj, proszę, pełnią życia i nie zaprzataj sobie już nami głowy. Wprost napisać nie potrafiłeś, ale ja między wierszami czytać umiem. Nie chcesz nigdy syna swego w dłonie wziąć, dobrze. Zapamiętaj jednak imię jego. Imię, które wpisze się w historycznych annałach, imię, które wielkie rzeczy robić będzie. Otton Wojnar.

*Twoja i tylko Twoja na wieki wieków
Eufemia*



CZĘŚĆ III
TERAZ

ROZDZIAŁ 15

Nawet nie wiedział, kiedy zasnął. Było mu bardzo wygodnie, biorąc pod uwagę, że spał na fotelu w kształcie Snorlaxa z Pokémonów. Czuł jednak jakiś dziwny ucisk w klatce piersiowej.

Jeszcze brakuje mi na to wszystko stanu przedzawałowego, pomyślał i dopiero wtedy otworzył oczy.

Ucisk w klatce piersiowej o imieniu Tofu spojrzał na niego i wtedy wszystko potoczyło się bardzo szybko. Widok olbrzymich oczu i jeszcze większych uszu sprawił, że Waław krzyknął. Ten mimowolnie wydany dźwięk przestraszył poczciwego kota, który chciał jedynie odzyskać swoje ulubione miejsce do drzemania. Tofu, mając do wyboru walkę lub ucieczkę, zawsze wybierał to pierwsze, więc wysunął pazury w prawej łapie i wykonał jeden celny cios. Polała się krew, a zraniony Waław poderwał się z miejsca i zaczął wrzeszczeć. Po kilkunastu sekundach z góry zbiegła uzbrojona w kij baseballowy Klementyna.

– Co się dzieje?! Waław, o Boże, ty krwawisz! Kto tu jest?! Pokaż się, bandyto!

– Nikogo tu nie ma – powiedział Waław, trzymając się za twarz. – Twój kot mnie zaatakował!

– Kto?

– Nie kto, tylko kot! Kot! Sushi!

– On ma na imię Tofu. Ale Sushi też ładnie, wykorzystam kiedyś. Pokaż. Aaaała, no faktycznie, nieźle cię urządził. Dobrze, że ominął oko! Mógłbyś zostać piratem z przekożacką opaską!

- Masz coś, żeby odkazić ranę?
- Tofu jest czystym zwierzęciem.
- Mimo wszystko.

– Chyba mam w łazience wodę utlenioną. Wiedziałaś, że woda utleniona jest najlepsza do czyszczenia uszu? Wlewasz trochę do środka i jeb! Normalnie jakby wulkan wybuchnął! I czekasz, aż...

- Klementyna...
- Co? A, woda. Idę!

Zegarek pokazywał siódmą dwadzieścia trzy. Było chwilę po czwartej, gdy Waław schodził na dół, czyli miał za sobą kolejną noc bez zalecanych ośmiu godzin snu. Może dziś się uda, choć zostało jeszcze tyle do przejrzenia.

- Proszę, woda. – Klementyna wręczyła mu buteleczkę. – Została jakaś resztk.
- Dzięki. Opatrunek? Ręcznik papierowy?
- Kuchnia. Częstuj się.

Waław polał kawałek papieru wodą utlenioną i przyłożył do rany po pazurach. Szczypało jak cholera.

– Mówię ci – zaczęła Klementyna, nalewając sobie wody z kranu do kubka – bycie bezokim piratem ma swoje zalety. Po pierwsze, ta opaska. Opaski serio są ekstra. Widziałaś *Ucieczkę z Nowego Jorku*?

– Widziałem.

– Człowieku! Snake Plissken to jest chodząca zajebistość! Ale gdybyś na przykład nie zdecydował się na opaskę, tylko na sztuczne oko, to miałbyś ekstra sztuczkę imprezową. Podejrzewam, tylko podejrzewam, bo nigdy nie miałam okazji sama sprawdzić, że gdyby ktoś walnął cię w tył głowy, to oko samo by wyleciało! Stary!

– Faktycznie, bardzo śmieszne. Niestety, oko przetrwało.

– No, niestety – potwierdziła Klementyna, w ogóle nie odczytując ironii. – To co, jadziem?

– Co? – zdziwił się Waław. – Jakie „jadziem”? Dokąd jadziem?

– Na rower. Mówiłam ci przecież, między przedostatnim a ostatnim listem, że codziennie rano chodzę na rower. Mogę ci jakiś pożyczyć. Chyba że wolisz pocziłować w mieszkaniu, to też spoko. Tylko nie zasypiaj więcej na Snorlaxie, Tofu chyba tego nie lubi.

– Ewidentnie. Pojadę z tobą. Masz jakąś ulubioną trasę?

– O człowieku! Żeby jedną! Ale wezmę cię na taką, że głowa mała. Tylko będzie mały problem z ciuchami dla ciebie...

– Nie szkodzi. I tak już śmierdzą.

– No faktycznie, nieładnie pachniesz. Może dlatego Tofu tak się zirytował? To bardzo czyste zwierzę.

Żelazny Szlak Rowerowy w sobotni poranek powoli zapełniał się cyklistami. Ta ponadpięćdziesięciokilometrowa pętla rowerowa powstała kilka lat wcześniej i z roku na rok przyciągała coraz większą liczbę kochających bezspalinowe jednoślady. Trasa ciągnęła się na terenie pięciu lokalnych gmin, w tym Jastrzębia-Zdroju. Przebłyskiem geniuszu było jej umiejscowienie, duża część trasy bowiem wiodła w miejscach, gdzie wcześniej znajdowały się linie kolejowe. Nieużytek zamieniono w jedną z najpopularniejszych lokalnych atrakcji turystycznych. Prym wśród sobotnich cyklistów wiedli mężczyźni w średnim wieku na wartych kilkadziesiąt tysięcy złotych rowerach do triathlonu.

– Jak ja nienawidzę mamili – powiedziała Klementyna, zwawo pedałowując na swoim rowerze do MTB.

Wacław z trudem utrzymywał narzucone przez dziewczynę tempo, ale głupio mu było prosić o lepsze.

– Czego nienawidzisz? – wysapał.

– Nie czego, tylko kogo. Mamili.

– Klementyna, ja nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. Zawsze tak szybko jeździsz?

– Nie no, co ty, Wacław. Dzisiaj to luzik, nie chcę cię zabić. Jest okej?

– Wiadomo.

– No, to dobrze. A mamile, mój drogi, to są *middle-aged man in lycra*.

Wacław nie mógł się nie zaśmiać. Faktycznie, w swoim rodzinnym Poznaniu również zauważył plagę mężczyzn w średnim wieku, całych w lycrze, robiących kółko za kółkiem wokół Jeziora Maltańskiego.

– Jeśli jest grupa społeczna, której szczerze nienawidzę – kontynuowała Klementyna – to są nią mamile. Jest różnica między kimś, kto jeździ na rowerze, a mamilem. Zobacz, kolejny! Caaaaalutki w lycrze, a na tych jego ciuchach jakieś wielkie logo. O, serio? Masz sponsora? Startujesz w Tour de France? Nie, kurwa, masz czterdzieści lat i żadnej osobowości! Mieszkasz na przedmieściach i nie masz nic lepszego do roboty! Wydałeś sporo hajsu na sprzęt i teraz gadasz: „Ooo, to mój styl życia”. Srycia! To jest wcielenie konsumpcjonizmu z przedmieścia! Ha tfu, na nich!

– Wow – powiedział Wacław. – Ty serio ich nie lubisz.

– Nienawidzę! Bardziej niż grubasów. A najbardziej to nienawidzę grubasów w lycrze. Zobacz, tu jest taki mały pit stop. Potrzebujesz przerwy?

– Chętnie.

Wacław wpisywał się w ramy kogoś, kim mogłaby gardzić Klementyna – faceta w średnim wieku, któremu zaczynał ciążyć brzuch. Całkiem niedawno próbował wrócić do biegania, ale po trzech kilometrach chciało mu się płakać. Teraz czuł

się bardzo podobnie, lecz wolał nie okazywać słabości. Nigdy nie był typem wojownika.

– To co? Pogadamy o tych znaleziskach?

– A o czym tu gadać? Kilka starych listów, z których nic nie wynika. Przynajmniej dla mnie.

– Nic nie wynika? Nic nie wynika? Stary, siedzimy na pieprzonej, śląskiej bombie atomowej. To jest dowód na cudzołóstwo śląskiego bohatera! Stary, on ma tu nazwaną po sobie ulicę! To na pewno nie zostanie dobrze odebrane. Wychodzi na to, że sprzedał uzdrowisko Niemcom, bo był szantażowany. Ty chyba nie wiesz, jak bardzo nie lubi się tu Niemców.

– A to nie jest tak, że w całej Polsce się ich nie lubi?

– Uwierz mi, Wacek, tutaj nie lubi się ich razy trzy bardziej.

– Okej, skoro tak twierdzisz... – powiedział, coraz bardziej się pocąc. – Wiesz co? Możesz sobie wziąć te listy, są twoje. Zapłacisz mi tak, jak za te twoje historie wyszukiwań. Chociaż coś na tym zyskam.

Klementyna wypła odrobinę wody ze swojego bidona. Patrzyła na Wacława tak, jakby stał przed nią najgłupszy i najmniej domyślny człowiek na świecie. Wstała i w zamyśleniu poprawiła włosy.

– „Chociaż coś”, powiadasz. Chociaż coś. A jak myślisz, mój ziemniaczany przyjacielu, dlaczego tak ważna korespondencja znalazła się akurat w twojej rodzinie?

– Przez przypadek.

– No nie wierzę w typa! Przez przypadek? Przez przypadek to w ciążę można zajść, głąbie. Nie widzisz, jak to się wszystko łączy? Tak bardzo jesteś ślepy? Wacław, ty jesteś Ślązakiem. Więcej, ty jesteś śląska monarchia. O, wybacz, panie, zem cię tak niegodnie ugościła! Wybacz za kota mego niewychowanego!

– Nie mam pojęcia, do czego zmierzasz.

– Wacław, nie jesteś głupim człowiekiem. Jesteś tylko człowiekiem pogubionym. A teraz okazuje się jeszcze, że... – przerwała na moment, bo właśnie mijala ich jakaś para z dzieckiem – że jesteś potomkiem Mikołaja Witczaka. Z nieprawego łoża, to fakt, ale potomkiem. Jesteś elitą.

– Przestań gadać bzdury, dziewczyno – zirytował się Wacław i w tej samej sekundzie zdał sobie sprawę, że odpowiedział dość agresywnie. Zdziwiło go to.

– Bzdury? To dlaczego matka nigdy ci nie powiedziała, że stąd pochodzi?

– Pewnie uznała to za mało istotny fakt.

– Tak? A dlaczego te listy były w, teraz uważaj Wacław, w SEJFIE UKRYTYM W ŚCIANIU?! – krzyknęła, również już mocno zdenerwowana, dziewczyna.

– Paranoja. Samotność robi z ludźmi dziwne rzeczy.

– To akurat prawda, ale, stary, nie możesz lekceważyć...

– MOGĘ! – ryknął Wacław, a jego dłoń sama z siebie zamknęła się w pięść. – Mogę i będę! Ja mam dość własnych problemów, nie rozumiesz?! Dość! Jeden problem na drugim i tak warstwa za warstwą! – Wstał z ławki. – Ojciec ze mną nie rozmawia! Żona się puszcza! Dziecko... – Jego oczy zasnuła czerwona mgła, czuł, jak całe ciało staje się gotowe do... Sam nie wiedział do czego. – Moje kochane dziecko...

Wściekłość uleciała z niego w sekundę. Na powrót usiadł na ławce, poczuł się bardzo słaby. Słaby, bezbronny i bezsilny. Łzy same zaczęły płynąć, niczym wodospady. Schował twarz w dłonie, nie chciał, żeby Klementyna widziała go takim. Nie chciał, żeby potraktowała go jak Karcia. Nie chciał słyszeć, że jest przegrywem, że do niczego się nie nadaje. Chyba że do mordowania własnych dzieci. Nie mógł przestać płakać, nie potrafił. Nie wiedział też, ile minęło czasu, odkąd się rozkleił. W pewnym momencie poczuł na plecach dłoń, małą i wyjątkowo ciepłą. Podniósł głowę i zauważył, że Klementyna również jest bliska płaczu. Że rozumie ten ból. Rozumie ten niedający się opisać, pożerający od środka ból. Nic nie mówiła, jedynie patrzyła i czekała. Wacław wreszcie przestał płakać. Wytarł nos rękawem, obiecując sobie, że kiedy wrócą do miasta, wyrzuci wszystkie te ciuchy.

– Przepraszam, ja...

– Nie masz za co przepraszać, Wacław. Jest okej. To znaczy nie jest okej, to widać, ale... Kurde, nie jestem w tym zbyt dobra. W każdym razie nie musisz przepraszać. Widocznie tego potrzebowałeś.

– To samo mówi moja terapeutka.

– Chodzisz do terapeutki? To świetnie, że potrafisz szukać pomocy.

– Hah – parsknął Wacław. – Karcia mawiała, że prawdziwy facet nie chodzi do psychologa. Prawdziwy facet popełnia samobójstwo. I to nie było ironiczne.

– Serio? To chyba niezbyt mądre. – Klementyna zamilkła na moment. – Wiesz, jeśli chcesz albo potrzebujesz się wygadać, to ja chętnie wysłucham. Z doświadczenia wiem, że często łatwiej jest się zwierzyć obcej osobie.

– Przecież ci już wszystko powiedziałem. Wtedy, po pijaku.

– Powiedziałeś tylko, albo w sumie aż, że jesteś w trakcie rozwodu z tą całą Karcia. A powodem jest...

– Pola.

Wacław wziął głęboki wdech, i drugi, dopiero wtedy zrobił wydech. Tak jak przykazał profesor Huberman. Przez chwilę milczał, zbierając myśli, a kiedy poczuł, że bardziej gotowy już nie będzie, opowiedział Klementynie wydarzenia sprzed kilku miesięcy.

- Wyjeżdżasz już?
- No tak, chciałbym to mieć już za sobą. Nienawidzę marketów o tej porze.
- Poczekaj, pojedziemy z tobą.
- Mała nie śpi?
- A czy ona kiedykolwiek śpi? Mam wrażenie, że nie. Mały potwór.
- Potworzyca.
- Wysysacz energii.
- Hasbulla.
- Co? Dlaczego tak ją nazwałeś?
- Przecież kiedy się wkurza, wygląda identycznie jak ten mały pieniacz.
- Wiesz co?! Powiem jej to, jak podrośnie!
- A mów sobie. Będzie córeczką tatusia. Wszystko mi wybaczy!
- Hah, pewnie tak będzie. Idę ją przebrać i możemy się zbierać.
- To ja już zniosę stelaż do bagażnika.

Wacław Wolf czuł się szczęśliwy. Tyle lat starania się o dziecko, tyle wizyt u specjalistów, tyle stresu, nerwów i wylanych łez. Tyle czekania. I w końcu dołączyła do nich. Mała, piękna Pola. Oczko w głowie, największy skarb, dar od losu. Uwielbiał każdą chwilę, którą spędzał z córką. Uwielbiał ją przebierać, kapać, nosić na rękach i śpiewać jej piosenki z bajek Disneya – tak najbardziej lubiła zasypiać, to był stuprocentowo skuteczny sposób. Mimo że wkroczyli już w wiek średni, on i Karolina nie byli przewrażliwionymi rodzicami. Już kilka dni po powrocie ze szpitala jeździli z Polą do sklepów, brali ją na długie spacery, planowali naukę pływania i nurkowania na basenie w Daszewicach. Obiecywali sobie, że wychowają ją z dala od zapędów, które mają matki pisane przez D w środku.

– Weźmiesz fotelik? – zapytała Karolina, kiedy Wacław wrócił do mieszkania. – Ona się robi jak mały hipopotam.

– Taka słodka?

– Taka ciężka, łajzo. I słodka też. Najsłodsza na świecie.

Wacław wziął fotelik z drzemiącą trzymiesięczną Polą i ruszył po schodach w dół. Karolina szła za nim, niosąc torbę wypchaną rzeczami małej, przygotowana na każdą okoliczność. Nie zawsze było łatwo i spokojnie, zdarzały się dni, kiedy krzyczeli w poduszkę z bezsilności z powodu kolek małej, kiedy o trzeciej nad ranem spacerowali z Polą na rękach po mieszkaniu, żeby w końcu zasnęła. Nigdy jednak, nawet przez sekundę, nie żalowali. Wacław zapakował Polę do auta, a kiedy Karolina odpaliła silnik, dziecko otworzyło oczy i zaczęło kwękać. Wacław otworzył drzwi od strony pasażera.

– A gdzie ty się ładujesz? – zapytała z wyrzutem Karolina.

– No jak gdzie? – obruszył się zdziwiony Wacław. – Do samochodu.

- Do tyłu siadaj, głąbie. Mała płacze.
- Wybacz, chyba nigdy się nie przyzwyczaję.

Karolina wolno wyjechała z parkingu wprost w korkującą się ulicę. W radiu mówili, że Iga Świątek wygrała kolejny tenisowy mecz.

- Masakra. Po tym mieście nie da się już jeździć.
- Mogliśmy iść na piechotę. Nie mamy wielu rzeczy do kupienia.
- Mogliśmy, ale jest strasznie zimno. Poza tym chciałem dodatkowo wziąć zgrzewkę wody mineralnej. Co mamy na liście?

Wacław odpalił swój telefon. W pliku współdzielonym ze smartfonem Karoliny mieli listę zakupów i każdy mógł dopisywać to do niej, o czym mu się akurat przypomniało.

– Szczerze to bardzo niewiele. Ziemniaki. Awokado. Worki na śmieci. Grana padano.

- Granda pandanda.
- Jeszcze ci tego nie wybaczyłem.
- Ja też cię kocham.

Któregoś razu na liście zakupów właśnie w taki sposób Karolina zapisała nazwę tego włoskiego, długo dojrzewającego sera. Biedny Wacław krążył po sklepie, wypytując ekspedientki o grandę pandandę, a Karolina, z kamienną twarzą na FaceTimie zarzekała się, że właśnie o coś takiego chodzi. Wtedy zamiast snickersa przywiózł jej jednego ziemniaka.

– Lidl czy Biedronka? – zapytała, skręcając w prawo. – Pojadę do Biedronki, jest bliżej.

- Nie, błagam. Tylko nie Biedra.
- Jesteś uprzedzony.
- Być może. A może po prostu lubię niemiecki ład i porządek.
- A może poszli do lasu?
- Co?
- Jajco. Dobra, niech będzie Lidl.

Karolina przyciszyła radio, a Wacław, śpiewając, przekonywał marudzącą z niewyspania córkę, że zna wszystkich ludzi na tej wyspie i że może wzorem być, ludziom siłę dać.

- A wiesz, że ty nawet nieźle śpiewasz?
- Bardzo śmieszne.
- Wacław, serio. Kiedy o tym nie myślisz, to masz piękny głos. Gorzej, kiedy przypominają ci się jakieś pierdoły sprzed stu lat.
- Dzięki, teraz będę o tym myślał całe popołudnie.
- Przestań świrować.

Na parkingu sklepu miejsca zaznaczone na niebiesko, te dla rodzin z dziećmi, okazały się jak zawsze zajęte. Karolina nie rozumiała debili, dla których parkowanie jak najbliżej wejścia było kwestią życia i śmierci. Zgasiła auto praktycznie na samym końcu parkingu należącego do dyskontu. Waław, widząc, że córka zasypia, wysiadł najciszej, jak potrafił, i wyciągnął z bagażnika stelaż wózka. Wpiął do niego fotelik, a małą przykrył kocykiem z wełny merino. Ruszyli wzdłuż budynku, odruchowo mówiąc przyciszonymi głosami.

– Serio chcesz dalej oglądać *Ozark*? – zapytał Waław. – Przecież to się zrobiło strasznie sucharskie.

– Sam jesteś sucharski. A co mam oglądać? *Euforię* wypuszczają po jednym odcinku, tak jakby zatrzymali się w latach dziewięćdziesiątych.

– To jest akurat dużo sprytniejsze niż wrzucanie od razu całego sezonu. Z marketingowego punktu widzenia.

– Ach tak? To oświeć mnie, profesorze Wilczurze, dlaczego to jest sprytniejsze.

– Ile *Euforia* ma mieć odcinków?

– Chyba osiem.

– No to zobacz. Wypuszczają całość jutro. Jak długo internet będzie o tym huczał? Tydzień? Dwa? Później ekscytacja zacznie opadać. A co się dzieje, kiedy wypuszczają odcinki tydzień po tygodniu? Masz minimum osiem tygodni szaleństwa, bo każdy będzie o tym mówił, każdy będzie spekulował, co będzie się działo w kolejnym. I oglądalność wzrasta.

– To... Ty, faktycznie, to ma sens. Najś, wysłałam jednak za łebskiego gościa.

– No raczej, Disney+ też ma taki system, i...

– Patrz głąba. No debil, musi stanąć koło wejścia – powiedziała Karolina, widząc, że ktoś jak zwykle próbuje zaparkować wzdłuż sklepu, pomimo że zamontowali odpowiedni znak. – Jedzie prosto na nas.

– Kretyn. Ale wracając, u nich seriale...

– Waław, on nie zwalnia. Kurwa, on nas nie widzi! Waław, odskocz!

Waław jednak nie miał już szans zejść z drogi staremu, palącemu olej daewoo tico, samochód był zbyt blisko. Kierowca wjechał prosto w wózek i Waława. Zatrzymał się dopiero wówczas, kiedy przejechał kilka metrów z mężczyzną na masce.

– Ja pierdolę! – krzyknęła Karolina, która w ostatniej chwili zeszła z trajektorii jazdy. – Pola!

Rzuciła się do przewróconego wózka, a Waław, wściekły jak nigdy wcześniej, uderzył w maskę tico.

– Normalny jesteś? Na znakach się nie znasz?!

– Waław...

– Gdzie tu łazicie? – zapytał odruchowo kierowca tico, starszy mężczyzna. – Tu się nie łązi!

– To jest parking, proszę pana! Tu trzeba na pieszych uważać!

– Waław...

– To ty se uważaj, jak łązisz!

– Waław...

– Co za ludzie... Prawo jazdy w chipsach znalazłeś?! Ty stary...

– Waław! Ona nie oddycha...

– Co? Jak to nie oddycha?

– Waław, ona...

Krzyk Karoliny słychać było na całym parkingu i poza nim. Ludzie zaczęli się gromadzić. Tymczasem kierowca tico jak gdyby nigdy nic poszedł robić zakupy. Po chwili któryś z gapiów pobiegł go szukać, żeby nie uciekł. Kierowca nie miał takiego zamiaru, przekonany, że racja jest po jego stronie. Ktoś zadzwonił po karetkę, ale było już za późno. Pola Wolf zmarła na miejscu.

Klementyna słuchała i z każdą kolejną minutą chciało jej się bardziej płakać. Ale nie mogła sobie na to pozwolić, nie teraz. Jej płacz tylko pogorszyłby sprawę. Chciała, żeby Waław poczuł, że ma w niej choć niewielkie oparcie.

– Okazało się, że gościowi zabrano prawo jazdy jakiś miesiąc wcześniej. Wiesz, co zrobił? Potrącił dziecko na pasach. Tamtemu chłopcu, oprócz kilku zadrapań, nic się nie stało. Dziad twierdził, że to nasza wina, że się panoszymy po parkingu. Rozumiesz to? Nic mu nie zrobili, nawet nie poszedł do więzienia.

– Co? Jakim cudem?

– Nowotwór kości z przerzutami. Nie zostało mu wiele życia. Nieważne, nie chcę o nim mówić. Musieliśmy... musieliśmy wybrać trumnę, rozumiesz? Małą białą trumienkę. Klementyna, ja... ja już miałem przygotowany sznur. Bo jaki jest dalszy sens, powiedz? Ja go nie widziałem. Moje serce pękło na miliard kawałków. A potem ona... zadała kolejny cios. Wiesz, co się dzieje po stracie dziecka? Obwinianie. Ty chciałeś do Lidla! Ale to ty chciałaś jechać z dzieckiem! Ale to ty, ale to ty, i tak w kółko. Nie mogliśmy na siebie patrzeć. Ja wróciłem do pracy bardzo szybko. A Karcia... Karcia włączyła się po mieście, nigdy nie mówiła, dokąd idzie i kiedy wróci. Coś mnie tknęło, wiesz? Coś mi mówiło, żebym sprawdził jej telefon. No i w końcu się udało; wyszła do kuchni czy toalety, już nie pamiętam, zapomniała go zablokować. A może wcale nie zapomniała, może chciała zostać złapana. Wszedłem w jej WhatsAppa. Te nagie zdjęcia... Aż mi się coś dzieje, kiedy o tym mówię. Powiedziała, że mnie już nie kocha, że jestem

ostatnim frajerem, że to wszystko moja wina i świat byłby lepszy, gdybym się zabił. Wyprowadziła się do matki i zażądała rozwodu. No i to w sumie tyle. A teraz skończyłem na Śląsku, uwikłany w jakieś dziwne sprawy, z którymi nie chcę mieć nic wspólnego.

Westchnął. Spodziewał się kolejnych łez, ale one nie nadchodziły. Klementyna cały czas patrzyła na niego tak, jakby wiedziała już o tym wszystkim od dawna. Jakby doskonale wiedziała, jak on się czuje. Jakby również nie mogła spać po nocach, dręczona koszmarami, w których główną rolę gra lista zakupów.

– Wiesz, Waław – powiedziała w końcu – to nie jest tak, że już nigdy nie będziesz szczęśliwy. Po prostu już nie będziesz taki, jak przedtem.

– Tak? – oburzył się. – A skąd ty to możesz wiedzieć? Straciłaś kiedyś dziecko?

– Nie. Ale doskonale wiem, czym jest strata.

Waław chciał zaprotestować, krzyczeć, ale nie zdążył. Klementyna zaczęła opowiadać, a on nie miał prawa jej przeszkadzać.

ROZDZIAŁ 16

Mała Klementynka zamknęła oczy. Próbowwała zasnąć, ale ból jej na to nie pozwalał. Często zastanawiała się, dlaczego jedynie ona zasługuje na łóżko. Karol, Krystian i Kamila spali na podłodze, odkąd pamiętała. Nie dostali nawet jednego koca. Zimą dygotanie ich zębów często wyrywało ją ze snu. Może i dobrze, bo często nawiedzały ją koszmary. Nie wiedziała już, co jest gorsze, jawa czy sen. Kiedy udało jej się zasnąć, musiała się mierzyć z potworami, zjawami i upiorami. Za dnia potwór był tylko jeden. Potwór o ludzkiej, sympatycznej i często uśmiechniętej twarzy. Klementynka nie mogła zrozumieć, dlaczego tatuś im to robi. Tatuś, na co dzień pracujący w szpitalu, nigdy na nich nie krzyczał, chyba nawet nigdy nie podniósł głosu. To przerażało w tym wszystkim najbardziej. Zawsze był spokojny. Zawsze wszystko, co robił, robił bardzo powoli, metodycznie. I nigdy nie robił nic złego, kiedy mamusia była w domu. Zawsze prosił, żeby niczego nie opowiadać mamusi, bo będzie jej przykro. A chyba żadne z nich nie chce, żeby mamusia chodziła smutna? Każde z nich wiedziało, że tatuś tak naprawdę nie prosił, ale rozkazywał. I każde z nich zawsze robiło to, co chciał. Nie rozmawiali między sobą o tym, co im robił. Nie rozmawiali ze sobą w ogóle, chyba że zostali sami w pokoju. Aż w końcu coś zaczęło pękać.

– Klementynko – mówił Karolek, młodszy od niej o kilka miesięcy – ty masz z nas najłatwiej.

– Dlaczego? – pytała zdziwiona Klementynka, przestając kompulsywnie ssać kciuk.

- Ciebie tylko bije.
- A tobie co robi, Karolku?
- Chodźmy spać, Klementynko.
- Dlaczego nie chcecie wejść na łóżko? Zmieścimy się wszyscy.
- On się wścieknie – odpowiadał Karolek, a pozostała dwójka, skulona w pozycjach embrionalnych, starała się zasnąć.

Kiedy mamusia i tatuś wychodzili do pracy, dzieci starały się jakoś zabić czas. Bawiły się w dom, taki prawdziwy, gdzie wszyscy są dla siebie dobrzy, gdzie nikt nikogo nie krzywdzi. Klementynka była mamą, Karolek tatą, a małomówne bliźniaki, mimo że starsze – dziećmi szczęśliwej pary. Klementynka była bardzo zajęta malarką, a jej obrazy były pożądane najbardziej na świecie. Karolek, podobnie jak tata, pracował w szpitalu, ale takim dla zwierząt. Ratował pieski i kotki, świnki morskie i chomiczki, krokodyle i żyrafy. Był w tym najlepszy na świecie. Nikt nikomu nie robił takich rzeczy, jakie lubił robić prawdziwy tatuś.

Któregoś dnia tatuś wziął bliźniaki i nie było ich kilka dni.

- Jak myślisz, Karolku, co się z nimi dzieje? – pytała zatroskana Klementynka.
- Nic dobrego, Klementynko. Nic dobrego – odpowiadał chłopiec, dmuchając na rany na plecach dziewczynki.
- Ale wrócą tutaj, prawda? Wrócą?
- Wrócą. Nie mają wyboru.

Krystian i Kamila mówili, że byli na wakacjach. Ale nie takich miłych, nad morzem albo w górach. To nie były dobre wakacje. I zamilkli, znów zaczęli grać w kosi kosi łapci.

Pewnego dnia któreś z dzieci nie posłuchało prośby tatusia i powiedziało wszystko mamusi. Powiedziało, co tatuś robi, kiedy wraca z dyżuru. Powiedziało, czym i jak to robi. Ale mamusia wcale nie była smutna. Mamusia wpadła we wściekłość. Zaczęła rzucać szklankami i talerzami, a dzieci patrzyły na to, trzymając się za rączki. Tatuś, pomimo rozpetanego w domu piekła, nadal był spokojny. Dziwnie spokojny. Mamusia wciąż pytała, dlaczego, dlaczego to zrobił. Pytała i nazywała tatusia jakimś dziwnym słowem na P, którego dzieci nigdy wcześniej nie słyszały. Tatuś w końcu dziwnie się uśmiechnął, jakoś tak brzydko. Rozkazał – po raz pierwszy bez udawania, że prosi – żeby poszły do swojego pokoju. Zamknął drzwi na klucz. Mamusia dalej krzyczała, ale teraz jakoś inaczej. Było w tym znacznie mniej agresji, a dużo więcej tego, co czuły dzieci. A potem usłyszały huk, po którym krzyki mamusi ustały.

- Zasnęła – powiedział Karolek.
- Zasnęła na zawsze – powiedziały bliźniaki.

Klementynka nie wiedziała, co to znaczy. Dzieci słuchały, jak tata krząta się po domu. Poczuli, że w ich pokoju robi się coraz cieplej. Klementynka zauważyła

przez okno, że pod dom podjechał dziwny, czerwony pojazd, który na dodatek świecił. W ich pokoju pojawił się dym.

– To koniec – powiedział Karolek. – Pa, pa, Klementynko. Ty z nas zawsze miałaś najłatwiej.

Dziewczynka chciała mu coś odpowiedzieć, ale jej małe płuca zaczęły wypełniać się dymem, oddychanie przychodziło jej z trudem, a co dopiero mówienie. Ostatnie, co zapamiętała, to płomienie trawiące drzwi i krzyki jakichś obcych ludzi.

Wacławowi było głupio. Znowu czuł się jak mały chłopiec, z którego śmieje się cała szkoła. Klementyna nawet na moment się nie rozkleiła. Opowiadała swoją historię, jakby czytała scenariusz filmu, a nie mówiła o czymś, co wydarzyło się naprawdę.

– Mój... Ten mężczyzna... Bo nie mogę go nazwać ojcem, ojcowie tak nie robią, prawda? Ten mężczyzna zastrzelił moją mamę, podpalił cały dom i się powiesił. Był znanym i lubianym w okolicy lekarzem, pewnie nie zniósłby poczucia wstydu. Postanowił więc wziąć nas wszystkich ze sobą.

– Jezus Maria.

– Nie, Wacław. Trudno wierzyć w jakiegokolwiek boga po czymś takim. Strażacy wyciągnęli z domu tylko mnie.

– Przepraszam cię, Klementyna. Z góry założyłem, że jesteś zbyt młoda, żeby... żeby spotkało cię coś złego. Całe rodzeństwo...

– Powiedziałaś, że chodzisz na terapię, co nie? Ja chodzę na terapię od czwartego roku życia. I masz rację, nie wiem o stracie aż tyle, co ty. Mojego rodzeństwa nigdy nie było.

– Co? – zdziwił się Wacław. – Nie rozumiem.

– Zaburzenie dysocjacyjne tożsamości. To u mnie zdiagnozowali. Oczywiście oprócz szeregu innych schorzeń. Ja ich sobie stworzyłam, Wacław. Mój umysł ich stworzył. Wszystko po to, żeby mnie bronić. Wiesz, co jest najgorsze? Że ja w to nie mogłam uwierzyć przez długi czas. Że ja doskonale pamiętałam ich twarze i głosy. Najbardziej tęskniłam za Karolkiem.

Klementyna zamilkła. Cisza okazała się dużo bardziej wymowna niż potok słów. Po kilku minutach wstała, strzepała niewidoczny kurz z kolarek i uśmiechnęła się, jakby chwilę wcześniej opowiedziała dobry kawał.

– No, ale już jest lepiej. Długo nie było. Terapia. Leki. Trafiłem do ciotki, do siostry mojej mamy. Do matury mieszkałam u niej, w Gdyni. Mogłam tam zostać, wiesz? Mogłam, ale nie chciałam. Wróciłam tutaj, w rodzinne strony, żeby stawić

temu wszystkiemu czoła. I wiesz co? Było to najfajniejsze uczucie na świecie. To tyle, Waław. Jestem żywym przykładem na to, że można żyć. Można żyć mimo wszystko. Więc wybacz, ale jeśli słyszę, że dla kogoś samobój jest lepszym rozwiązaniem niż terapia, no to ten ktoś nie może być dobrym człowiekiem. Rozumiem, że to cię przerasta, naprawdę rozumiem. Ale może chociaż doczytajmy te dokumenty do końca, co? Korona ci z głowy nie spadnie.

– No nie spadnie – odpowiedział po chwili. – Ale już nie będę spał na Snorlaxie.

Klementyna parsknęła.

– Tak! – zawołała. – Tak pewnie będzie lepiej dla wszystkich. Jedziemy dalej?

– Prowadź.

Jadąc w milczeniu Żelaznym Szlakiem Rowerowym, wjechali do Zebrzydowic. Zatrzymali się na moście nad rzeką Piotrówką. Klementyna tłumaczyła mu, dlaczego gęsi są lepsze od kaczek i dlaczego nigdy nie należy im ufać. Wyjęła z plecaka dwa zawinięte w srebrną folię przedmioty.

– Masz, Wacek. Posil się trochę, bo blado wyglądasz – powiedziała, podając mu jedno z zawiniątek.

– Jakbyś czytała mi w myślach. – Uśmiechnął się. – Co to takiego?

– No sam zobacz. Chciałam, żebyś skosztował czegoś naszego.

W środku była obłędnie pachnąca kanapka z mięsem, która tak mu zasmakowała, że wpałaszował ją w kilkanaście sekund.

– Stary, wyluzuj! Nikt ci tego nie zje! Takie dobre?

– Przepyszne! Co to takiego?

– To, mój drogi przyjacielu, żelazna klapsznita.

– Żelazna, bo szlak?

– *Si, señor.* W środku masz usmażony karminadel, czyli kotlet mielony, trochę zymftu i natkę pietruszki, coby było bardziej aromatycznie.

– Zymft to?

– A, sorka, zapominam się czasem. Zymft to musztarda.

– Genialne w swej prostocie. Serio. A mówiłaś, że nie umiesz gotować.

– Wacek, błagam. Takie rzeczy to nawet ja potrafię przyrządzić. Lecimy dalej?

– Błagam, niech się trochę ułoży.

Po kwadransie ruszyli dalej, rozmawiając o wszystkim i niczym. Klementyna była zdziwiona, jak wiele Pokémonów kojarzy Waław, on z kolei nie mógł uwierzyć, że dziewczyna lubi filmy Goddarda. Minęli granicę polsko-czeską; w centrum Karwiny postanowili zawrócić.

– Ale mnie przetyrałaś – westchnął Waław, kiedy ponownie znaleźli się na jastrzębskim odcinku trasy.

– Nie protestowałeś. Wiesz, wydaje mi się, że gdybyś zaczął mówić głośno o swoich potrzebach, to byłoby ci w życiu łatwiej. Ludzie nie potrafią czytać w umysłach.

– Pewnie masz rację. Ale muszę przyznać – przerwał, żeby złapać oddech – że jest tu naprawdę ekstra. Po raz kolejny, nie wiem już który, jestem w szoku.

– Dlaczego?

– Całe życie postrzegałem Śląsk jako najgorsze miejsce na świecie. Smog, węgiel, dziwni ludzie, dziwny dialekt.

– Niy podobõ ci sie ślõnskõ gadka? – zapytała Klementyna, zniżając głos.

– To nie o to chodzi. Przyjechałem tu z głową pełną stereotypów, a większość z nich została bardzo szybko zburzona. Byłem przekonany, że to całe Jastrzębie to będą tylko nieczynne szyby kopalniane i smutni ludzie, a okazuje się, że jest tu dużo więcej zieleni niż w moim zabetonowanym Poznaniu.

– No widzisz – powiedziała, zwalniając odrobinę. – Warto poznawać nowe rzeczy. Byłeś już w Parku Zdrojowym?

– Przechodziłem jedynie obok. Wydaje się ładny.

– Bo jest! I możemy się znowu poinhalować. Chyba że to na ciebie źle podziałało.

– Tamto to był chyba stres. Stres i niewyspanie.

– To zrobmy tak. Pojedziemy teraz pod twój hotel, zostawisz sobie na razie rower, tylko błagam, zapnij go gdzieś. Przebierz się, wykąp, zdrzemnij. A jak będziesz gotowy, to zadzwoń. Zabiorę cię na kawę i śniadaniobiad.

– Słyszałem jedynie o obiadokolacji.

– A ja właśnie wymyśliłam coś nowego. Wezmę te papierzyska ze sobą, usiądziemy w parku, w cieniu drzew i przebrniemy przez kolejne listy. Pasuje ci taki deal?

– Pasuje.

– No to przybij pionę.

– Wolałbym nie.

– Nie? Dlaczego?

– Po prostu wolałbym nie.

– Czeka, Wacek. Czy ty nie potrafisz puścić kierownicy? Nawet jedną ręką? Nauczyć cię?

– Wolałbym nie.

Klementyna nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem. Głośnym, szczerym i wesołym. Po chwili Waclaw do niej dołączył. Śmiali się razem, wywołując zdziwienie wśród mijających ich mamili. Waclaw dawno nie czuł się tak swobodnie, tak spokojnie i tak na miejscu. Nie wiedział, co tak na niego działało, to miejsce czy ta dziewczyna. Właśnie taką relację chciał mieć kiedyś z córką.

Rozmarzył się i zatopiony we własnych myślach dojechał do hotelu. Tam się pożegnali, a on, zmęczony, ale wyjątkowo szczęśliwy, przypiął rower do stojaka i udał się do swojego pokoju. Przyłożył kartę do czytnika, a kiedy drzwi stanęły otworem, bardzo się zdziwił. Pamiętał, że zostawił bałagan, ale nie aż taki. Wszystkie jego ubrania leżały rozrzucone na łóżku.

– Kurde, co jest? – powiedział na głos.

Walizka leżała do góry dnem, a wszystkie jej kieszonki były otwarte. Przecież *room service* na tym nie polega, pomyślał. Chodził po pokoju i próbował sobie przypomnieć, czy na pewno nie on tak nabałaganił. Przecież był pijany w sztok, urwał mu się film. Rozmawiał z Karcia i mógł jedynie założyć, że podczas konwersacji ta nie należała do przyjemnych. Może to on porozrzucał ciuchy w jakimś amoku?

Ściągnął buty, zrzucił z siebie przepocone, cuchnące ubranie i poszedł pod prysznic. Pierwszy raz od dawna puścił lodowatą wodę. Po pierwszych kilkunastu sekundach dyskomfortu zaczął delectować się zimnem. Dopiero wtedy poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Klementyna miała rację, drzemka dobrze mu robi.

Kiedy wyszedł z łazienki, myślał tylko o tym, żeby się położyć. Nie zwrócił uwagi na to, że wychodząc rano, wcale nie zostawił otwartego okna.

ROZDZIAŁ 17

O tej porze, w samo południe, kawiarnia Coffeinna była pełna ludzi. Zakrawało na cud, że akurat jak podeszli, zwolniło się miejsce w ogródku. Waław zamówił kawę z dripa i szakszukę, a Klementyna swoje ulubione latte pistacjowo-lawendowe oraz podwójną porcję croissantów z mascarpone.

– Ty to wszystko zjesz? – zdziwił się Waław, kiedy zobaczył, ile jedzenia stało przed dziewczyną. – Nawet po klapsznicie?

– No raczej! Mogę jeść dużo, i tak wszystko spalę. Rowerek to jest piękna sprawa, Waław, musisz zacząć robić podobne wycieczki w tej swojej pyrlandii.

– Być może masz rację. Często tu przychodzisz?

– W ogóle wszędzie często bywam. Lubię jeść na mieście. Lubię patrzeć na ludzi i wymyślać ich historie.

– Co? Serio?

– Wiem, strasznie dziwne.

– Dziwne, owszem. Ale ja też bardzo lubię to robić.

– Serio? To co powiesz o tych dwóch typach? Tam, po drugiej stronie ulicy.

– O tych na ławce? Ten po prawej, w koszulce Guessa, ma pewnie jakąś budę z kebabem, ale zgrywa wielkiego biznesmena. Złapał się z kumplem z bloków, żeby pożyczyć mu stówkę do końca miesiąca. Kumpel twierdzi, że potrzebuje na rachunki, ale obydwaj wiedzą, że skończy się na kolekcji małych z Żabki. Widzisz? Między nimi leży telefon, więc zakładam, że puszcza jakąś muzykę, tak żeby wszyscy wokół słyszeli. Pewnie jakiś Kizo.

– Kizo?! – powiedziała z obrzydzeniem Klementyna. – Tym powinny się zająć służby do walki ze zdziczeniem obyczajów powszechnych. Za zamach na kulturę, propagowanie debilizmu i podszywanie się patałachów pod raperów.

– Nie lubisz Kizo?

– Wiesz, nic do niego nie mam, pizzę robi przepyszną, jak na mrożonkę. Batony też niczego sobie. Ale błagam, nie nazywajmy disco polo rapem. A fuj! Opis, uważam, bardzo w punkt. Chciałam jeszcze zaznaczyć, że chodzenie w Guessie to jest absolutny upadek człowieczeństwa. Chyba że jesteś bogaty, wtedy upadkiem jest chodzenie w ciuchach Pleina.

– Nie mam pojęcia, kto to jest.

– I dobrze, niczego nie tracisz. Chyba że lubisz kolorowe cekiny na elementach swojej garderoby. Kawę pij, bo będziesz miał zimną.

– Lubię zimną kawę. Czarną i zimną. Jak moje życie.

– Bla, bla, bla. Jesteś ciekaw, co jeszcze znajdziemy w papierach twojej ciotki? Wiesz, w nocy okazało się, że jesteś śląską elitą, jak tak dalej pójdzie, może zostaniesz szejkiem.

– Chyba z maka. Robię się gruby.

– Ha! O cholera, gdzie to zapisać?! Waław Wolf zażartował! I było to nawet zabawne!

– Spadaj. Powiedz mi, od razu otworzyłaś studio tatuażu, kiedy wróciłaś na Śląsk?

– Nie no, co ty, Waław. Przed studiem były studia.

– Jakieś artystyczne?

– Pudło – odparła pomiędzy jednym a drugim gryzem croissanta. – Masz jeszcze dwie szanse.

– Matematyka?

– Co? Skąd ten pomysł?

– Chciałem wybrać coś po drugiej stronie spektrum.

– Ostatnia szansa.

– Japoński.

– Pudło. Choć zastanawiałam się nad tym. Historia.

– Serio? W życiu bym nie powiedział. Dlaczego tak?

– Bo wszystko z czegoś wynika i wydaje mi się, że przeszłość zawsze będzie kluczem do naszej przyszłości. No, ale studia to czas przeszły niedokonany, bo nigdy ich nie skończyłam. Odpadłam po drugim roku, kompletnie nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, a że zawsze potrafiłam rysować, pomyślałam, że nauczę się tatuować. Wiesz, muszę jakoś ciekawie zabijać czas, inaczej upominają się o niego moje demony.

– Dlaczego rzuciłaś szkołę?

– Bo zdałam sobie sprawę, że większość studentów historii to korwinowskie kuce, a studiują ją tylko dlatego, żeby mogli być rasistowscy i ksenofobiczni w bardziej profesjonalny sposób.

– Ty naprawdę nie lubisz wielu grup społecznych.

– No, trochę masz rację. Nigdy nie byłam poprawna politycznie i lubię mówić, co myślę. To chyba nic złego, co nie?

– Ja wolę przemilczać sprawy, na które nie mam wpływu, a które mnie drażnią – otworzył się przed dziewczyną Waław. – Co kto lubi.

– Tak? I jak cię takie podejście traktuje do tej pory?

– Tak średnio bym powiedział.

– No właśnie. To co, idziemy?

Z Coffeiny do Parku Zdrojowego mieli kilka minut spacerem. Ku wielkiemu zdumieniu Waława Klementyna kupiła sobie jeszcze loda w Żabce.

Ileż ta dziewczyna potrafi zjeść, pomyślał, uśmiechając się pod nosem.

Na terenie parku kręciło się sporo ludzi. Spacerowali, siedzieli w cieniu lub chłodzie bijącym od fontanny, wyprowadzali swoje czworonogi. Wyglądało na to, że park jest lubianym i chętnie odwiedzanym miejscem.

Usiedli na ławce naprzeciwko filii miejskiej biblioteki publicznej. Ze swojego lawendowego plecaka Klementyna delikatnie wyciągnęła teczkę z papierami z sejfu.

– Posegregowałam je trochę, a te, które już przeczytaliśmy, zostawiłam w domu.

– To miło z twojej strony.

– Wiem. A czy ty wiesz – Klementyna się uśmiechnęła – czyje imię nosi ten park?

– Ten park wygląda jak las – zauważył Waław.

– Masz trochę racji. Uwaliłeś się, mój drogi, w jego górnej części. Później cię oprowadzę po zabytkach, bo trochę ich tutaj jest. Ta górna część parku jest trochę jak ogród, dolna, co zresztą słusznie zauważyłeś, niczym las.

– Przejdziemy się tam później? Uwielbiam takie miejsca.

– No jasne! Lepiej, możemy się tam przejechać jutro na rowerach! To wszystko leży w jarze, więc są ekstragórki. Możesz też wziąć kłódkę i zostawić na mostku zakochanych.

– Ale ja nie jestem zakochany.

– Chyba jednak jesteś. Ale dobra! – zawołała dziewczyna, widząc, że Waław zaczyna się irytować. – Już się nie wtrącam. A ty, koleżko, nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Wiesz, po jakiej osobie zaczęte imię ten park nosi?

– Pojęcia nie mam zielonego.

– Ha! *Gwiezdne wojny* są ekstra, co nie? Twojego wielkiego przodka, drogi kolego. Doktora Mikołaja Witczaka. Wielkiego jastrzębianina, który, teraz uważaj,

urodził się w twojej ukochanej Wielkopolsce.

– Żartujesz?

– Nie, mordo. Tu jest więcej podobieństw i zbiegów okoliczności, niż ci się wydaje. Witczak w naszym pięknym mieście osiadł dopiero po studiach, a te ukończył w Niemczech. Został lekarzem w lokalnym kurorcie. Z ziemi wielkopolskiej do śląskiej! A ty idziesz jego śladami, typie.

– Sama powiedziałaś, że to zbiegi okoliczności. No dobra, to opowiedz mi o nim coś więcej.

– O wielkim doktorze? Stary, mogłabym cały dzień. Tak w skrócie, to ziomek serio sprawił, że nasze Jastrzębie-Zdrój pojawiło się na mapie Europy. Europy, stary, nie tylko Polski. Tylu ludzi tu się zjeżdżało na kurację.

– Wiesz, jak zabawnie brzmi człon „Zdrój” w nazwie miejscowości leżącej na Śląsku?

– Wiem, dlatego jest to takie ekstra! – nakręciła się Klementyna. Mówiła coraz głośniej i szybciej. – No i słuchaj, Waław. Imć Mikołaj zastał kurort zacofany, a zostawił... Co ładnego rymuje się z zacofany?

– Pięknie przebudowany?

– Słaby rym, ale treść się zgadza. Tylko że nie stało się to tak od razu, a gdzie tam. Witczak przez dekadę był tu jedynie lekarzem i serce mu się krajało, kiedy patrzył, jak kurort z roku na rok podupada. No i czaisz, ziomek sobie pomyślał, że gdyby on był właścicielem, to nie ma bata, zrobiłby z niego obiekt pierwsza klasa. Luxpetarda! Więc Mikołaj Witczak przejął wszystkie ciężące na kurorcie hipoteki, nabrał kredytów, postawił wszystko na jedną kartę. Nastąpiły dwie dekady prosperity. Cały kompleks zaczął się niesamowicie rozbudowywać. To właśnie za Witczaka pobudowano mnóstwo nowych budynków.

– To może wcale nie był takim cudotwórcą, a po prostu trafił na dobry czas?

– Historia oceniła to inaczej. Na pewno szczęście miał co do jednego. Prawdziwym gamechangerem okazało się podłączenie miasta do linii kolejowej. Wcześniej ludzie musieli wysiadać w Wodzisławiu i jechać tutaj na biednych konikach. Stary, tu swoje lecznice miały osobno dzieci pochodzenia żydowskiego, ewangelicy i katolicy. Wszystko funkcjonowało tip-top, wszyscy potrafili ze sobą normalnie żyć. Do żadnej dintojry nigdy nie doszło. Krótco po tym, jak zaczęły dojeżdżać tutaj pociągi, Witczak wybudował kolejny obiekt leczniczy, ambitnie nazwany Nowe Łazienki, a miasto skanalizowano. Na tamte czasy? Stary, my zbyt wiele rzeczy bierzemy za pewnik, choćby ciepłą wodę i wygodne kible. Kiedyś gówna wnosili w wiaderkach do rzeki i cieszyli się ze spaceru, a nam nie pasuje szorstkość papieru do tyłka. Dramat.

– Ty chyba jesteś wielką fanką pana doktora – powiedział Waław, żywo zainteresowany wywodem.

– Nie, staram się nie oceniać postaci historycznych, po prostu stwierdzam fakty. A fakty potwierdzają, ile ten typ zrobił dla rozwoju Jastrzębia-Zdroju. Twój pradziadek. Czy prapradziadek? Jak to będzie, Waclaw?

– Klementyna...

– Pomyśl, stary. Co wiesz o swoich dziadkach ze strony mamy? Sam mówiłeś, że nie wiesz kompletnie nic. Matka już niczego ci nie powie, siostra matki niestety również zamilkła na wieki wieków, amen. Z kim możemy pogadać, żeby mógł rzucić na to wszystko trochę światła?

– Z jej sąsiadami?

– Ty, faktycznie. Na to nie wpadłam. Ale myślałam o kimś innym. O kimś, do kogo zakładam, że masz numer telefonu.

– Nie będę dzwonił do mojego ojca. Nie rozmawialiśmy od lat.

– Może to dobra okazja, żeby nadrobić rodzinne zaległości?

– Moi rodzice nie rozstali się w dobrych relacjach. On nawet nie przyszedł na jej pogrzeb, Klementyna.

– Ale ty personalnie chyba żadnej krzywdy mu nie zrobiłaś?

– Nie przypominam sobie.

– No to dawaj. A później odwiedzimy sąsiadów!

Waclaw niechętnie wyciągnął z kieszeni telefon. Numeru do ojca nie miał zapisanego jako „ojciec” ani tym bardziej jako „tata”. Imię. Nazwisko. Kontakt, jakich wiele. Trzymał palec nad numerem telefonu przez kilka sekund, po czym wziął głęboki wdech i nacisnął popękany ekran.

– Stary, aż mnie przeszły ciarki – powiedziała szeptem Klementyna. – Myślisz, że odbierze za pierwszym razem czy będziemy musieli się dobijać?

– Nie mam pojęcia, ale jestem więcej niż pewny, że nawet nie...

– Słucham?

Głosu po drugiej stronie nie słyszał od lat. Ostatni raz rozmawiali chyba wtedy, kiedy Waclaw wybierał kierunek studiów. Ojcu oczywiście nie podobały się jego propozycje, ale Jacek był już wtedy tak bardzo oddalony od rodziny, że nie bardzo przejmował się tym, co przez pięć lat będzie zajmować większość czasu Waclawa.

– Słucham? – odezwał się Jacek Wolf, a Klementyna szturchnęła zamurowanego Waclawa.

– Dzień dobry – powiedział Waclaw. Tylko to przyszło mu do głowy.

– Co się stało, że dzwonisz?

Waclaw zastanawiał się, co na to odpowiedzieć. Tymczasem Klementyna w swoim telefonie napisała mu: „mów prosto z mostu i zrób na głośnomówiący”.

– Tato – zaczął Waclaw – czy ty wiedziałaś, że mama miała siostrę?

Cisza. Odrobinę zbyt długa. Niekomfortowa.

– Dlaczego pytasz?

– Umarła.

– Moje kondolencje.

– W wybuchu. Coś z butlą gazową.

Znowu cisza. I coraz szybszy oddech Jacka Wolfa.

– Czyli wiedziałeś? Wiedziałeś o Sabinie?

– Waław, skąd te pytania? Czy to jest istotne?

– Jest. Właśnie jestem w Jastrzębiu-Zdroju i...

– Gdzie jesteś? – przerwał mu Jacek Wolf, a w jego głosie pojawiła się obawa.

– W Jastrzębiu. Zdroju. W rodzinnym mieście mamy. Kiedy był ten wybuch u ciotki Sabiny, to... Boże, jak to dziwnie brzmi... to okazało się, że ona miała sejf. Zamurowany w ścianie. A w tym sejfie...

– Waław, dobrze ci radzę: wyjedź stamtąd. Wyjedź stamtąd i już nigdy, przenigdy nie wracaj.

Waław i Klementyna spojrzeli po sobie. Dziewczyna złapała się za głowę i wydobyła z siebie nieme przekleństwo.

– Co? Dlaczego? – dopytywał Waław.

– Zostaw to wszystko i uciekaj. Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Ja już nie mam z tym nic wspólnego. Żegnam.

– Nie! Nie, tato! Nie rozłączaj się. Co wiesz o rodzinie mamy?

– Więcej, niżbym chciał – odparł. – Ale skoro nalegasz, to powiem ci jedno: kiedy poznałem twoją matkę, to była już w ciąży. Jeśli chcesz się w tym babrać, to powodzenia. Ale zdecydowanie odradzam. Żegnam. – Bezceremonialnie się rozłączył.

Waław próbował zadzwonić do niego ponownie, ale najwyraźniej Jacek Wolf zablokował jego numer.

– Chcesz spróbować z mojego telefonu? – zapytała Klementyna.

– Nie, to bez sensu. I tak od razu by się rozłączył.

– Stary, ale jaja. Widzisz, mówiłam ci, że...

– Przepraszam...

Ich rozmowę przerwał starszy, niski, łysy mężczyzna. Poruszał się z trudem, o kuli, ale dało się zauważyć, że kiedyś jego ciało składało się głównie z mięśni. Na odsłoniętych ramionach widoczna była charakterystyczna, obwisła skóra dawnego kulturysty.

– Przepraszam, że przerywam – kontynuował starzec – ale chciałem o coś zapytać. Pan chyba nie jest stąd, prawda?

Waław zerknął na Klementynę, kompletnie zbity z tropu i trochę zażenowany pytaniem obcego człowieka. Czekał na jakiś kąśliwy komentarz ze strony dziewczyny, celną i ciętą ripostę, do jakich zdążyła go przyzwyczaić. Ale zamiast tego pierwszy raz zobaczył, że Klementyna czegoś się boi.

– Nie – odpowiedział w końcu. – Nie jestem.

– No właśnie. – Starzec zebrał ślinę i splunął prosto pod nogi Wacława. – A my tu takich jak ty nie lubimy. Radziłbym stąd zniknąć.

Wacław był w tak dużym szoku, że nie zdołał otworzyć ust. Tymczasem mężczyzna ruszył powoli przed siebie.

– Co za bezczelny typ. Słyszałaś, co on powiedział?

Klementyna już miała odpowiedzieć, kiedy powietrze rozerwał potężny huk. Dziewczyna jęknęła, a z jej ciała zaczęła płynąć krew.

ROZDZIAŁ 18

– Głupi przypadek.

– To nie był głupi przypadek, Waław. Głupi to jesteś ty, bo nadal nie chcesz połączyć kropek wielkich jak pieprzone planety!

Kula, którą ktoś wystrzelił w ich kierunku, przeszła ramię Klementyny. Na szczęście nie poczyniła większych szkód. Po prostu bolało jak cholera, a jeszcze bardziej krwawiło. Waław od razu zadzwonił do odpowiednich służb, karetka zjawiała się szybko, gorzej było z patrolem policji. Klementyna pojechała do szpitala, a on został na miejscu, żeby opowiedzieć funkcjonariuszom, co się wydarzyło.

– Czyli że co? – dopytywał policjant. – Tak sobie jak gdyby nigdy nic siedzieliście i ktoś do was strzelił?

– Dokładnie tak było.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego ten ktoś strzelił?

– Nie mam zielonego pojęcia, kto i dlaczego postanowił do nas strzelać! – uniósł się Waław, przeczuwając, z jaką impertynencją będzie musiał się użerać.

– Proszę się uspokoić i nie mówić do mnie takim tonem – powiedział policjant, kładąc dłoń na kaburze pistoletu, co nie uszło uwadze Waława.

– Bo co? – zapytał coraz bardziej wściekły Waław. – Bo mnie też postrzelicie? Weźcie się do roboty, zamiast grozić ludziom!

Policjant już chciał podejść bliżej Waław, ale powstrzymała go dłoń drugiego funkcjonariusza, ubranego po cywilnemu, z legitymacją wiszącą na szyi. Powiedział coś cicho do najwyraźniej młodszego stażem kolegi. Waław nie usłyszał, co dokładnie, ze strzępków słów nie dało się niczego wywnioskować. Mundurowy gdzieś odszedł, a ten w cywilnym ubraniu wyciągnął rękę na powitanie. Mógł być w wieku Waław, ale wyglądał dużo, dużo lepiej. No i to śląskie imadło zamiast dłoni.

– Panie Wolf – zaczął nowo przybyły – przyciąga pan kłopoty, prawda? Najpierw wypadek, a teraz ktoś strzela do pana koleżanki? Komu pan tu nadepnął na odcisk? Jakiemuś politykowi?

– Nie znam tutaj nikogo. No, prawie.

– To był żart, panie Waławie. Taki na rozluźnienie atmosfery, bo widzę, że jest pan bardzo wzburzony. Spokojnie. Nazywam się Franciszek Baron, Wydział Kryminalny Komendy Miejskiej Policji w Jastrzębiu-Zdroju. Oczywiście nie łączymy tych dwóch zdarzeń, zresztą – zerknął w jakieś dokumenty – zeznał pan wcześniej, że nawet nie wie, czy z drogi został zepchnięty, prawda?

– Wszystko się zgadza – potwierdził Waław.

– Przypadek. Może to nie kłopoty pan przyciąga, tylko pecha? Nasi funkcjonariusze przeczesałi najbliższą okolicę, a teraz wypytują mieszkańców, czy widzieli kogoś podejrzanego. Zakładam, że to kolejny przypadek.

– Przypadkowo się do kogoś strzela?

– Nie, oddanie strzału to była całkowita premedytacja. Tak przynajmniej zakładam. Przypadek, że akurat trafiło na pana. A w sumie to nawet nie na pana, a na pannę – znowu zerknął w papiery – Klementynę Jaworek. Znam i cenię, robiłem u niej dwa tatuaże. Wracając – uśmiechnął się pod wąsem – proszę się nie martwić. To jedynie moje założenie, ale ktoś, kto strzelał, pewnie na tę broń miał pozwolenie. Znajdziemy go.

– Chyba, że nie miał.

Policjant nie odpowiedział. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnął ją w kierunku Waław. Dopiero wtedy Waław zdał sobie sprawę, że przez cały dzień nie wypalił ani jednego dymka. Zbyt wiele się działo. Zawahał się na moment, ale ostatecznie poczęstował się czerwonym marlboro. Wziął od policjanta zapalnik, odpalił i podziękował.

– Proszę pamiętać – powiedział Baron, odchodząc. –
Przypadek.

Waławowi dopiero po dłuższej chwili przypomniał się kulawy starzec, który który kazał mu się stąd wynosić.

Pewnie kolejny przypadek, pomyślał.

Po wypadku, w którym zginęła jego córka, miał mocno wyrobione zdanie o rozwydrzonych polskich seniorach. Każdy polityk, od samej góry po lokalnych watażków, wiedział doskonale, która grupa społeczna najchętniej rusza się w niedzielę na wybory. Najpierw kościół, później urna. Dlatego w seniorów pompowano największe pieniądze. Ośrodki i domy kultury powinny zmienić określenie z „miejskie” na „dziaderskie”. A później ci wychuchani, dostający wszystko na tacy seniorzy wpychają się do kolejek w sklepach i nie okazują szacunku nikomu ani niczemu, ale sami go oczekują.

Stary głupi przyk, pomyślał Wacław i zamówił taksówkę do szpitala, do którego zabrali Klementynę.

Gdy dotarł na miejsce, ponownie usiłował przekonać dziewczynę, że przypadki chodzą po ludziach.

– Po ludziach to chodzą świadkowie Jehowy, ale nie wydaje mi się, żeby do kogoś strzelali – odpowiedziała, oglądając swój opatrunek. – Wacław, obudź się! Otwórz oczy! Ten strzał mógł być przeznaczony dla ciebie! Trafiliśmy na jakiś gruby temat! Grubaśny! A w samym centrum tego pierdolnika jest twoja skromna osoba. Człowieku, mój blog wystrzelił w kosmos! A ty poznasz swoje korzenie. Sytuacja win-win, nie uważasz? Ej, coś ty taki zasepiony? Przecież to ja dostałam kulkę.

– Tyle lat w kłamstwie... Mam ponad czterdzieści lat, a czuję się, jakbym dostał od ojca pasem po tyłku. To w sumie wiele wyjaśnia.

– Stary, ty nawet nie wyobrażasz sobie, ile jest połamanych dzieciaków w dorosłych ciałach. Tylko żeby to, co powiedział ci ojciec, nie zaczęło cię nagle określać. Nie możesz zbudować na tym całej swojej osobowości, bo zgnijesz od środka.

– To nie jest mój ojciec.

– Doskonale wiesz, co mam na myśli. Nadal cię blokuje?

– Już nawet nie sprawdzam.

– Okej. Dobra, to spadamy stąd. Czas odwiedzić sąsiadów ciotki Sabiny. Masz mój plecak?

– Mam. Klementyna, a nie lepiej, jak zostaniesz w szpitalu? Może...

– Sam sobie tu siedź. Nienawidzę szpitali. Źle mi się kojarzą. Nie mogą mnie tu zatrzymać, jeśli nie będę chciała, co nie?

– Nie mam zielonego pojęcia, ja się zawsze słuchałem lekarzy. I tobie też to radzę.

– Dobra, dobra. A jeśli to jakiś spisek, żeby się nas pozbyć i któryś dōchtōr będzie w to zamieszany? W szpitalu łatwiej kogoś zabić, co nie? Zgonią później na błąd medyczny czy inne tałatajstwo. Bądź tak dobry, Wacław, wołaj tu kogoś ważnego i wychodzimy. *Pronto!*

Lekarz prowadzący próbował powstrzymać Klementynę przed opuszczeniem placówki, ale dziewczyna była uparta jak osioł. W końcu medyk rozłożył ręce i kazał jej uważać na swoją rękę oraz napisać oświadczenie o wypisaniu na własne żądanie. Musieli jeszcze poczekać kilkadziesiąt minut na dokumentację medyczną, po czym, ku wielkiej radości dziewczyny, wyszli ze szpitala. Następnie pojechali taksówką na ulicę Boża Góra Prawa, tam, gdzie mieszkała ciotka Sabina.

– Wiesz, że miałem tu zajrzeć od razu po przyjeździe do Jastrzębia? – powiedział Waław, pomagając Klementynie wyjść z samochodu. – Ale tyle się działo, że totalnie wyleciało mi to z głowy.

– Teraz przynajmniej masz wyższy cel niż tylko oglądanie zrujnowanego domu. Jak myślisz, jaka ona mogła być?

– Sabina? Wiem o niej tyle co ty. Czyli praktycznie nic. Idziemy razem czy się rozdzielamy?

– Mordo, ja jestem zbyt ciekawska i zamiast skupiać się na swojej robocie, cały czas myślałabym o tym, czy ty właśnie nie dowiedziałeś się czegoś ekstra. Ruszamy razem.

Podeszli do pierwszego domu, po prawej od tego, w którym mieszkała ciotka Sabina. Widzieli przez okno, że ktoś krząta się w środku, ale nikt nie odbierał domofonu.

– Wchodzimy? Nie mają tabliczki, że mieszka tu groźny pies, który pewnie okaże się sfrustrowanym brakiem spacerów yorkiem.

– Takie są najgorsze. Moi sąsiedzi mają takiego. Non stop szczeka.

– Durny pan, durny pies. Dobra, wbijamy na posesję. Ja pukam, ty gadasz!

Weszli przez bramkę na ścieżkę prowadzącą do drzwi. Trawa w ogrodzie była idealnie przycięta, podobnie jak tuje chroniące przed wzrokiem sąsiadów. Klementyna zapukała i wycofała się za Waławą, najwyraźniej dobrze się bawiąc. Drzwi otworzyła blondynka z bardzo długimi włosami i rzęsami. Uśmiechnęła się, ale jej twarz pozostała nieruchoma.

– Kochanie! – krzyknęła do środka domu. – Pizza przyjechała! Masz gotówkę?

Klementyna parsknęła pod nosem, a Waław, totalnie skrepowany, oblał się purpurowym rumieńcem.

– Nie, nie, przepraszam. My nie z pizzerii.

– Ojej. – Blondynka posmutniała. – Szkoda. Kochanie moje jest już głodne.

– Proszę pani, nazywam się Waław Wolf, a kobieta, która zginęła w niedawnym wybuchu, była moją ciocią.

– Ojej. Bardzo mi przykro.

– Dziękuję. To może dziwnie zabrzmieć, ale...

– ŻABCIU! – wybrzmiał krzyk z wnętrza domu. – Z KIM ROZMAWIASZ?!

– Z panem, który mówi, że wariatka była jego ciocią! – odpowiedziała bez żadnego skrępowania pani domu.

– TEŻ WARIAT?!

Blondynka zmarszczyła brwi, wzrok tęskniący za rozumem wbiła najpierw w Waclawa, a następnie w uśmiechniętą jak zawsze Klementynę, która do niej mrugnęła.

– Chyba tak! – odpowiedziała w końcu kobieta.

– TO MU POWIEDZ, ŻEBY SPIERDALAŁ!

– Dobrze! – odkrzyknęła blondynka. – Spierdalaj – powiedziała i zamknęła im drzwi przed nosem.

Klementyna robiła wszystko, żeby nie wybuchnąć śmiechem, bo widziała, jak bardzo Waclaw jest skrępowany.

– Nie bój żaby! – powiedziała, waląc go w plecy. – Pierwsze koty za płoty, następną razą pójdzie lepiej.

– Taa. Już mi się tego gówna odechciało – stwierdził Waclaw, siadając na ziemi. Schował twarz w dłoniach, zaczął głęboko oddychać. Dziewczyna usiadła obok niego i objęła go ramieniem.

– Hej, mordo. Co jest? Przecież to dopiero pierwszy dom!

– W ciągu jednego dnia dowiedziałem się, że mój ojciec nie jest wcale moim ojcem, a siostra mojej zakłamej matki jest wariatką. Nieźle, nie uważasz? – zapytał, a jego prawa dłoń zaczęła nieznacznie drgać.

– Waclaw, czy ty masz znowu ten dziwny atak?

– Nie wiem.

– Kurde, chyba jednak masz! Dzwonić po karetkę?

– Nie wiem. Nie wiem, nic nie wiem, Klementyna! – mówił coraz głośniej, a imię dziewczyny już praktycznie wykrzyczał. – Nie wiem, co mi się dzieje, nie wiem, co tu się dzieje! To jest za dużo na raz!

– Oddychaj, mordo. Wdech, wydech. Ogarniemy to, mówię ci.

– Ale co my możemy ogarnąć, Klementyna? Prawdę? I co mi to da? Co to zmieni? Byłem okłamywany, bezczelnie oszukiwany całe życie przez moich rodziców! A jeden z nich nawet nim nie jest! Jak ja mam się czuć?

– Przynajmniej ich miałeś.

Te trzy słowa trafiły go mocniej, niż mógł trafić jakikolwiek cios. Aż zabolalo w splocie słonecznym. Popatrzył ze smutkiem na Klementynę i poczuł, że nie ma prawa narzekać. Nie ma prawa uzalać się nad własnym losem, kiedy obok niego siedzi dziewczyna walcząca o siebie całe życie. Poczul się przy niej mały i bezradny, jakby cały czas do tej pory błądził we mgle codzienności. Musiał przyznać, bardzo niechętnie, że prawie o połowę młodsza Klementyna jest od niego o wiele, wiele mądrzejsza.

– Masz rację – powiedział w końcu, wstając i otrzepując spodnie z piasku. – No dobra, zrobimy to po twojemu. Rozwikłajmy tajemnicę. Obiecuję już nie marudzić i nie narzekać.

– No i ekstra! – zawołała z radością. – Będziemy jak załoga Wehikułu Tajemnic!

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Masz, masz! Scooby-Doo i reszta ekipy, kojarzysz? No właśnie. Tak się nazywała ich fura! Kozacka, swoją drogą! Myślisz, że powinniśmy zapakować Tofu do mojej różowej rakiety i patrolować miasto we trójkę?

– Wydaję mi się, że Tofu i ja jeszcze nie jesteśmy na etapie współpracy.

– Słuszna uwaga. A wiesz, czego nauczyły mnie lata oglądania tej kreskówki?

– Żeby nigdy nie kupować doga niemieckiego?

Zaśmiała się.

– Nie, Waław. Że największymi potworami zawsze są ludzie. Zwykli, najzwyklejsi ludzie. No i że zawsze warto mieć przy sobie Scooby Chrupki. Zeżarłabym coś, najlepiej na ciepło. Po tej wyprawie jedziemy na naleśniki. Znam ekstramiejsce, cukier ci uszami wyjdzie. Do boju! – krzyknęła, unosząc pięść i ruszając do następnego domu.

W dwóch kolejnych nie zastali nikogo, właściciel trzeciego akurat wyjeżdżał, ale powiedział, że nie ma zielonego pojęcia, kim była i czym się zajmowała Sabina. Mijał ją czasem, gdy spacerował z psem, włócząc się po ulicy i mamrocząc coś pod nosem.

Klementyna zarządziła zmianę kierunku, poszli więc teraz na lewą od zniszczonego domu ciotki Sabiny. W pierwszym domu kobieta przez domofon poinformowała ich, że nie chce mieć z tą sprawą nic wspólnego, w drugim starszy mężczyzna groził policją i prokuraturą wojskową. Zrezygnowani chcieli już wracać, kiedy Klementyna zauważyła starszą kobietę idącą w ich stronę. Nieznajoma miała na sobie góralskie bambosze i owinięta była grubym kocem. Osobliwe, zważywszy, że pomimo późnej pory nadal ledwo dało się oddychać z powodu gorąca.

– To niebezpieczne – powiedziała konspiracyjnym szeptem, zbliżając głowę do ucha dziewczyny.

– Co jest niebezpieczne? Chodzenie po ciemku? – zapytała Klementyna, robiąc wielkie oczy do Waława.

– To bardzo niebezpieczne pytać o tę rodzinę.

– Słucham? – wtrącił się Waław. – O Sabinę?

– Sabinka to bogu ducha winna była w tym wszystkim. Jej siostra zresztą też. Zakochała się w niewłaściwym człowieku.

– W kim? – dopytywał. – W Jacku Wolfie?

– A kaj tam! – Kobięcina machnęła ręką. – Takiego to ja w ogóle nie znam, ale jeśli jest od nich, to nic lepszy od męża Żanetki.

– Męża? – zapytał Waclaw.

– Jeśli jest od kogo? – chciała wiedzieć Klementyna.

Kobięcina otuliła się mocniej kocem i pokazała na swój dom. Ruszyła bez słowa, a Waclaw i Klementyna spojrzeli po sobie i niczym szczury za Flecistą z Hameln poszli za tropem tajemnicy.

ROZDZIAŁ 19

Dom pani Michalikowej opuścili grubo po północy. Z zapartym tchem słuchali opowieści o miłości Żanety i Hiacynta. O tym, co stało się po jego pogrzebie. O rodzinie Wojnarów. Wacław co rusz wstawał od kuchennego stołu, musiał rozchodzić buzujące w nim emocje. Zawsze zakładał, że jest nijaki, że niczym się nie wyróżnia spośród tłumu podobnych do niego Wacławów. A jednak ten model miał w sobie coś wyjątkowego. W jego kodzie źródłowym znajdowała się śląska krew, a jego poprzednie wersje okazały się absolutnie nieszablonowe.

Jedyną osobą, o której nie chciała rozmawiać pani Michalikowa, był Joachim Wojnar. Za każdym razem, kiedy któreś z nich go wspominało, to zmieniała temat albo robiła znak krzyża i milkła na dłuższą chwilę. Wreszcie odpuścili, bo przecież głównymi bohaterami tej tragedii byli zupełnie inni ludzie. Pytana o listy, wzruszała jedynie ramionami, nie miała o nich zielonego pojęcia. Opuszczając dom sąsiadki ciotki Sabiny, nadal nie mieli wszystkich części układanki.

– Jak się czujesz? – zapytała Klementyna poważnym głosem.

– Nie do końca wiem, jak mam się czuć, wiesz?

– Ona mówi prawdę, jeśli chodzi o Hiacynta Wojnara. Był taki wśród czterech zabitych górników z Manifestu Lipcowego. Wiele więcej o nim nie wiadomo, przynajmniej z naukowych źródeł. Nawet nie wiedziałam, że miał żonę.

– Moją mamę.

– Twoją mamę. Nawet nie dotknęliśmy dzisiaj reszty listów... Czekał, Wojnar?! Przecież to nazwisko przewijało się już w tej korespondencji. Tak nazywała się kochanka Witczaka! Dawaj plecak.

Klementyna włączyła latarkę w telefonie i podała go Wacławowi. Zaczęła kartkować listy z sejfu

– Wacław, sobie świecisz czy mnie?! Ha, ha, co się tak patrzysz? Sorka, zawsze chciałam to powiedzieć. Zobacz! Wszędzie podpisuje się jako „Twoja” albo używa jedynie imienia. Swoją drogą, chyba sobie zmienię moje na Eufemia, ekstra jest. Serio, piękne. O, zobacz, a w tym liście już pisze wprost o tym, że owoc ich miłości zawsze będzie Wojnarem, nie Witczakiem. Staaaaary. Mamy to. Zagadka prawie rozwiązana.

– Chciałbym wrócić do hotelu, Klementyna.

– Serio, teraz?! Jesteśmy przecież już tak bli...

– Tak, teraz – przerwał jej głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Jestem wyczerpany. Mam mętlik w głowie. Muszę sobie to wszystko przemyśleć. Zamawiam nam taksówki.

Tego wieczora żadne z nich nie powiedziało już do siebie ani słowa. Wacław nie miał ochoty, a Klementyna, mimo że chciała wystrzelić ich tysiące, czuła, że tylko rozjuszyłaby tym towarzysza. Wsiedli do samochodów i ruszyli w swoje strony.

Wacław usiadł na tylnym siedzeniu srebrnego mercedesa i zignorował próby nawiązania rozmowy przez starszego kierowcę. Kiedy tamten odpuścił, pasażer zamknął oczy i starał się poukładać natłok informacji z ostatnich kilku dni. Z jednej strony żałował, że w ogóle tu przyjechał. Liczył jedynie na jakieś pieniądze, które tak bardzo przydadzą mu się podczas rozwodu. Wlot, wylot, miał tu być tylko jeden dzień. No, może maksymalnie trzy. Ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żeby wrócić do domu teraz, nawet w tej chwili. Kupić bilet na pociąg i już nigdy więcej nie zbliżyć się do śląskiej ziemi. Całe życie uciekał przed problemami, więc miał w tym całkiem niezłą wprawę. Mógł postarać się zapomnieć o tym wszystkim. Mógł poszukać sobie nowej dziewczyny, mądrej i miłej. Mógł się zdecydować w przyszłości na kolejne dziecko, a gdyby to była dziewczynka, dać jej tak samo na imię – Pola brzmi tak ładnie. Mógł przecież znów prowadzić nudne, miałkie życie, mówić „dzień dobry” na klatce schodowej, nie wchodzić nikomu w drogę, udostępniać zrzutki znajomych i zawsze kasować bilet w komunikacji publicznej. Mógł też pierwszy raz w życiu zrobić coś inaczej. Stawić czoło wszystkiemu, co mu się przytrafia, a nie być wiecznie jak ta aureliuszowska skała, o którą rozbijają się wzburzone fale. Może właśnie teraz nadszedł czas działania? Owca

Z kieszeni spodni wyciągnął swój popękany telefon. Wiadomość od Klementyny. Wysłała mu zdjęcie bardzo zadowolonego z siebie kota, dumnie siedzącego na Snorlaxie, z podpisem „Tofu już tęskni”. Nie potrafił się nie uśmiechnąć. „Chyba tęskni za swoją ofiarą”, odpisał, dodając uśmiechniętą

emotikonę. Druga wiadomość od dziewczyny także zawierała trzy słowa: „Wzięłeś mój plecak”. „Wybacz – zaczął odpisywać. – Obiecuję, że niczego nie przeczytam bez ciebie. Dobranoc”. Na to odesłała już tylko serduszka. Pozostałą część drogi do hotelu spędził na zastanawianiu się, czy powinien zadzwonić do Karoliny. Z rozmyślań wyrwało go podskakiwanie samochodu na ulicy 1 Maja.

– Halo! – krzyknął Wacław do kierowcy. – Halo, proszę pana! Już minął pan cel podróży!

Przez moment pomyślał, że taryfiarz wyczuł frajera i chce trochę więcej zarobić na głupim, zagubionym turyście, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, zauważył coś na jego szyi. Coś, co prześladowało go, odkąd przyjechał do Jastrzębia-Zdroju. Tatuaż, w kółko ten sam wzór. Kupła, skrzyżowane żelazko i pyrlík, a pod nimi symbol zwycięstwa, liście laurowe.

Kierowca nie przejmował się podwoziem swojego auta, mknął po ulicy niczym Colin McRae. Spanikowany Wacław nie wiedział, co robić. Przez moment chciał otworzyć drzwi i wyskoczyć, ale wtedy kierowca ostro skręcił w prawo, w ulicę Kościuszki, a za chwilę w lewo, w Ofiar Faszyzmu. Zatrzymał się z piskiem opon na wysokości schodów, z których zbiegało dwóch mężczyzn w kominiarkach. Od chwili, kiedy Wacław ich zobaczył, wszystko działo się bardzo szybko. Kierowca wysiadł i zniknął w ciemności, a napastnicy dopadli drzwi po obu stronach samochodu. Mężczyzna z prawej od razu rzucił się do lawendowego plecaka, a drugi zaatakował Wacława, który skupił się tylko na tym, żeby za żadne skarby nie wypuścić plecaka z rąk. Przyjmował ciosy na głowę – chyba pierwszy raz w życiu ktoś go bił. Po piątym czy szóstym razie przestał odczuwać ból. Coś dziwnego zaczęło się dziać z jego ciałem. Mięśnie, chociaż węższe i ukryte pod warstwą tłuszczu, napięły się w gotowości do ataku. Przestał się bać, a jego jaźń zaczęła przejmować jakąś pierwotną siłą. Co prawda wzrok stracił na ostrości, a czerwona mgła nie pomagała, doskonale jednak widział swój cel. Z całych sił pociągnął plecak, żeby wyrwać go z rąk atakującego, co po chwili mu się udało. Następnie podwinął obie nogi, położył się na plecach, obrócił w lewą stronę i kopnął, trafiając drugiego z napastników w klatkę piersiową. Ten zrobił kilka kroków do tyłu, a Wacław, korzystając z cennych sekund szoku przeciwnika, zaatakował ponownie. I ponownie. I ponownie.

Ocknął się dopiero wtedy, kiedy zawyły syreny policyjne, a światło koguta zaczęło drażnić jego oczy. Stał przy otwartym szeroko mercedesie, jego lewa dłoń była cała zakrwawiona, a w prawej nadal trzymał rozerwany plecak Klementyny. Po zamaskowanych napastnikach pozostały jedynie ślady krwi.

Klementyna podjechała po niego różową rakieta. Kiedy wsiadł do samochodu, aż syknęła, patrząc na jego pokiereszowaną twarz.

– Wyglądasz, jakbyś wpadł z rozbiegu na ścianę, a na dodatek ta ściana postanowiła ci oddać.

– I tak się właśnie czuję. Ale to jeszcze nic.

Podniósł opuchniętą lewą dłoń, a dziewczyna aż zamknęła oczy.

– Ała. Czyli tamci wyglądają dużo gorzej?

– Jeden na pewno. Ale ja naprawdę niczego nie pamiętam. Wpadłem w jakiś...

– Szał bitewny – dokończyła za niego. – Adrenalina przejęła kontrolę. I dobrze, ha tfu na frajerów. Ale ja osobiście widzę w tym jeden wielki plus.

– Tak? Jaki?

– Obudziłeś się czy nadal będziesz wypierał prawdę?

Całe życie był w połowie denialistą, a w połowie sceptykiem. Szczególnie teraz, kiedy jego świat szalał zarówno w skali makro, jak i mikro. Po nocnym zajściu nie miał już jednak żadnego wyboru. Musiał zaakceptować, że po pierwsze, ktoś bardzo chce się go pozbyć – albo z miasta, albo na wieki wieków. Po drugie, zapewne ten sam ktoś bardzo chce przejąć zawartość sejfu ciotki Sabiny. Pytanie tylko kto i dlaczego?

– Nadal się zastanawiam nad jedną rzeczą – powiedział Wacław. – Nie daje mi to spokoju.

– Tak? A gdzie jedziemy?

– Najpierw do apteki. Później możemy do ciebie. Zakładam, że tam będzie najbezpieczniej.

– I słusznie. Jakby co, to mam bogatą apteczkę. Będzie pan zadowolony.

– Czyli prosto do ciebie. A nie daje mi spokoju fakt, że jeśli ktoś zepchnął mnie z drogi, to ten ktoś musiał założyć, że nie wyjdę z tego cało. Celem mogło być jedynie nastraszenie, ale...

– Ale co?

– Później, być może ten sam ktoś, strzela, ale do ciebie. Może więc chodzi jedynie o przegonienie mnie z Jastrzębia. Ale dlaczego?

– Typie, jeśli wierzyć listom i tej dziwnej pani w kapciach, jesteś żyjącym potomkiem Mikołaja Witczaka. A to może nie pasować wielu osobom.

– Na przykład komu? Władzom miasta? Pan prezydent kazał mnie usunąć stąd za wszelką cenę?

– Pani prezydent. Nie no, ona to chyba nie. Jest spoko. Nie wzięliśmy pod uwagę jeszcze jednej rzeczy – zmieniła temat Klementyna. – Ten cały burdel zaczął się od wybuchu u ciotki Sabiny. Może to również nie było przypadkowe?

– Sugerujesz, że ten ktoś ma już morderstwo na koncie?

– Nie sugeruję, pokazuję jedynie możliwe rozwiązania. Na pewno nie możemy nikomu ufać. No, prawie nikomu. Ja już rozpuściłam moje małe macki.

– Klementyna, jeśli chcesz odpuścić, to ja cię doskonale zrozumiem. Pomogłaś mi już bardzo dużo, a to się robi coraz bardziej niebezpieczne. A jeśli twój dom będzie następny?

– Żartujesz, mordo? Nie bawiłam się tak dobrze, odkąd... No, dawno się tak dobrze nie bawiłam. Serducho mi wali od kilku dni jak szalone, ja w takich momentach czuję, że żyję.

Wacław spojrział na nią z uśmiechem. Byli jak biel i czerń, jak yin i yang. On do tej pory w takich sytuacjach włączał tryb strusia i chował głowę w jak najgłębszy piasek. Ona przeciwnie – ewidentnie rozkwitała; potrzebowała stałego dopływu wysokooktanowych podniet, inaczej czuła, że traci ten bardzo krótki ziemski czas.

– Moja terapeutka twierdzi – kontynuowała Klementyna – że to wszystko przez to, co przeżyłam w dzieciństwie. Że tamte wydarzenia były tak ekstremalne, że muszę stale szukać czegoś, co przyspiesza krążenie. To, co dzieje się teraz, jest zdecydowanie w moim top trzy.

– Tak? A co jeszcze znalazło się na podium?

– Mordo, musiałabym pomyśleć. Na pewno nurkowanie z rekinami w Polinezji Francuskiej...

– Co? – zdziwił się Wacław. – Boże, aż mnie ciarki przeszły.

– Boisz się rybek?

– Boję się rekinów. Jestem z pokolenia, które wychowało się na *Szczękach*.

– No to coś ci powiem. Ja też bardzo się tego bałam. Ale Franek mnie namówił. Zawsze twierdził, że najlepsza terapia to ta przez ekspozycję. I miał rację. W Fakaravie widziałam ścianę rekinów. Ścianę, Wacław, nie jednego osobnika. I to było piękne. Byliśmy tam wtedy, kiedy graniki wielkie zbierają się na tarło. To była najpiękniejsza pełnia księżyca, jaką kiedykolwiek widziałam. W takich momentach zdajesz sobie sprawę, jak nieistotnym pyłkiem jesteś w tym całym kosmicznym planie. Albo symulacji.

– Mogę sobie tylko wyobrazić. Ale interesuje mnie coś innego.

– No?

– Kim jest Franek?

Po raz pierwszy odkąd Wacław ją poznał, Klementyna wyraźnie znalazła się na nieodpowiadającym jej terenie dyskusji. Dziewczyna zacisnęła usta, a w jej oczach zagościł smutek. Niezręczna cisza sprawiła, że i Wacław poczuł się nieswojo, szczególnie kiedy zauważył, że Klementyna mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy. Po chwili na jej twarzy na powrót zagościł uśmiech, ale mężczyzna wątpił w jego szczerość.

– Franek – powiedziała w końcu – był moim narzeczoną. Był absolutnie zakochany w podróżach i to dzięki niemu zaczęłam latać samolotami. Dzięki niemu widziałam potęgę absolutu Matki Natury. No ale Franka, tak jak i twojej Karci, już nie ma w tym równaniu, więc wolałabym o nim nie rozmawiać.

Wacław uszanował jej prośbę. Zarazem zrobiło mu się tak głupio, że postanowił się więcej podczas tej jazdy nie odzywać. Wjeżdżając na osiedle, zauważył, że przed domem Klementyny stoi duży, biało-brązowy van.

– Jasna cholera! – krzyknął. – Wiejemy! Zawracaj, szybko! Gazu!

– Co?! – zawołała zdziwiona i odrobinę przestraszona dziewczyna. – Dlaczego?!

– No przecież stoją ci pod domem! Gazu!

– Hej, typie, luzuj majty! Nic się nie dzieje. To moje drugie auto. Było u blacharza, a że facet jest moim ziomkiem, to mi pewnie odstawił pod kwadrat. Oddychaj głęboko. Poza tym gdyby tu byli, to najpierw musieliby poradzić sobie z Tofu, a to strasznie zawzięty skurczysyn.

Zaparkowała tak, żeby nie zastawić sąsiadów, i wysiadła, pogwizdując coś pod nosem. Wacław nadal nie był przekonany, że wszystko jest w porządku. Miał jakieś dziwne przeczucie, a kiedy przechodził obok volkswagena california, przeszedł go dreszcz. Głowy by nie dał, ale bardzo podobne auto zrównało się z nim wtedy, na ulicy Mikołaja Witczaka. Bardzo podobne auto zepchnęło go z drogi.

– Wacław! – Głos Klementyny wyrwał go z zamyślenia. – Właż, bo Tofu da dyla! Dalej! Tofu! Tofu, wracaj w tej chwili! Wacek, łap go!

Mężczyzna w ostatnim momencie zauważył biegnącego w jego kierunku kocura, schylił się i przechwycił sfinksa. Wchodząc do domu Klementyny, trzymał go przed sobą na długość wyprostowanych rąk, do tego na wszelki wypadek zamknął oczy i odwrócił głowę. Tofu tym razem nie zaatakował, zbyt zaskoczony biegiem zdarzeń. Wacław rozluźnił się dopiero, kiedy dziewczyna zamknęła za nimi drzwi.

– Jeżu, dzięki, mordo! Już raz szukałam go po całej okolicy i nie było to nic przyjemnego. Niedobry Tofu! Zły Tofu! I nie pyskuj! – krzyknęła, kiedy kot miauknął i zaczął lizać sobie przednią łapę.

– Drobiazg – odpowiedział Wacław, ściągając buty. – Klementyna, a co ci się stało z tym drugim samochodem?

– Z campervanem? Jakiś kretyn przywalił w niego na parkingu pod Biedronką, gdzie oczywiście nie ma żadnych kamer i nikt niczego nie widział, a co?

– Nie, nic. Tak pytam. Przeciwbóle?

– Nad zlewem. Częstuj się.

W apteczce znalazł ketonal, wziął trzy tabletki i popił wodą z kranu. Usiadł na krześle i złapał się za głowę. Ból w czaszce nie ustępował, podobnie jak mętlik.

Miał wrażenie, że cały czas leci na autopilocie, ale baterie niedługo się wyczerpią. Przede wszystkim był niewyspany i każdego ranka czuł się jak telefon komórkowy, którego ktoś zapomniał podłączyć na noc do prądu.

– To co teraz? Jaki mamy plan? – zapytał Klementynę.

– Teraz możemy wziąć się za czytanie reszty korespondencji. I czekamy.

– Na co?

– Aż moje macki złapią coś, co będzie przydatne.

Tofu kręcił się pod ich nogami, ocierając się i głośno miaucząc, tak jakby zaakceptował plan najbliższych działań. Skoro nawet kot się zgadza, pomyślał Waław, to kim jestem ja, żeby myśleć inaczej?

– To się nie dzieje – powiedziała Klementyna, kończąc czytać kolejny z listów.

– Kumasz to, mordo?

– Wiesz co, gdyby ktoś mi teraz powiedział, że pochodzę od kosmitów von Dänikena, tobym mu uwierzył.

– No ale kumasz czy nie kumasz? Jakie są na to szanse? Jedna na sto? Jedna na tysiąc?

– Powtarzam: mogę już uwierzyć we wszystko.

Spędzili na lekturze korespondencji Mikołaja Witczaka i jego syna kilka godzin, a każdy kolejny list pokazywał im jeszcze pełniejszy obraz historii. Klementyna nie mogła usiedzieć na miejscu: wstawiała, spacerowała po pokoju, podnosiła i odkładała kota, siadała i milczała, wpatrzona w stuletni papier. Waław z kolei opadał z sił. Cały czas bolały go twarz i ręka. Pocieszał się, że przynajmniej prawa nie drgała.

Kiedy rozdzwonił się telefon Klementyny, ta zerwała się z podłogi, na której akurat siedziała po turecku, i rzuciła do stołu, żeby jak najszybciej odebrać.

– No siema, byku! – przywitała się. – Co ty gadasz? Tylko jeden? Mordo, to jest turboinformacja! Nie no, jasne! Nikt nic nie wie, czeski film. Zresztą przecież my się nie znamy. Kurde, raczej. Wpadaj, kiedy chcesz, ogarniemy temat. No pa. – Rozłączyła się i zaczęła skakać z radości.

Tofu i Waław patrzyli na nią zdziwieni, ten pierwszy postanowił się odsunąć na bezpieczną odległość od rozemocjonowanej dziewczyny.

– AAA! – krzyczała. – AAA! Mamy to, Waław! Mamy gnoja!

– Kogo mamy? Kto dzwonił?

– Dzwonił mój dobry znajomy z katowickiej psiarni – odpowiedziała, kiedy już przestała skakać. Był tak dobry, że sprawdził dla nas, kto w moim pięknym mieście ma pozwolenie na broń. Szukając wśród tych, jak się okazuje wielu,

typów i typiar, sprawdził, kto ma zarejestrowany karabin sportowy centralnego zapłonu. I wiesz, co? Wyszło na to, że tylko jeden jedyny człowieczek ma broń, którą mógł mi zrobić krzywdę z dość sporej odległości. Sztucer Tigr.

– Tak się nazywa? Strasznie dziwne imię.

– Nie, głupku – odparła ze śmiechem dziewczyna. – Tak się nazywa broń. A nasz strzelec wyborowy to Antoni Buzek. Na co dzień dumny mąż i ojciec, bardzo lubi wrzucać fotki z córeczką. Słodko.

– A skąd ty to już wiesz?

– Bo sobie go sprawdziłam na fejsie? Przestań boomerzyć, Wacław. Mamy też adres fajfusa. Szybko! Do Batmobilu!

Wacław się zaśmiał.

– Jeszcze niedawno był to Wehikuł Tajemnic – zauważył. – Nie lepiej zadzwonić na policję?

– Zwariowałaś? Przecież oni mogą o wszystkim wiedzieć! Wbijamy tam sami i przystawiamy mu nóż do gardła! Metaforyczny oczywiście. Nie jesteśmy barbarzyńcami.

– Oczywiście.

Antoni Buzek mieszkał przy ulicy Bogoczowiec w piętrowym, jednorodziwym domu. Klementyna zaparkowała kawalek dalej, przed cukiernią Jagódka. Zanim poszli sprawdzić, czy Buzek jest w domu, postanowiła kupić im po dwa rogaliki z kremem czekoladowym, z czego zjadła trzy. Wacław miał ściśnięty żołądek. Złe przecucie nie opuszczało go, odkąd znaleźli się pod domem Klementyny. Może w tym wszystkim faktycznie było zbyt dużo zbiegów okoliczności?

– Ja pukam, ty mówisz – zakomenderowała dziewczyna i zaczęła bezceremonialnie walić w drzwi. – No co się tak patrzysz? – zapytała Wacława, widząc, jak na nią zerka. – Typ do mnie strzelał, mam prawo!

Nikt nie otworzył, nawet wtedy, kiedy dziewczyna kopnęła w drzwi. Zeszła po kilku schodkach i zaczęła oglądać budynek z każdej strony. Obok stał garaż, w którym Buzek zapewne parkował auto. Na dach dobudówki prowadziły schody.

– Wacław! Patrz na to!

Klementyna wskazywała palcem na wąskie okno w ścianie domu. Było otwarte.

– Chyba się tam zmieszczę – powiedziała, łapiąc się pod biodra. – Ty stój na czatach.

– Co?! Nie, zwariowałaś?! Wracaj! – syknął, ale równie dobrze mógł mówić do ściany.

Klementyna już była po drugiej stronie płotu i wspinała się po garażowych schodach. Podeszła do okna i przełożyła przez nie nogę. Kiedy upewniła się, że się zmieści, podniosła kciuk i zniknęła w domu Buzka. Po minucie otworzyła drzwi wejściowe i gestem zaprosiła Wacława do środka.

– Wiesz, że możemy mieć przez to niezłe kłopoty? – powiedział Waław, zniżając głos do szeptu.

– To zrobimy wszystko, żebyśmy ich nie mieli. Za mną, może ma tu jakiś swój pokój. Zbrojownię może ma!

Udali się na piętro, a pierwsze pomieszczenie, do którego weszli, okazało się czymś w rodzaju biura. Waław zauważył na półkach wiele książek historycznych i polską fantastykę spod znaku mizoginii i ksenofobii. Na biurku leżał laptop. Klementyna od razu do niego podeszła.

– Może nie ma hasła – mruknęła pod nosem.

Waław stał za nią i nasłuchiwał, czy aby na pewno nikt nie wchodzi do domu. Spojrzał na dziewczynę grzebiącą w zawartości komputera. I wtedy to zobaczył. W natłoku innych tatuaży trudno było go wypatrzeć, a dodatkowo okazał się mały. Żelazko. Pyrlik. Wieniec laurowy. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, poczuł, że coś zbliża się do jego skroni. A potem stracił przytomność.

LISTY III

Przyjacielu,

spotkanie nasze było w gwiazdach zapisane, wierzę w to równie mocno, jak i Ty wierzysz. Już wtedy, kiedy oczy nasze się spotkały, czułem, że widzę człowieka, który zrozumie mnie doskonale. Wtedy pod Godowem, kiedy sięgnęła cię prussacka kula, coś podpowiadało mi, że nasze losy są splecione. Jednak ani ja, ani zapewne Ty nie spodziewaliśmy się, że krew nasza jest jednakowa. Że w żyłach naszych płynie posoka tego samego ojca. Pamiętam, kiedyśmy dla sprawy polskiej ochraniali plebiscyty, jak opowiadałeś mi o matce swej i jak bardzo nie chciała, żebyś miał ze mną styczność jakąkolwiek. Konfuzja moja nie mniejsza była niżeli Twoja, przyjacielu. Tak, wtedy jeszcze jedynie przyjacielu.

Pamiętam ten wieczór, kiedy roztrzęsiony rzekłeś mi, że matula odeszła do wieczności, do dobrego Pana Boga. „Mikołaj – krzyczałeś – mnie nie jej śmierć wstrząsnęła, nie we śnie odejście bez bólu i cierpienia!”. Pamiętam, jakby to wczoraj było, jak oczy Twe szkliste mówiły dużo więcej niż setki słów. „Matula na łożu śmierci – mówiłeś – zwierzyła się z sekretu największego”. Wtedy i ja szok przeżyłem niebosiężny, pamiętasz? No bo jak to tak nagle dostać obuchem w łeb, że ojciec twój, wzór cnót, ideał chodzący, owszem, chodził, ale na schadzki lubieżne? Uwierzyłbyś na moim miejscu? Chyba nikt nie

dałby takim rewelacjom posłuchu. Pamiętasz, jak wyciągnąłeś wtedy listy? Listy, które matka Twa spalić miała, ale postanowiła zatrzymać?

Wtedy, przez noc całą czytałem je na okrągło, jeden po drugim, nie wierząc, co ojciec mój w nich wypisuje. A jednak uwierzyć musiałem, bom znał jego charakter pisma bardzo dobrze. Jednakże bardziej niż ojca nienawidziłem wtedy Twojej matki. Nie za to, że i on, i ona ulegli pokusom, kuszeniom ciała, nie. Nie za to, że listów owych nie spaliła, tak jak ojciec ją prosił. Nienawiść ma narosła, kiedy o zdradzie wyczytałem. Sam wiesz, że to był dla ojca naszego wspólnego cios ostateczny. Najpierw wojna, zdrowie podupadło, a potem matka Twa sprzedała te informacje. I komu sprzedała? Prussakom! Najgorszej zarazie, jaką ta ziemia kiedykolwiek ze swych trzewi wypluła!

Wiesz co, przyjacielu? I Ciebie w tamtej chwili nienawidziłem, tak samo jak nienawidzi się posłańca, który złą i okrutną nowinę niesie. Wyznać Ci muszę teraz coś, czego w oczy Ci wyznaczyć nie potrafiłem. Był wtedy moment, mgnienie oka, gdy za broń chciałem złapać i kulę w Twym łbie umieścić. Wierności ojcu dochować. Tylko na co mu ma wierność, skoro znajdował się już po prawicy Boga Ojca? Przyjaźń Twa, bitewna familiarność, spojrzenie na świat i do życia podejście są mi teraz przecież dużo bliższe. Przeszłość nie powinna wpływać na świat jutrzejszy, Ottonie. Tak mawiał mi nasz ojciec. Dręczyło mnie to wszystko i gdzieś tam nadal była część mnie nie wierząca w te rewelacje. Wiesz jednak, przyjacielu i bracie, że ja zawsze próbowałem na swoim stawiać i jeśli coś mnie gnębiło, to chciałem dociec sedna tegoż uczucia? Ojciec nasz mnóstwo korespondencji wysyłał i jeszcze więcej otrzymywał. Zamysłem moim było przeszukać jego bogate archiwa i tak właśnie uczyniłem w chwili spokoju, nikomu słowa nie mówiąc o celu poszukiwań. Ojciec nasz twardego udawał i surowego, ale serce miękło mu często, Przyjacielu i Bracie. Często wpadał w melancholię i rozmyślał, zapewne o tym, co się nie wydarzyło, ale wydarzyć się mogło. Sam nie zrobił tego, czego od matki Twej wymagał. Zachował wszystkie listy.

Bracie, naprawdę żałuję, że nie chcesz jechać z nami do Francji. Stamtąd również możemy działać, również możemy tępić niemiecką zarazę. Rozumiem jednak i wybór Twój szanuję, tak jak – przynajmniej taką nadzieję żywię – Ty szanujesz mój. Chciałbym, żebyś Ty, podobnie jak ja, mógł mieć ogląd na całość tego mezaliansu. W pakunku znajdziesz listy, które ojciec nasz od Twej matki dostawał. Nie żyw do nich urazy, ani dziś, ani jutro. Tak jak każdy z nas, byli tylko ludźmi,

a podobno błędzić jest rzeczą właśnie ludzką. Co zrobisz z tą informacją, to już pozostawiam Tobie, drogi Ottonie. Wierzę, że cokolwiek postanowisz, będzie to w zgodzie z Twym sumieniem. Głęboką nadzieję żywię, że jeszcze kiedyś się spotkamy i nie raz, nie dwa do wczesnych godzin rannych będziemy mogli prowadzić nasze dysputy.

Mikołaj Witczak junior



**CZĘŚĆ IV
KIEDYŚ**

ROZDZIAŁ 20

Na pogrzeb czterech górników z Manifestu Lipcowego ściągnęła cała okolica. Brać grubiarzy chciała pokazać władzy, jak bardzo jest zgrana i zorganizowana, tym bardziej że dzień po tragedii w Jastrzębiu-Zdroju zdarzyła się kolejna, jeszcze większa. Choć czy śmierć można stopniować? Czy czterech zabitych to naprawdę więcej niż dziewięciu? Z każdym z tych ludzi umarł czyjś cały świat. Wszystkie marzenia, plany i aspiracje odeszły ot tak, jak za dotknięciem magicznej kuli z karabinu maszynowego RAK. Ludzie z tą samą bronią zabezpieczali pochód pogrzebowy, palce na spustach były gotowe. Ci, którzy brali udział w uroczystościach funeralnych, mówili potem, że to wcale nie ludzie, tylko potwory, monstra bez serca, duszy i krzty dobroci. Chore na moralną niepełnosprawność kreatury, które zasługiwały wyłącznie na to, aby odejść z tego świata, najlepiej w bólu i cierpieniu. Te same kreatury, tylko w innym przebraniu – zamiast mundurów nosiły garnitury – odwiedzały przed pogrzebem rodziny zabitych. Groziły, ostrzegały. Zakazywały. Podobnie było z księdzem, który dostał jasne i wyraźne instrukcje, o czym nie wypadałoby mówić.

Cztery trumny owinięte zostały w górnicze flagi, na każdej leżało czako z czarnym pióropuszem. Nieśli je koledzy z Manifestu ubrani w galowe stroje. Za nimi rodziny zamordowanych, łkające matki, ojcowie z marsowymi obliczami, byle tylko nie pokazać krzty słabości. Dzieci, które nie do końca rozumiały, co się dzieje i w czym uczestniczą. Żony roniące wodospady łez. Załamani współpracownicy zastanawiający się, co teraz będzie. Działacze i aktywiści krzyczący o konających wronach i wiecznej Solidarności, co bardzo drażniło

kreatory z bronią. Ale mimo obecności uzbrojonych mundurowych dało się słyszeć coś jeszcze... Co jakiś czas przebijało się jedno słowo: „Sychta”, wykrzywane w bojowy, pełen gniewu sposób.

Brakowało tylko osoby, która chyba najbardziej chciała w tym pogrzebie uczestniczyć. Wśród zgromadzonych nie było Joachima Wojnara. Nie mógł się tam pokazać. Doskonale zdawał sobie sprawę, jakie milicjanci otrzymali rozkazy. Aresztować na miejscu, a gdyby stawiał jakikolwiek opór – zastrzelić. A za opór mogli wziąć choćby jedno krzywe spojrzenie skierowane w ich stronę. Wojnar i jego najbliżsi zausznicy ukrywali się i nikt nie potrafił powiedzieć, gdzie dokładnie.

Żaneta, idąc obok matki i siostry, niczego nie słyszała. Ciałem znajdowała się na zaśnieżonych ulicach Jastrzębia-Zdroju, ale umysł błędził gdzieś daleko. W jej głowie włączał się film złożony z najlepszych chwil, jakie przeżyła z Hiacyntem. Był to film krótki, ale dla niej najpiękniejszy na świecie. Po przerwie, zazwyczaj spowodowanej pytaniem matki, czy na pewno wszystko w porządku, przychodziła pora na drugi seans. Z kolei ten film opowiadał o przyszłości, która już nigdy miała nie nadejść. Składał się ze wspólnych spacerów brzegami mórz i oceanów. Z nocnych rozmów o tym, jak im minął dzień. Z niedzielnych obiadów w domu jej rodziców. Byli tam wszyscy, także jego ojciec. Nawet on się uśmiechał. Nigdy wcześniej nie widziała go takiego szczęśliwego, bo przecież on szczęśliwy nie bywał. Przy stole siedziało też dziecko jej i Hiacynta, ten jeszcze nienarodzony skarb, o którego istnieniu jej ukochany nie zdążył się dowiedzieć. Po obiedzie pomagają skarbowi przy lekcjach, uczą czytać i pisać. Ten film mógłby trwać wiecznie, ale seans został przedwcześnie przerwany.

– Żanetko, halo? – Sabina, młodsza siostra, potrząsnęła jej ramieniem. – Nie słyszysz? Mama się ciebie o coś pytała.

– Tak, mam?

– Czy ty na pewno się dobrze czujesz? Jest strasznie zimno, to na pewno nie jest pogoda dla ciebie.

– Chcę tu być.

– Ja rozumiem, ale...

– Chcę tu być. Chcę być z nim do samego końca.

Kondukt pogrzebowy dotarł na cmentarz, gdzie czekało jeszcze więcej górników i milicjantów. Między dwiema grupami istniało jakieś nieme porozumienie, chwilowe zawieszenie broni. Kruche jednak tak bardzo, że nawet jeden nieodpowiedni gest mógł je popchnąć w niebyt. Ksiądz, pomimo wcześniejszych gróźb, mówił to, czego prawie wszyscy oczekiwali. Grzmiał przez megafon, nie szczędząc gorzkich słów władzom Polski Ludowej.

– To są pierwsze ofiary stanu wojennego! – krzyczał wśród wiwatów. Pogrzeb powoli zmieniał się w manifestację. – Tych czterech bohaterów, obrońców Manifestu Lipcowego musimy zapamiętać do końca naszych dni! Polska musi ich zapamiętać do jej końca! Ale ta Polska prawdziwa, nie ludowy rak z przerzutami! Nasi bracia są już u prawicy Pana Boga, ale my tutaj nadal mamy swoją powinność – mówił, a niektóre z jego słów ginęły w okrzykach tłumów.

Milicjanci byli coraz bardziej podenerwowani, ale chyba każdy z nich podskórnie wiedział, czym może się skończyć choćby najmniejszy przejaw agresji z ich strony. Niektórzy może i zgadzali się ze słowami duchownego, ale role społeczne, które przyjęli, już zbyt głęboko się zakorzeniły.

– Mamy obowiązki – płomiennie przemawiał ksiądz – wobec Boga Ojca, wobec ojczyzny, wobec naszych własnych rodzin. W obecnych czasach obowiązki te powinny być u każdego szanującego się Polaka zbieżne! Opór czerwonej zarazie spełnia je wszystkie!

Matka Żanety kręciła ze smutkiem głową, mocniej przytulając się do starszej córki. Ksiądz proboszcz może i chciał dobrze, ale jedyne, co robił, to dolewał oliwy do ognia. Doskonale pamiętała, że chodził z Joachimem Wojnarem do szkoły, nie zdziwiła jej więc ideologiczna amunicja zawarta w jego słowach. W całej tej sytuacji szukała jakichś pozytywów i jednym z nich okazało się to, że jakiegokolwiek relacje z Joachimem ustały. Nie zakładała, że ten stary cap będzie chciał mieć coś wspólnego ze swoim wnukiem bądź wnuczką. A może było to tylko życzeniowe myślenie, bo sama by tego nie chciała. Nikomu nigdy nie życzyła śmierci, nawet najgorszemu wrogowi, ale to nie ten Wojnar poszedł na tamten świat. Po cichu liczyła, że milicja w końcu go złapie i zamknie, bo ta jego Szychta mocno nadepnęła im na odcisk.

Ksiądz poprosił wiwatujących o ciszę. Trumny zjechały do ziemi. Płacz i lament rodzin przebił się na pierwszy plan.

– *Witaj Królowo, matko litości* – zaintonował ksiądz, a na dębowe deski zaczęły spadać garście ziemi.

– *Nasza nadziejo, życia słodkości! Witaj, Maryjo, matko jedyna* – śpiewały głównie obecne na pogrzebie kobiety. – *Matko nas ludzi, Salve Regina!*

Żaneta ocknęła się dopiero wtedy, gdy szturchnęła ją siostra. Podobnie jak reszta Żaneta wzięła trochę cmentarnej ziemi i rzuciła ją na trumnę, w której spoczął Hiacynt Wojnar. Co rusz ktoś do niej podchodził i składał kondolencje. Brała w dłoń wyciągnięte w jej kierunku prawice, przytulała tych, którzy przytulenia oczekiwali. Wzrok jednak miała pusty i nieobecny. Nie mogła więc widzieć, że wielu żałobników było nieszczerych. Według większości jastrzębian Żaneta nie pasowała do opłakującego bohaterów tłumy. Jej miejsce znajdowało się wśród oprawców, wszak jeszcze kilka dni temu chodziła ubrana dokładnie tak

jak oni, mówiła dokładnie tak jak oni, robiła dokładnie to co oni. Nikt jednak nie miał odwagi powiedzieć jej tego w twarz, przynajmniej nie teraz.

Kiedy uroczystości na cmentarzu się zakończyły, grupy górników postanowiły odprowadzić rodziny zamordowanych do ich domów, na wszelki wypadek, aby żaden milicjant nie wpadł na jakiś głupi pomysł. Mało kto chciał towarzyszyć Żanecie i jej bliskim, znalazło się jednak pięciu chętnych gotowych iść na ulicę Góra Wyzwolenia. Początkowo szli w milczeniu, ale wreszcie któryś z nich zagadał Zeflika, który przez resztę drogi częstował się wyciąganymi w jego stronę papierosami, słuchał opowieści o tych dramatycznych kilku godzinach w jastrzębskich kopalniach, kiwał głową wtedy, kiedy powinien, splotał na ziemię, kiedy i górnicy splotali. Jak zawsze starał się zachować neutralność. Rozstali się pod domem, gdzie Zeflik zapraszał jeszcze na piwo, ale wszyscy odmówili.

– Pójdę się położyć – powiedziała Żaneta i nikt nie próbował jej od tego odwieść.

Zeflik usiadł przed telewizorem, Sabina zaszyła się w swoim pokoiku, a zatroskana Brydzia, jak zwykle w sytuacjach stresujących, postanowiła coś upichcić. Zastanawiała się, kiedy starsza córka zdecyduje się powiedzieć reszcie domowników, że niedługo ich rodzina się powiększy. W tym dziecku widziała nadzieję dla swojej córki, wierzyła, że macierzyństwo – wszystkie jego wzloty i upadki, dobre i złe strony – pomoże jej zapomnieć. Może uśmiech bobasa sprawi, że ból związany ze stratą stanie się znośny. Dziecko jednak powinno mieć ojca, szczególnie jeśli okaże się chłopcem. Który chłop jednak chciałby babę z dzieckiem? Chyba musiała się pogodzić, że jej ukochana pierworodna będzie samotną matką.

Żaneta długo nie mogła zasnąć. Wpatrywała się w swój brzuch, który już niedługo zacznie rosnać, aż nabierze rozmiarów piłki plażowej. Nie potrafiła wyobrazić sobie takiego życia, wdowy z małym, bezbronnym dzieckiem. Chciała zasnąć i już nigdy więcej nie otworzyć oczu. Odejść we śnie i w niebie spędzić całą wieczność z ukochanym. Żałowała, że samobójstwo jest grzechem śmiertelnym, bo gdyby było inaczej, to być może już wisiłaby na pasku od munduru. A teraz okazałaby się nie tylko samobójczynią, lecz także kimś dużo, dużo gorszym. Pomimo tego nieopisywalnego bólu nie potrafiłaby wziąć ze sobą własnego dziecka, nawet jeśli nadal było tylko zlepkiem komórek. Tym, co robi po jego narodzinach, nie miała teraz siły się przejmować, na to przyjdzie jeszcze czas. Wiedziała, że zawsze będzie mogła liczyć na wsparcie rodziców. Co by się nie działo, zawsze miała ich. Ich i Sabinę.

Jawa zmieszała się z latyfundiami Morfeusza. Zasnęła. Śniło jej się, że się obudziła. Wstała z wersalki i okazało się, że nie jest już w ciąży. A może nigdy nie

była? Brzuch miała idealnie płaski, tak jak kilka tygodni temu. Próbowwała wyjść z pokoju, ale drzwi okazały się zamknięte na klucz. Dziwne, pomyślała, przecież one nie mają dziurki od klucza. Spojrzała przez okno. Jakimś cudem grudniowy śnieg zniknął. Nie tyle, że stopniał w nocy i zaraz znowu napada. Nie mógł nawet spaść po raz pierwszy, bo niebo było czyste, bez najmniejszej chmury, a liście na drzewach zielone. Zaczęło się lato, jej ukochane, upalne lato. Otworzyła okiennice, do jej nozdrzy dotarł słodki zapach waty cukrowej, jej ulubionej słodkości, kiedy była berbeciem. Skoro drzwi się zbuntowały, postanowiła opuścić dom w inny sposób, a to, że jej pokój znajdował się na piętrze, nie miało żadnego znaczenia. Sfrunęła jak na skrzydłach, których przecież nie miała, jej stopy delikatnie dotknęły mokrej od rosy trawy. Próbowwała zlokalizować sprzedawcę waty cukrowej, ruszyła więc za wonią.

Mężczyzna stał na łące pełnej hiacyntów, a w każdym razie nie dostrzegała na niej żadnego innego kwiatu. Co rusz zrywał po kilka z nich i dorzucał do waty cukrowej. Żaneta nigdy wcześniej się z czymś takim nie spotkała, ale nie wydało jej się to ani trochę dziwne. Sprzedawca waty był bardzo podobny do jej męża, ale trochę grubszy i pewnie ze dwa razy starszy. Kiedy się uśmiechnął, w jego rysach twarzy zobaczyła kogoś jeszcze. Zobaczyła siebie. Chciała coś powiedzieć, lecz sprzedawca przyłożył palec do ust. Czekwała, aż ukręci porcję waty z hiacyntami, ale zanim zdążyła skosztować słodkiego specjału, otworzyła oczy.

Znowu była zima, a ona leżała w łóżku smutna, samotna i nieszczęśliwa. Po chwili usłyszała walenie do drzwi i założyła, że właśnie to ją obudziło. Rodzice musieli być w pracy, a Sabina w szkole, chyba że znowu gdzieś wagarowała i paliła papierosy ze starszymi od niej chłopakami. Żaneta zwlekła się z łóżka i powoli podeszła do drzwi wejściowych. Kiedy je otwierała, ten po drugiej stronie znowu w nie walił. Dobrze, że nie ma matki, bo dostałaby białej gorączki, pomyślała.

– Jesteś sama?! – zapytał zziębnięty, opatulony w szal i czapkę mężczyzna.

Przestraszyła się tak nagłego i bezpośredniego pytania i już chciała zamykać drzwi, kiedy gość zerwał ze swojej twarzy szal. Wtedy go poznała. Marian Macura, najlepszy i chyba jedyny prawdziwy przyjaciel Hiacynta, świadek na ich ślubie. Nie było go na pogrzebie, założyła, że musi się ukrywać przed milicją.

– Cześć, Maniek. Miło cię widzieć – przywitała się, zaskoczona.

– Żaneta, mam mało czasu. Jest ktoś w domu oprócz ciebie?

– Rodziców nie ma, a Sabina? Być może, mogę sprawdzić. Skąd takie pytanie? Wejdz, nie będziemy przez próg rozmawiać.

Marian skorzystał z propozycji, wnosząc ze sobą chłód grudniowego poranka. Kiedy ściągał kurtkę, Żaneta poszła zapukać do pokoju siostry, a kiedy nie

doczekała się żadnego odzewu, otworzyła drzwi. Pusto. I śmierdziało papierosami. Matka ją kiedyś zamorduje, pomyślała.

– Nikogo, Maniek. Z czym przychodzisz?

– Żaneta, gdzie są rzeczy Hiacynta?

– Rzeczy? – odpowiedziała pytaniem, zdziwiona. – W sensie jego ubrania?

– Jego prywatne rzeczy! Kiedy się tu przeprowadzał, mówił ci o jakichś ważnych papierach?

– Nie, nie mówił. Nigdy żadnych papierów u niego nie widziałam.

– Poszukaj ich, błagam. Mam naprawdę mało czasu. Joachim chce je z powrotem. I to nie była prośba.

– Tak jakby on kiedykolwiek o coś prosił. Dobrze, poszukam ich później i zadzwonię do...

– Nie! – zaprotestował Marian. – Nie później, Żaneta. Teraz, w tej chwili. Joachim powiedział, że jeśli zaraz z nimi nie wrócę, to jutro przyśle tu pięciu ludzi i sami sobie ich poszukają.

– Maniek, co ty wygadujesz? – przestraszyła się Żaneta. – Przyśle? Ludzi? Wiesz, jak to brzmi? Jakich ludzi?

– Ludzi z Szychty. Groźnych ludzi. Żaneta, gdzie są te listy?

– Nie wiem! Nigdy nie słyszałam od Hiacynta o żadnych listach! To jest groźba? Chyba ten... – Chciała powiedzieć wariat, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. – Chyba Joachim nie każe mnie skrzywdzić?

– On ciebie nienawidzi i zawsze będzie nienawidził. Dla niego to ty zamordowałaś Hiacynta. On nie widzi różnicy, mundur to mundur.

Maniek przełknął ślinę, a jego rozbiegany wzrok krążył po całym mieszkaniu, tak jakby miał w oczach rentgen i za jego pomocą szukał tajemniczych listów.

– Ale swojego wnuka – powiedziała po chwili Żaneta – chyba nie skrzywdzi, prawda?

– Co? – zdziwił się Maniek. – Jakiego wnuka?

– Jestem w ciąży. Drugi miesiąc. Hiacynt zostałby ojcem, a Joachim będzie, niestety, dziadkiem – powiedziała przez zęby. Musiała się bardzo starać, żeby się nie rozkleić.

– Ja pierdołę... Żaneta, musisz stąd uciekać! Teraz, zaraz!

– Maniek, uspokój się! Przestań, bo zacznę się bać!

– To bardzo dobrze, strach przed Szychtą jest jak najbardziej wskazany.

– Przed Szychtą? Hiacynt zawsze mówił mi, że to takie kółko historyczne, gdzie zbierają się miłośnicy ziemi śląskiej.

Maniek się zaśmiał.

– Ha! Dobrze to sobie wymyślił – zauważył. – Miłośnicy ziemi śląskiej to bardzo delikatne określenie, Żaneta. Szychta to coś więcej. Dla Joachima Szychta

jest wszystkim. Wszystkim, rozumiesz? On ci nigdy nie wybaczy, nigdy. Skoro nosisz jego wnuka... wrzuć te listy do pieca i uciekaj!

Żaneta musiała się uszczypnąć. To wszystko wyglądało na jakiś sen, który płynnie zamienił się w koszmar.

A potem zadała jeszcze jedno pytanie. Maniek, nerwowo patrząc na zegarek, postanowił na nie odpowiedzieć najlepiej, jak potrafił.

ROZDZIAŁ 21

Joachim Wojnar klęczał w kościele i bił się w pierś tak mocno, że kobieta modląca się obok otworzyła oczy i zerknęła na niego ze zdziwieniem. Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina.

Wojnar od pogrzebu swojego syna nie mógł spać. Wiedział, co mówią ludzie, a jeszcze lepiej wiedział, że zaraz przestaną. Nie lubił być na językach tych, którzy nie mówili o nim dobrze. Ale miał możliwości, żeby te języki usunąć. Szychta nie wybacza nawet najmniejszej zniewagi. Nigdy. Wojnar założył Szychtę, kiedy miał zaledwie dwadzieścia lat. Karmiony przez matkę opowieściami o wielkich osiągnięciach ojca, którego nigdy nie poznał, Joachim pragnął być taki jak on. Bohaterem powstań śląskich. Wielkim wojownikiem. Pragnął umrzeć dla lepszej sprawy, dla swojej ojczyzny. Jego ojczyzną nie była Polska, lecz Śląsk. Nie uznawał rządu, nie po tym, co te czerwone karaluchy zrobiły przyjacielowi jego ojca, Mikołajowi Witczakowi juniorowi. Jednocześnie nienawidził słabości, jaką wykazał się były już dowódca powstań.

Optyka Joachima zmieniła się radykalnie wtedy, kiedy otrzymał od matki prezent. Pakunek, który wcześniej przeszedł z rąk Witczaka do rąk Ottona, jego ojca. Pakunek pełen listów, po których lekturze Joachim zrozumiał, że w jego żyłach płynie inna krew – wyjątkowa – a on sam przyszedł na świat po to, żeby tworzyć rzeczy wielkie. Żeby jednak tworzyć, najpierw trzeba burzyć, wszak najlepiej buduje się na gruzach poprzedniego systemu. Początkowo w Szychcie znajdował się jedynie on sam oraz przyjaciel ze szkolnej ławki, który niemal od urodzenia był urabiany przez rodziców na księdza. „Dobrze – mówił mu Joachim.

– Przyda nam się kapelan, który będzie doskonale rozumiał nasze przeznaczenie. Dzięki tobie ludzie pójdą za nami z Bogiem na ustach i jasnym celem w sercu”. Nie mylił się. W kraju, a tym bardziej na Śląsku, nie działało się dobrze, więc rewizjonistyczne wizje Wojnara trafiały na podatny grunt. Organizacja, głównie dzięki księdzu, rozrastała się szybko. Z każdym kolejnym słowem, które Joachim wypowiadał do członków Szychty, rodził się śląski nacjonalizm.

– Powinniśmy być dumni z naszej ojczyzny! – perorował. – A jest nią Śląsk! Nie zepsuta, patologiczna Polska! Powinniśmy być dumni z naszej kultury, z naszych obyczajów, z naszej śląskiej krwi!

– Gorole raus! – krzyczało zebrane w kościelnej salce towarzystwo.

– Dokładnie! Na Śląsku nie ma miejsca na rządy obcych. Kiedyś chcieli nas zmieniać Niemcy, zawszone prussactwo! Teraz ci farbowani Polacy, ruskie ladacznice! Ale my się nie damy. Tylko my, drodzy kamraci, tylko Szychta może powstrzymać to plugastwo! Koledzy, mam wizję! Jasną wizję. Od małości idzie ze mną jedno hasło. Mam nadzieję, że kiedy wypowiem to hasło za czas jakiś i podejdzie do mnie mój wnuk, to odpowie: „Dziadziuś, ale myśmy ich wszystkich zatłukli”. Wiecie, koledzy, jakie to hasło?

– ŚMIERĆ WROGOM ŚLĄSKA! – ryknęli zebrani.

– Dokładnie! A wiecie, kto jest wrogiem naszej ojczyzny? Richard Nixon!

– Na pohybel!

– Wrogiem naszej ojczyzny jest Nikita Chruszczow!

– Na pohybel!

– Wrogiem naszej ojczyzny jest każdy śmieszny polaczek będący na sznurku tych ludzi! Józef Cyrankiewicz! Stefan Ignar! Aleksander Zawadzki! Budowniczy kraju?! To są wszystko marionetki, które chcą sprzedać Polskę! I niech sobie sprzedają, ale od Śląska wara!

– Wara od nas! Raus!

– Nie bójcie się władzy! Nigdy nie bójcie się tych sprzedawczyków, ich służb, tych zabawnych milicjancików, którzy nie potrafią samodzielnie myśleć! Możecie pluć w ich plugawe pyski! Kiedy w końcu będziemy mieli władzę w naszych rękach, to wszystkich zdrajców ziemi śląskiej rozliczymy! Nasi przywódcy będą mieli ogromne prerogatywy! Wszystkich tych kolaboracjonistów czeka Targowica!

– Brawo! Wojnar na prezydenta Śląska!

– Na króla! Król Wojnar pierwszy!

– Nie, koledzy, nie! Ja od rządzenia nie jestem i nigdy nie będę. Ja i wy będziemy od walki! Walki zbrojnej i ideologicznej! Nie osiągniemy tego dziś, nie osiągniemy tego jutro! Może i nie osiągniemy tego za dziesięć lat! Ale wiem, czuję to w moim śląskim sercu, że ten czas w końcu nadejdzie! Autonomia dla Śląska!

– Wolny Śląsk!

– GOROLE RAUS!

Przez ponad dekadę Joachim Wojnar zbierał prekursorskich wyznawców swoich faszystowskich idei. Każdy nowy członek Szychty musiał mieć minimum szesnaście lat i poręczenie od co najmniej trzech innych ludzi Wojnara. Każdy z nich składał ślubowanie, a pod jego skórą musiał pojawić się tusz. Symbolem Szychty zostało górnicze godło, kupła. Skrzyżowane żelazko i pyrlik, a pod nimi wieniec laurowy, symbol zwycięstwa. Między jednym a drugim liściem tatuator zawsze umieszczał literę „S”.

– Uroczyście ślubuję – powtarzali po Wojnarze członkowie Szychty – rzetelnie i sumiennie wykonywać obowiązki wobec Śląska, strzec jego interesów, czynić wszystko, co niezbędne dla pomyślności ziemi śląskiej i jej mieszkańców. Ślubuję, że jeśli będzie trzeba, umrę dla sprawy śląskiej, mając ją w sercu do końca mych dni. Niech żyje Śląsk! Niech żyje Szychta!

Spotkania Szychty przez długi czas polegały jedynie na gadaniu, snuciu dalekosiężnych planów, w których Śląsk wyrasta na europejską potęgę industrialną, a reszta Polski gnije w biedzie, stając się państwem z błota i kartonu. Aż w końcu Śląsk wchłania i te tereny, poddając polaczków indoktrynacji absolutnej. Okazało się, że retoryka Wojnara trafiła na podatny grunt. Ślązacy z dziada pradziada ani myśleli być Polakami, a tacy jak oni zawsze woleli działanie od czczych gadek. W końcu Szychta faktycznie stała się organizacją zbrojną i niebezpieczną.

Jeden z jej pierwszych członków miał problem ze swoim pracodawcą, człowiekiem, który przyjechał na Śląsk z Warszawy i prowadził tu kilka małych piekarni. Pracodawca zalegał z wypłatą, a piekarz, pan Buzek, tracił już do niego cierpliwość. Cwaniak sam był członkiem i gorliwym wyznawcą PZPR, a jego brat znał ludzi z Komitetu Centralnego. Należnych pieniędzy nie dało się wyegzekwować po dobroci, więc Wojnar uznał, że to dobry powód do przejścia z czczych gadek do działania. Któregoś wieczoru wracającego z popijawy u przyjaciela warszawiaka napadło kilku zamaskowanych mężczyzn. Wojnar wysłał największych, najbardziej rośłych członków Szychty, którzy połamali właścicielowi piekarni obie nogi, a gdyby nie reakcja przypadkowego przechodnia, zrobiliby to samo z rękami. Pieniądze dla Buzka, a także dla wszystkich pozostałych pracowników znalazły się już kolejnego dnia. Przyniosła je żona połamanej właścicielki piekarni. Kajała się i przepraszała za zachowanie męża. Już nigdy nie spóźnili się z wypłatami. Rzeczywistą sławę Szychta zdobyła jednak dużo, dużo później.

Kiedy w Jastrzębiu-Zdroju ruszyły kopalnie węgla, a ludowy plan dla Polski sprawił, że jak grzyby po deszczu wyrastały nowe osiedla mieszkaniowe, pierwsze z nich zostało nazwane Przyjaźń. Wraz z napływem nowych mieszkańców

przybywało w mieście ludzi religijnych. Mieszkańcy osiedla należeli do parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Zdroju, a do świątyni mieli bardzo daleko. Proboszcz, ksiądz Anzelm Skrobol, przejął się bardzo nie tylko odległością i ciasnotą w zdrojowym kościele. Martwił się o dzieci, które musiały przemierzać kilometry wzdłuż ruchliwych ulic, żeby móc wziąć udział w katechizacji. Ksiądz, niczym dobry pasterz, próbował wszelkimi sposobami uzyskać pozwolenie na budowę nowego przybytku pańskiego, ale władza ludowa nienawidziła wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z jakimkolwiek bóstwem. Bóg, Zeus, Jahwe, Budda, nieistotne. Żadna z tych person nie miała prawa bytu w socjalizmie. Wszystkie wnioski o budowę dostały decyzję odmowną bez możliwości odwołania się. Ksiądz Anzelm był jednak łebskim i zmotywowanym człowiekiem. No i miał znajomych w Szychcie.

Joachim Wojnar, usłyszawszy o problemie księdza – sam był przecież gorliwym katolikiem – od razu rozpuścił wśród ludzi wici. Plan okazał się genialny w swej prostocie – ktoś, kto posiadał kawałek ziemi, miał wystąpić o pozwolenie na budowę czegoś, co potajemnie będzie mogło funkcjonować jako kaplica. Szybko udało się znaleźć i miejsce, i religijną rodzinę, która – wiele w tamtych czasach ryzykując – postanowiła pomóc w ważkiej dla kościoła sprawie. Na polu państwa Szotków miały stanąć pomieszczenia inwentarskie razem z pralnią i garażem, a wszystko zaprojektował zaprzyjaźniony z Szychcą architekt. Budowa zakamuflowanej kaplicy rozpoczęła się w sierpniu 1971 roku. Joachim Wojnar, wściekły na antyklerykalne decyzje urzędników, rzucił wszystkie siły Szychty, żeby tylko pomóc księdzu Anzelmowi. Dla niewtajemniczonych byli oni tylko kółkiem historycznym zajmującym się przeszłością ziem śląskich. Członkowie organizacji nie tylko pomagali przy samej budowie, lecz także odstępowali własne – wtedy przecież bardzo ograniczone – materiały budowlane, pomagali w ich transporcie, a wieczorami pełnili wartę. Na wszelki wypadek, gdyby się wydało, jakie będzie prawdziwe przeznaczenie budynku. Przez równo sto dni, bo tyle trwało całe tajemnicze przedsięwzięcie, nikt nieodpowiedni nie dowiedział się o prawdziwym celu budowy. A w połowie listopada ku wielkiemu zdziwieniu władz rozpoczęły się nabożeństwa. Na odpowiedź długo nie trzeba było czekać, bo mimo protektoratu Szychty wodziśławska milicja i prokuratura zaczęły szykanować i poddawać represjom ludzi związanych z budową kapliczki. Synów państwa Szotków przeniesiono w kopalni na gorsze, dużo mniej płatne stanowiska. Niektórych członków Szychty pracujących przy budowie powołano do wojska, innym odebrano rentę inwalidzką. Najważniejsze jednak, że nikt nie puścił pary z ust. Kapliczka mogła równie dobrze w magiczny sposób pojawić się w nocy i zająć miejsce budynku gospodarczego. Alleluja, cuda, cuda, ogłaszajcie!

Przesłuchania trwały tygodniami, a kiedy w końcu rozpoczął się proces sądowy, zdecydowano, że główną winowajczynią jest gospodyni Zofia Szotek. Ze względu na jej wiek i stan zdrowia łaskawa władza zamieniła areszt na karę grzywny. Kwota przyprawiła biedną kobietę o palpitanie. Na szczęście nigdy nie musiała jej zapłacić. Nękania nie ustawały, panią Zofię regularnie odwiedzali funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, aż w końcu przyjechali z gotowym do podpisu dokumentem. Poczciwa kobieta zgadzała się w nim na rozbiórkę urągającej prawu budowlanemu i grożącej przecież zawaleniem kaplicy. Na szczęście w porę zareagowali w dalszym ciągu pilnujący budynku członkowie Szychty. Wpadli w taką furję, że przewrócili czarną wołgę na dach, a kiedy funkcjonariusze SB wybiegli z domu pani Szotek, przywitały ich ciosy i kopniaki. Uciekli, a po wołgę musiała przyjechać pomoc drogowa.

Wojnar wiedział, że po tym incydencie będzie tylko gorzej. Wiedział, że przyszedł czas na radykalne środki i rozwiązania. Prokurator zajmujący się sprawą kaplicy miał dwójkę dzieci, syna i córkę. Kochał ich bardzo, tak jak ojciec powinien kochać swoje potomstwo. Któregoś pięknego dnia żona prokuratora zaczęła się zamartwiać, bo dzieciaki długo nie wracały ze szkoły. Nigdy wcześniej nie sprawiały problemów ani nie chodziły nigdzie po lekcjach. Do wieczora prokurator bagatelizował problem. Chwilę przed dwudziestą drugą ktoś zapukał do drzwi ich mieszkania. Kiedy kobieta je otworzyła, zobaczyła na wycieracze małe pudełko. Podniosła je i otworzyła, a jej krzyk przyprawił prokuratora o dreszcz. W środku było mnóstwo krwi i dwa małe palce odcięte od dłoni ich dzieci. Następnego dnia okazało się, że z kapliczką nie ma już żadnego problemu. Nikt nie nękał państwa Szotków, księdza Anzelma ani żadnego innego jastrzębianina zaangażowanego w jej budowę. Dzieci prokuratora odnalazły się dopiero tydzień później. Brudne i głodne włóczyły się po okolicznym lesie. Każdemu brakowało małego palca u prawej dłoni.

Po kilku latach na ziemię państwa Szotków przeniesiono zabytkowy kościół z Jedłownika, a budynek kaplicy przystosowano tak, aby mógł służyć za probostwo. Ksiądz Anzelm podziękował Joachimowi Wojnarowi, ale już nigdy nie poprosił go o jakąkolwiek pomoc. W ogóle nie zamienił z nim więcej ani słowa.

Wojnar wiedział, że nie wszyscy są jeszcze gotowi, nie wszyscy zrozumieli, jakie metody należy stosować, żeby osiągnąć upragniony cel. Należało iść po trupach, nawet jeśli miałyby to być trupy dzieci wroga. Przecież one kiedyś podrosną, dojrzeją. Staną się kolejnymi pijawkami, które należy oderwać siłą od ziemi śląskiej.

Po akcji z kaplicą organizacja Wojnara często była proszona o różne przysługi. Komuś należało coś wyperswadować. Może czasem coś złamać albo chociaż złamaniem postraszyć. Szychta rozrosła się na tyle, że Wojnar i jej członkowie

stali się praktycznie nietykalni. Dopiero wprowadzenie stanu wojennego ukróciło działania Joachima, który pierwszy raz w życiu musiał uciekać. Potrafił się z tym pogodzić, bo wiedział, że prędzej czy później wróci i zaatakuje wroga ze zdwojoną siłą. Prędzej czy później Śląsk, taki, jakim on chciałby go widzieć, zatriumfuje. Nie mógł pogodzić się jednak ze stratą syna. Wiedział, że Hiacynt oddała się od niego i, co jeszcze gorsze, od sprawy śląskiej z powodu tej milicyjnej kurwy. A teraz przez działania podobnych jej totumfackich Hiacynta już nie było. Przynajmniej zginął tak, jak powinien zginąć prawdziwy mężczyzna – w walce o zasady i lepsze jutro. Teraz najważniejsze to odzyskać listy, a kiedy będą już w jego rękach, wymierzyć karę. Szczególnie Żanecie Borowskiej. Za syna. Za to, że wzięła jego nazwisko i splamiła je, zakładając ten przeklęty mundur.

Wstał z kolan i w asyście kilku swoich najbardziej zaufanych ludzi szybko opuścił kościół i wsiadł do białego wartburga 353. Chwilę wcześniej kierowca przykręcił do niego tablice rejestracyjne ukradzione zeszłej nocy. Ruszyli, a Wojnar przez całą drogę wyobrażał sobie, jak wyglądałaby jego synowa bez wszystkich kończyn.

ROZDZIAŁ 22

– To tak w bardzo dużym skrócie, Żaneta – podsumował swoją opowieść Maniek. Cały czas rozglądał się po pokoju, jakby zaraz zza szafy czy komody miał wyskoczyć sam diabeł. – To nie są żarty, nigdy nie były. Masz gdzie się wynieść? Gdzieś, gdzie będziesz bezpieczna?

– I Hiacynt... Hiacynt również robił te wszystkie rzeczy? – zapytała dziewczyna, powstrzymując łzy. – On również był taki brutalny?

– Kobieto! – zirytował się Maniek. – To już nie ma żadnego znaczenia! Żadnego, rozumiesz? Hiacynta już nie ma, ale ciebie i twoje dziecko jeszcze da się uratować! Słuchaj mnie uważnie. Czy masz gdzieś znajomych albo rodzinę, miejsce, gdzie mogłabyś się zatrzymać?

– Mama ma siostrę w Zabrze...

– Za blisko. Gdzieś poza Śląskiem?

Żaneta zastanawiała się nad odpowiedzią, ale co rusz łapała się na tym, że w jej myślach pojawia się Hiacynt. Teraz jednak zupełnie inny niż ten, którego znała. Którego myślała, że zna. Jeśli on był taki sam jak jego ojciec, to jakie będzie to nienarodzone dziecko?

– Hej! – krzyknął Maniek, chwycił ją za ramiona i nią potrząsnął. – Skup się!

– Nie. To znaczy tak, skupiam się. Próbuję. Maniek, nie mam. Nie mam nikogo takiego.

– Dobra – powiedział po chwili i westchnął. – Dobra, daj mi godzinę. Za godzinę masz być spakowana, rozumiesz? Weź tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Powiedz rodzinie, że masz dosyć i musisz stąd uciec, że wszystko przypomina ci

męża. I ani słowa o Szychcie, rozumiesz? Tylko narazisz ich na niebezpieczeństwo. Obiecujesz mi, że się spakujesz? Żaneta! Obiecuj mi!

– Tak – odpowiedziała szeptem.

Nie miała siły dłużej się powstrzymać. Usiadła na podłodze i zaczęła łkać. Bardzo chciała coś jeszcze powiedzieć Mańkowi, ale głos uwiązł jej w gardle. Chłopak popatrzył na nią i przez moment nawet chciał ją przytulić, ale wiedział, że to wszystko może poczekać. Zamiast tego wybiegł z domu, krzycząc na odchodne, że Żaneta ma tylko sześćdziesiąt minut.

Nie wiedziała, ile z tego czasu zmarnowała, lamentując na podłodze. Ocknęła się z czarnej melancholii, gdy usłyszała, że ktoś wrócił do domu. Sabina. Pewnie znowu postanowiła opuścić kilka lekcji, które nie do końca jej odpowiadały.

– Hej, siostrzyczko – przywitała się Sabina. – Nie płacz, proszę... A może i płacz. Może to ci jest teraz potrzebne. Mogę cię przytulić?

Nie uzyskała odpowiedzi, ale i tak usiadła obok, a po chwili objęła Żanetę ramieniem. Starsza Borowska wreszcie przestała płakać, spojrzała na siostrę i powiedziała jej wszystko. Nawet to, czego nie powinna. Sabina zawsze była tą odważniejszą, bardziej bojową z sióstr, nigdy nie brakowało jej animuszu i śmiałości. Zerwała się na równe nogi i zaczęła wyciągać z szaf ubrania należące do Żanety.

– Co ty robisz? – zapytała milicjantka, pociągając nosem.

– To, co ty powinnaś zacząć robić już dobrą chwilę temu. Pakuję cię. Gdzie jest jakaś walizka?

– Sabina, ale... ale ja nie chcę nigdzie jechać. – Żaneta wytarła nos w rękaw swetra.

– Ja też wolałabym, żebyś tu została, choć jesteś najbardziej denerwującą starszą siostrą, jaką tylko można sobie wyobrazić. Ale – Sabina zrobiła pauzę, żeby podstawić sobie krzesło i ściągnąć z szafy walizę – mimo wszystko lepiej, żebyś była żywa niż martwa. Ty i bobas. Ufasz temu Mańkowi?

– Nie wiem. Ja nie ufam już nawet sobie.

– I słusznie. Przecież on może tu wrócić i wywieźć was gdzieś do lasu. Naprawdę nigdy nie widziałaś tych listów?

– Nie! Nie mam pojęcia, co jest w nich tak ważnego i dlaczego Joachim tak bardzo chce je odzyskać.

– Jak znam twojego teścia, może w nich być wszystko. To nie jest zbyt... stabilny człowiek. Emocjonalnie.

– Wiem! Dlatego tak bardzo się boję, że to wszystko prawda.

– Dobra, muszę zadzwonić. Pakuj się!

– Przecież to robię!

– To pakuj się szybciej! O której wyszedł przyjaciel Hiacynta?

– Nie mam pojęcia. Sabinka, ja...

– Posłuchaj mnie chociaż raz. Pakuj manatki! Proszę cię! Niech to ja choć raz będę tą, która wyciąga z kłopotów, a nie w nie wpada.

Sabina zamknęła drzwi od pokoju siostry i pobiegła do telefonu. Miała nadzieję, że będzie w domu. Musiał być, chyba że kłamał.

– Halo? – odezwał się w słuchawce kobiecy głos.

– Halo, dzień dobry. Borowska Sabina z tej strony. Czy zastałam pana Piotra?

– Piotr leży z gorączką. Strasznie się, chłopina, przeziębził. Czy mogę coś przekazać?

– To bardzo ważne. Dzwonię ze szkoły, a pan Piotr musi to usłyszeć osobiście. To sprawa życia lub śmierci.

– No dobrze – odpowiedziała po krótkiej chwili kobieta. – Moment. Piotr! – krzyknęła chyba bardziej do słuchawki niż w głąb mieszkania. – Do ciebie! Mówi, że ważne! Jakaś Sylwia!

– Sabina.

– Sabina jednak! Co?! Mówi, że już idzie.

– Bardzo dziękuję.

Kiedy Piotr podszedł do telefonu, usłyszała jakieś szmery i przytłumione głosy. Widocznie zasłonił słuchawkę.

– Sabina! – syknął po chwili. – Czyś ty oszalała?! Dlaczego dzwonicz do mojego domu? Dlaczego rozmawiasz z moją żoną?

– Ciebie też miło słyszeć, Piotruś. Musisz coś dla mnie zrobić.

– Sabina, jestem chory. Czuję się fatalnie. I to pewnie przez ciebie, to ty chciałaś...

– Nie rozpędzaj się, Piotruś, bo żona się zorientuje. Mówiłeś, że masz brata w Poznaniu, prawda? Jacka?

– Tak, młodszego. Studiuje tam.

– Zdolny chłopak, pewnie tak jak starszy brat, prawda?

– Sabina, czego ty chcesz? Skąd w ogóle w tym wszystkim mój brat? Chyba nie zamarzył ci się...

– Ochłoń, bo ci serce stanie. Musisz za... – spojrzała na zegarek – za dziesięć minut podjechać pod mój dom. Musisz...

– Czy ty siebie słyszysz, dziecko? „Musisz”?

– Jakoś nie byłam dzieckiem, kiedy chciałaś, żebym...

– Cicho! Nawet o tym nie mów.

– Bo co? Bo ci stanie? Słuchaj, Piotruś. Musisz tu przyjechać i zawieźć moją siostrę do twojego brata, rozumiesz? Teraz, w tej chwili. I nigdy, przenigdy nikomu o tym nie możesz powiedzieć. Inaczej twoja piękna żona dowie się, co

robisz z uczennicami, którym nie do końca wychodzi mnożenie i dzielenie, ale za to mają bardzo wysoko rozwinięte zdolności manualne.

– Sabina, obiecałaś! Mówiłaś, że nigdy tego nie...

– Wiem, że mówiłam. Ale rodzina jest najważniejsza, Piotruś. Dziesięć minut. Czekamy.

Żaneta nie zadawała żadnych pytań, chyba nawet nie chciała ich zadawać. Spakowały ją razem do końca i przez okno wypatrywały czerwonego fiata 126p należącego do nauczyciela matematyki. Nie spóźnił się, po ośmiu minutach na podjeździe dało się słyszeć dźwięk silnika.

– Leć, Żanetka. Nie oglądaj się za siebie. Ja jakoś wytłumaczę rodzicom, co musiałaś zrobić. Nie narażę ich.

– A te listy...

– Poszukam. A jeśli znajdę, to od razu trafią do pieca, nie martw się. Może ten stary pierdziel Wojnar szybko umrze, może milicja go w końcu złapie. Wtedy będziesz mogła wrócić.

– Sabina, a jeśli wam coś zrobią? Jeśli was skrzywdzą?

– Nie skrzywdzą. Przecież my o niczym nie wiemy. Jedź, siostrzyczko. Kto wie, może będzie ci tam lepiej?

Sabina wyściskała starszą siostrę, która nie mogła powstrzymać łez. Siłą musiała wyprowadzić ją za drzwi i wpakować do samochodu. Piotrek faktycznie był chory, bo stale pociągał nosem i trząsał się z zimna. Sabinie zrobiło się go trochę żal; obiecała sobie, że jakoś mu to wynagrodzi – już nawet wiedziała jak. Cała operacja zakończyła się dosłownie w ostatniej minucie, bo już chwilę później do drzwi domu Borowskich zapukał Maniek.

– Tak? – zapytała Sabina, przeciągając się i udając zaspaną.

– Gdzie twoja siostra? Nadal jest w domu?

– A nie wiem. Obudził mnie pan. Żaneta! – krzyknęła do środka. – Jesteś?! Żanetka? – Ponownie spojrzała na Mańka. – Chyba jej nie ma.

– Na pewno?! A mogę sprawdzić? – Chłopak zaczął się irytować.

– W żadnym wypadku, drogi panie. Jestem sama w domu, a tatuś nie pozwolił mi wpuszczać nieznajomych. Swoją drogą, może właśnie poszła go odwiedzić? Może pan sprawdzić w zakładzie taty albo śmiało poczekać, ale na schodach. Zrobić herbaty?

Maniek odszedł bardzo niezadowolony, a Sabina usiadła w kuchni. Dopiero wtedy pozwoliła sobie na chwilę słabości, ale łyzy szybko zamieniła w działanie. Ktoś musiał znaleźć te pieprzone listy.

Drogę do Poznania pokonali w prawie całkowitym milczeniu. Ona nie chciała wiedzieć, gdzie dokładnie ją wiezie, a on nie reagował na jej częste wybuchy płaczu. Wysadził ją na poznańskich Jeźycach, niedaleko rynku.

– Piotruła! Tutaj! Piotrek!

Zauważyli biegnącego w ich stronę chłopaka. Mógł być w wieku Żanety, może trochę starszy. Jacek, młodszy brat Piotra, uśmiechał się od ucha do ucha. Mina zrzędała mu dopiero wtedy, gdy podszedł bliżej i zauważył zapłakaną, zmęczoną podróżną Żanetę.

– Hej, co się dzieje? – zapytał, ale dziewczyna tylko zwiesiła głowę.

– Mnie nie pytaj – odpowiedział przez nos Piotrek. – Była zmuszona uciekać ze Śląska, a ja musiałem jej pomóc. Nie chcę mieć już z tym nic wspólnego. Nie mogę mieć.

– Dlaczego? Co ona zrobiła? – Jacek wskazał głową na zmarnowaną Żanetę. Było mu jej żal, tym bardziej że kiedy podniosła głowę, zauważył, jak bardzo jest ładna.

– Nie wiem, Jacku. Może sama ci powie. Chodźmy do ciebie, zaraz zacznie się godzina policyjna.

– Niczego by nam nie zrobili. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Tak sądzę – powiedziała cicho Żaneta.

Spojrzeli najpierw na nią, a później po sobie, bardzo zdziwieni odważną deklaracją dziewczyny. Żaneta, widząc ich miny, wyciągnęła z płaszcza milicyjną legitymację i podała ją Jackowi. Chłopak długo patrzył na dokument, następnie podał go starszemu bratu.

– Nie wiem, co szokuje mnie bardziej – powiedział. – To, że jesteś z milicji, czy to, że jesteś z Wojnarów. Boże święty, Matko Boska, w co ja się wpakowałem... Jesteś z Szychty?

– Nie. Jeszcze rano nie wiedziałam, czym oni tak naprawdę są. To wszystko prawda? To, co się o nich mówi?

– Nie wiem. Oni są jak włoska mafia. Czytałaś *Ojca chrzestnego*? W Szychcie obowiązuje jakaś śląska omerta, zmowa milczenia. Kto ma wiedzieć, ten wie. A reszta? Słyszałem różne rzeczy. To przed nimi uciekasz?

– Najwidoczniej tak. Wczoraj pochowałam męża i...

– Zaraz! – krzyknął Piotr. – Jak mogłem być tak niedomyślny! To wszystko przez tę pieprzoną gripę. Ty jesteś... byłaś, moje kondolencje... synową starego Wojnara. Byłaś żoną Hiacynta!

– Przepraszam – wtrącił się coraz bardziej skonfundowany Jacek – ale czy możecie mi wyjaśnić, o czym, do cholery, mówicie? Chodźmy do środka, zapraszam. Zimno jak na Syberii.

Jacek Wolf mieszkał w kamienicy przy ulicy Dąbrowskiego, zaraz obok kina Rialto. W jego lokum było tyle książek, że śmiało mógłby z nich budować forty. Rozsiedli się w kuchni, a gospodarz postawił wodę w czajniku. Żaneta już trochę się uspokoiła, przestronne wnętrze działało na nią dużo lepiej niż ciasny mały fiat. Po sześciu godzinach w podróży czuła się nie tylko zmęczona, lecz także ścierpnięta. Zamknęła powieki i przeciągnęła się. Jacek patrzył na nią, dopóki na powrót nie otworzyła oczu. Pomyślał, że chciałby jej jakoś ulżyć, zaopiekować się nią.

– Czego się napijecie? – zapytał.

– Kawy. Czarnej.

– A dla ciebie, Żaneto?

– Herbatę, jeśli można. Gorzką.

– No, to już mamy coś wspólnego. – Jacek się uśmiechnął. – Ja również nie lubię cukru w ciepłych napojach.

Czekali w milczeniu, aż czajnik wyda gwizd, tak jakby dopiero wówczas można było zacząć rozmowę. Jacek zalał wodą kubki, postawił przed gośćmi. Pierwsza zaczęła mówić Żaneta. Nad każdym słowem długo się zastanawiała, tak jakby nie mogła ich używać bez ograniczeń. Jacek potrafił słuchać, nauczyło go tego studiowanie socjologii na Uniwersytecie Adama Mickiewicza. Marzyła mu się kariera naukowa, ale w tym politycznym klimacie kto wie, co będzie, a czego nie będzie można robić w przyszłości. Marzyła mu się też piękna dziewczyna, która być może kiedyś zostanie jego jeszcze piękniejszą żoną. Adorowałby ją każdego dnia, aż wreszcie przyszedłby czas, żeby powiększyć rodzinę. Chciał mieć kiedyś syna, dać mu na imię Wacław. Po dziadku, powstańcu wielkopolskim, w którego, gdy ten jeszcze żył, razem z bratem wpatrzni byli jak w obrazek. Pragnął razem z synem chodzić na ryby, uczyć go jazdy na rowerze i pływania, chciał go przytulać, kiedy wróci z podbitym okiem, i kibicować mu we wszystkim.

Nie spodziewał się, że jego marzenia spełnią się tak szybko.

ROZDZIAŁ 23

Brydzia chodziła po domu, przemierzając w kółko tę samą drogę, jak więzień na spacerunku. Zeflik palił papierosa za papierosem, a jedyne, na co było go stać, to kręcenie głową z niedowierzaniem. Myśleli, że Sabina żartuje, że to jakiś kolejny jej durny wybryk. I to na dodatek w takim momencie! Zeflik już ściągał pas, ale żona go powstrzymała. Znała swoje córki lepiej niż ktokolwiek i doskonale wiedziała, kiedy młodsza zmyśla i kłamie, wszak robiła to nader często. Tym razem w oczach Sabiny nie widziała zawadiackiego błysku, jedynie bezdenny smutek. Mimo wszystko nie chciała w to wierzyć, nie chciała i nie mogła. Jej ukochana Żanetka zniknęła, ot tak. To jeszcze potrafiła zrozumieć, ale serce pękało jej na myśl, że córka zrobiła to bez pożegnania. Bez ani jednego słowa, i to na dodatek w błogosławionym stanie.

– A co z jej pracą? – przerwał milczenie Zeflik. – Przecież to jest dezercja! Oni ją zabijają!

– Przestań tak gadać, durnoto! Nie myśl tak!

– Ale...

– Żadnego ale! Nie chcę o tym słyszeć! Sabinko, słonko, naprawdę nie wiesz, gdzie się wybrała? Powiedziałaś mi, prawda?

– Nie wiem – odparła Sabina, odwracając wzrok.

I wtedy matka nabrała pewności, że córka kłamie jak z nut. Czuła jednak, że nie wyjawi prawdy nawet na torturach. Nawet gdyby zmusili ją, żeby poszła na kolanach do Częstochowy i przez tydzień klęczała na grochu przed obrazem Najświętszej Panienki, nawet gdyby musiała przez cały ten czas biczować się

i modlić do Boga, w którego mówiła, że nie wierzy. Nic nie sprawi, że Sabina zdradzi siostrę. Brydzia z jednej strony chciała uderzyć ją w twarz, wydusić z niej informacje za wszelką cenę, bo przecież dobrze wiedziała, że dzieci nie kocha się tak samo, w rodzicielstwie nie istnieje równouprawnienie. Zawsze któreś z nich zajmuje więcej miejsca w sercu, zawsze któreś jest tym, które sprawia, że uśmiech sam się pojawia. W jej przypadku była to pierworodna Żanetka. Wcale nie chodziło o to, że wyszła z niej jako pierwsza. Z Żanetką nigdy nie miała problemów. Może i nie dała jej spać przez pierwszy rok życia, może i miała dokuczliwe kolki, a jej płacz zagłuszał wszystko i wszystkich. Nawet odkurzacz i suszarkę do włosów. Kiedy jednak podrosła, stała się cudownym, kochanym dzieckiem. Miłym, uprzejmym, pogodnym. Grzecznym i słuchającym rodziców – nigdy nie robiła czegoś, czego jej zabronili. Młodsza siostra była za to jej całkowitym przeciwieństwem. Małym diabłem, wysłanym na ziemię przez Lucyfera, żeby siać chaos i zniszczenie. Jako niemowlę prawie w ogóle nie płakała. Tak bardzo stresowało to Brydzię, że często sprawdzała, czy córka na pewno żyje. Sabina pozwalała jej się wyspać i chyba nigdy nie doświadczyła kolki, co z kolei poprawiało samopoczucie matki. Problemy zaczęły się, kiedy Sabina miała trzy lata. Już sam jej psotny uśmiech mówił, że zaraz coś zbroi. Była niczym wredny kot – chodziła po domu, czekała, aż ktoś zwróci na nią uwagę, i spychała różne rzeczy na podłogę, najchętniej szklane. Rzuciła jedzeniem w ściany, a któregoś dnia przeniosła całą zawartość lodówki do wanny, zalała wszystko ciepłą wodą i siedziała w tej brei, ciesząc się z uzyskanego efektu. Będąc już starszą dziewczynką, została postrachem ulicy Góra Wyzwolenia. Wdawała się w bójkę, a co więcej – sama je prowokowała. Uciekały przed nią nie tylko dzieci, lecz także okoliczne psy i koty, które uwielbiała ciągnąć za ogony. Kompletnie nie bała się konsekwencji. Widząc wyszczerzone kły, śmiała się, a zdziwione zwierzęta wołały odpuścić, niż mieć do czynienia z tym dziwnym, złowrogim stworzeniem. Jej faza na męczenie czworonogów stała się poważnym problemem, kiedy razem z Franiem, sąsiadem z ulicy, wsadzili petardę w koci odbył. Biedne zwierzę w wyniku wybuchu miało tak rozległe rany, że nie przeżyło.

Brydzia podejrzewała, że w Zeflikowym sercu córki zajmowały dokładnie takie same proporcje jak w jej. Na Żanetę nigdy nawet źle nie spojrział, ale w przypadku drugiej z dziewczynek sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Tutaj Zeflik był niczym bomba z lontem, który z roku na rok stawał się coraz krótszy, aż w końcu najmniejsze przewinienie Sabiny powodowało eksplozję. Brydzia wychodziła wtedy do innego pokoju, bo mimo wszystko nie mogła patrzeć, jak ktoś karze jej dziecko. Nawet to mniej kochane.

Gdy Sabina poszła do szkoły podstawowej, sytuacja jeszcze się pogorszyła. Dziewczynka zaczęła wagarować, a Zeflikowi regularnie znikwały papierosy, co

w końcu zauważył. (Dobrze, że nigdy nie zorientował się, że jego wódka nieraz została rozcieńczona). Nic nie dawały kolejne lania ani kary. Żaneta urodziła się, żeby żyć w zgodzie z systemem, Sabina – aby go niszczyć. Była światoburcą, niespokojnym duchem, dla którego zasady współżycia społecznego to jedynie ściany do zniszczenia. Była też diabelnie inteligentna i zmotywowana, jeśli oczywiście coś ją zainteresowało, a wyglądało na to, że w głowie miała miejsce jedynie na muzykę i chłopaków. Po podstawówce rodzice wysłali ją do technikum fryzjerskiego, z zamysłem, żeby to ona przejęła biznes Zeflika, kiedy przyjdzie na to czas. Któregoś dnia pokłóciła się o to z ojcem i wtedy pierwszy raz dostała od niego w twarz. Trudno się Zeflikowi dziwić, skoro obiecała ściągnąć majtki przed każdym nauczycielem, który jej się spodoba. Ojciec wpadł wtedy w furję i gdyby nie reakcja Żanety, być może pobiłby młodszą córkę do nieprzytomności. Żaneta stanęła między nimi po czwartym uderzeniu, zasłoniła siostrę własnym ciałem i się rozplakała. Chyba właśnie ten płacz uspokoił wściekłego ojca.

Relacja między siostrami okazała się dość sinusoidalna. Różnica wieku była na tyle duża, że nigdy nie bawiły się razem, a na początku Żanetka po prostu pomagała przy bobasie. Kilkuletnia Sabina stała się jej przekleństwem, bo to właśnie Żaneta stała się głównym celem chochlikowych planów. Starsza Borowska, podobnie jak reszta domowników, irytowała się na tego beboka w ludzkiej skórze, ale kiedy przyszło co do czego, każda z nich wykazywała prawdziwie siostrzaną miłość – jedna za drugą skoczyłaby w ogień. Dlatego właśnie Brydzia nie potrafiła być teraz zła na Sabinę, choć naprawdę tego chciała. Zbyt mocno imponowało to, że pomimo tylu różnic dziewczyny tak bardzo się kochają.

– Ktoś podjechał pod dom – przerwał rozmyślania Brydzi zaskoczony Zeflik. – Kogo to niesie o tej porze?

– Chyba w milicji jeszcze nie wiedzą, że uciekła? Co my mamy im mówić, kiedy zaczną dociękać?

– Prawdę – powiedziała Sabina. – Tylko prawdę. Że nie mamy pojęcia, gdzie, z kim i na jak długo.

– A dlaczego?

– To chyba każdy potrafi wywnioskować sam, mamó.

– Nie pyskuj do matki, gówniaro! – wściekł się ojciec i odpalając trzydziestego dziś papierosa, poszedł otworzyć drzwi.

Nie znał żadnego z trzech mężczyzn stojących przed nim. Weszli bez pytania, jeden z nich odepchnął Zeflika tak mocno, że ten potknął się o własne nogi.

– Hola! – krzyknęła Brydzia. – Co wy za jedni?! Co to za maniery? Męża mi tu proszę nie dotyka...

Odpowiedziała jej pięść, która wylądowała na jej nosie. Trzask łamanej kości przyprawił Sabinę o wymioty. Brydzia straciła przytomność. Zeflik próbował

zebrać się z podłogi, ale kop w twarz skutecznie go powstrzymał. Zalał się krwią. Mimo to próbował doczołgać się do żony. Jeden z napastników to zauważył i swoim ciężkim buciorem zmiażdżył mu prawą dłoń. Zeflik ryknął z bólu, złapał się za dłoń i zwinął w kłębek. Połamane palce zaczęły go palić żywym ogniem. Sabina obserwowała to wszystko z grobową miną. Strach, jakiś pierwotny lęk, zawładnął całym jej ciałem. Czuła, że jej majtki zrobiły się mokre, gardło miała ściśnięte.

– Zabrała je ze sobą? – zwrócił się do niej najwyższy z mężczyzn, ten, który jeszcze nie zniżył się do jakiegokolwiek przemocy. Miał niski, chropowaty głos.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparła z trudem Sabina. – Co zabrała?

– Ty idź na górę – powiedział do mężczyzny, który zaatakował Brydzię. – Przeszukaj dół – polecił drugiemu z towarzyszy – a ja pogadam z tą małą. Na osobności.

Był diabelnie silny, jednym ruchem ręki dźwignął Sabinę z podłogi i zaprowadził do pokoju siostry. Nigdy w życiu tak się nie bała. Nie lubiła swoich rodziców, trudno było ich lubić, ale nie chciała, żeby stała im się jeszcze większa krzywda. Szczególnie mamie, a ojciec... ojciec może dzięki temu zrozumie, że przemoc to niekoniecznie dobre narzędzie do wychowywania córek.

– Słuchaj, szmato – zwrócił się do niej przywódca napastników. – Jeśli nie chcesz, żebym cię wypatroszył, mów. Wszystko, jak księdzu na spowiedzi.

– Nie chodzę do kościoła.

– To zaczniesz. Uwierz, że zaczniesz. Bo tylko dobry Pan Bóg będzie mógł wam pomóc.

Złapał ją za gardło, a drugą ręką z łatwością zerwał z niej ubranie. Nie mogła wydać nawet jęku, wszedł w nią mocno i brutalnie. Nie wiedziała, co boli ją bardziej, ciało czy dusza. Oprawcy wyszli po ponad trzech godzinach, a pokój, w którym znajdowała się Sabina, odwiedzili jeszcze kilkakrotnie. Kazali jej robić rzeczy, których robić nie chciała. Bardziej jednak nie chciała umrzeć. Mimo wszystko.

To był dzień, w którym Borowscy przestali istnieć jako rodzina. Zeflik i Brydzia byli więcej niż pewni, że to wszystko jest robotą Służby Bezpieczeństwa, karą za dezercję. Matka Żanety nie mogła być na nią zła. Myślała, że wszystko, co zrobiła córka, zrobiła dla wnuczki. W kościach czuła, że będzie to kolejna dziewczynka. Niech chociaż jej się darzy. Niech chociaż ona dożyje normalnych czasów.

Zeflik musiał przejść skomplikowaną operację rekonstrukcji dłoni w katowickim szpitalu. Po powrocie do domu wciąż nie mógł pracować. Nie potrafił sobie znaleźć miejsca, całymi dniami włóczył się po Jastrzębiu-Zdroju, często godzinami patrząc w dal. Przestał przejmować się własną higieną. Z braku zajęcia zaczął pić. Nie potrzebował wiele czasu, aby to alkohol zajął miejsce

fryzjerstwa i zawładnął jego życiem. Potrafił upić się z samego rana, a resztę doby przespać na tapczanie. Z dnia na dzień stawał się coraz agresywniejszy, ale zazwyczaj fizycznie nie dał rady na nikogo podnieść ręki. Wyrzucał z siebie groźby bez pokrycia. Aż w końcu spełnił jedną z obietnic, tę najbardziej makabryczną. Sabina była w szkole, a Brydzia wyszła do pracy. Zeflik, zataczając się, ledwo wstał. Długo szarpał się z własnym paskiem od spodni. Wreszcie udało mu się go wyciągnąć, ale przez całą tę szamotaninę mężczyzna się przewrócił i na moment stracił przytomność. Ocknął się we własnych wymiocinach. Chciał wstać, ale oparł się na zoperowanej dłoni i przeszedł go spazm bólu. Starał się coś powiedzieć, ale sam nie wiedział, co chce mówić i do kogo. Wreszcie udało mu się wstać. Powoli sięgnął po pasek, ten sam, którym tyle razy wymierzył karę Sabinie, a następnie doczłapał do drzwi od łazienki. Długo męczył się z tym, żeby pasek mógł wymierzyć mu karę ostateczną. Usiadł, czując, jak uciska go w szyję. Kilukrotnie tracił przytomność, a za każdym razem widział, jak po domu chodzi Żanetka. Nie ta, która uciekła. Mała, słodka Żanetka, słońce jego życia. Żałował, że kiedykolwiek urodziło im się drugie dziecko.

Paradoksalnie to właśnie Sabina go znalazła. Widok martwego ojca w ogóle jej nie poruszył, ale na dobrą sprawę od dawna nie potrafiła okazywać emocji. Ona po prostu egzystowała, dryfując przez kolejne dni bez celu, niczym kra na morzu. Podniosła słuchawkę telefonu i zadzwoniła na milicję. Głosem wypranym z jakiegokolwiek barwy powiedziała, że jej ojciec chyba nie żyje. Zanim ktokolwiek przyjechał, do domu zdążyła wrócić Brydzia.

– Tata umarł – poinformowała ją ze spokojem córka.

Zapił się na śmierć, pomyślała Brydzia; obawa o to kiełkowała jej z tyłu głowy od dobrych kilku tygodni. To, co zobaczyła, okazało się daleko bardziej bolesne. Język na wierzchu i wyłupiaste oczy sprawiały, że chciała odwrócić od męża wzrok. Nie mogła jednak, bo to on był jej jedyną, prawdziwą miłością. Odkąd się poznali, wiedziała, że to mężczyzna stworzony dla niej. Kochała go pomimo bałaganiarstwa i czczych obietnic domowych remontów. Pomimo przemocy wobec Sabiny. Przecież zawsze kocha się pomimo. Kochała go nawet wtedy, kiedy wolała go nienawidzić.

Brygida Borowska zmarła równo miesiąc po mężu i nie było w jej śmierci nic dramatycznego. Wróciła z pracy, położyła się, żeby bolące z powodu żyłaków nogi mogły chwilę odpocząć, i wtedy po raz ostatni zamknęła oczy. Nie czuła żadnego bólu, a ostatnią jej myślą była ta o wnuczce. Tak, to na pewno będzie wnuczka. Piękna, tak jak jej Żanetka.

Sabina pochowała matkę, a na cmentarzu stała tak długo, aż grabarze poprosili ją, żeby wreszcie sobie poszła. Wciąż bardzo młoda dziewczyna nie miała zielonego pojęcia, co teraz zrobić. Może należało pójść drogą ojca? Nie wiedziała

tylko, czy ma na tyle odwagi, żeby się powiesić albo utopić. Gdyby tylko miała pistolet, to może nie tchórzyłaby przed dołączeniem do rodziców. Tylko strzał w głowę jawił się jako stuprocentowo skuteczne samobójstwo.

Tego dnia okazało się, że jeden z ludzi, przez których jej życie przestało mieć jakiegokolwiek kolory, miał rację w jednym. Tylko dobry Pan Bóg może jej pomóc. Włączyła się po Jastrzębiu, a w końcu nogi same zaprowadziły ją do kościoła pod wezwaniem Świętej Katarzyny. Weszła do świątyni i padła na kolana przed ołtarzem. Złożyła ręce i prosiła, błagała siłę wyższą o jakikolwiek znak, o bodaj najskromniejszą interwencję. Klęczała tam tak długo, aż sam proboszcz, ksiądz Emil Dyrda, poszedł sprawdzić, czy z tą dziwną dziewczyną aby na pewno wszystko w porządku. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Sabina była już dużo spokojniejsza.

- Przemówił do mnie – powiedziała do księdza, wstając z kolan. – Przemówił!
- Pan Bóg jest miłosierny. Czego szukasz, siostrze? – zapytał proboszcz.
- Ścieżki. Drogi. A on mi ją wskazał.
- I którądy ona wie?

Ale Sabina już nie odpowiedziała. Wyszła ze świątyni w pośpiechu, a mijający ją jastrzębianie mieli później rozsiewać plotki na temat mówiącej do siebie pod nosem wariatki. Na temat dziewczyny o demonicznym uśmiechu i najbardziej pustych oczach, jakie tylko można sobie wyobrazić.

LISTY IV

Droga,

cóżeś Ty uczyniła? Po tylu latach milczenia, po tylu latach spełnionej obietnicy – jak mogłaś? W chwili mojej największej słabości, kiedy wojna niszczy wszystko, co tyle lat budowałem, kiedy zdrowie moje z dnia na dzień coraz bardziej podupada? Jakież jest powód Twojej zdrady? Wytłumacz mi, błagam, bo pojąć tego nie mogę. Czy chodziło o pieniądze? Wiesz, że zawsze chciałem oferować pewne sumy pieniężne, żeby Tobie i dziecku Twemu niczego nie brakowało. Czym Berlińczycy Cię kupili, powiedz mi, błagam. Tylko Ty mogłaś wyjawić im naszą tajemnicę! Ty i tylko Ty! Musiałem przystać na wszystkie ich warunki, rozumiesz? Muszę sprzedać ukochane me uzdrowisko Towarzystwu Zdrojowemu po cenie, która może mnie zrujnować! Tyle lat pracy, wylanej krwi, potu, czasem też łez – i to wszystko na marne. Żałuję, teraz prawdziwie żałuję, że nie wydrapałem tego dziecka razem z Twoimi wnętrznościami. Żałuję szczerze i obiecuję Ci, że jeśli ktoś z Towarzystwa postanowi się tą informacją podzielić szerzej, to uczynię to, o czym kiedyś pisałem. Nie schowasz się nigdzie i nikt Ci nie pomoże. Oni szantażowali mnie, więc teraz ja odpłacę Tobie pięknym za nadobne. Jeśli bodaj słowo, plotka, jakakolwiek sugestia dotycząca Twojego syna zahaczy o moje nazwisko, radziłbym się pakować. Myślałem, że wiem, co to znaczy nienawidzić, ale dzięki Tobie odkryłem nowe pokłady tego uczucia. Liczę na to, że w końcu

piekło Cię pochłonie i dobry Pan Bóg odpowiednią karę wymierzy. Chyba że naprawdę z demonami spółkowałeś i na ich zlecenie działałeś. Mówiłaś mi kiedyś, że imię Twe znaczy „dobrze wróżąca”. Pytanie tylko: komu?

Najdroższy!

Jeśli kiedykolwiek miałeś nadzieję na to, że odrzucona i opuszczona kobieta od zemsty odstąpi, to głupiś niesłuchanie. Zemsta, mój Najdroższy, nie lubi pośpiechu. Zemsta nie lubi, kiedy dostaje za małą ofiarę. Nadal myślisz, Najdroższy, że służę demonom piekielnym, że z Lucyperem po nocach spółkuję? Odkąd stwierdziłeś, że Otton to nie syn Twój, jedyną mą boginią jest li tylko Pani Zemsta. Po cóż miałam Ci psuć reputację, skoro może i jest Ci droga, ale nie najdroższa w życiu? Po cóż miałabym rozbijać Twą rodzinę, skoro i ją miłujesz, ale nie najbardziej? To, co w Twym sercu najwięcej miejsca zajmuje, to ten przeklęty kurort. I teraz, Najdroższy, kurortu już nie masz. Umrzesz z wiedzą, że życie Tve cały sens swój straciło. Już byłeś w ogródku, prawda Najdroższy? Już witałeś się z gąską, czyż nie? Twa czujność przez lata została uszpienia, a ja czekałam i czekałam, aż wreszcie ma bogini dała posłuch mym modłom. Wyobraź sobie, Najdroższy, że posłańcy wiadomego towarzystwa od ponad roku szukali dobrego wyjścia z wiadomej sytuacji, aż wreszcie trafili na mnie. Wiesz, co dostałam za wyjawienie tajemnicy naszej? Wiesz, co było moją ceną? Wiesz, jaki miałam warunek? Otóż, Najdroższy, nie dostałam nic, bo na niczym mi nie zależy. Wystarczy satysfakcja z upadku Twego i list Twój poprzedni, bo mogę sobie imaginować, jak bardzo rozeźlony byłeś, go kreśląc. Syn Twój, jeśli Cię to interesuje, o tajemnicy naszej nie dowiedział się. Suponujesz dlaczego, Najdroższy? Bo mieć takiego ojca, jakim jesteś Ty, to straszne wstyd i sromota.

Niech piekło Cię pochłonie, Mikołaju. Ciebie i wszystko, na czym kiedykolwiek Ci zależało.

*Twoja na zawsze
Eufemia*



**CZĘŚĆ V
TERAZ**

ROZDZIAŁ 24

Teraz był już tego pewien na dwieście procent. Symulacja zaliczyła absolutną klęskę, reptilianom przestało się chcieć. Zanim postanowili zakończyć eksperyment pod nazwą Gatunek Ludzki 1.0, odpięli wrotki, aby się zabawić człowieczym losem. Naciskali wszystkie możliwe guziki na swoim gadzim sprzęcie.

Tak, dokładnie to musiało się stać, pomyślał Waław, kiedy na moment odzyskał przytomność. Jakkolwiek absurdalnie by to nie brzmiało, nasuwało się jako najbardziej logiczne wytłumaczenie zdarzeń z ostatnich dni, a może i całego jego życia. Przypuszczalnie Waław jest ich ulubionym królikiem doświadczalnym, a reptiliański programista odpowiedzialny za jego kod źródłowy to niezły błazen. Pewnie patrzy teraz w jakiś futurystyczny wieloekran, popija ichniejszego monstera pełnego ichniejszej kofeiny, siedzi wygodnie w fotelu z dziurą na ogon i zaśmiewa się w głos, a potem przywołuje kolegę z boks obok, żeby popatrzeć z nim na tego przegrywa.

– Zobacz tego debila, Y Æ B-2137 – mówi do kumpla programisty o niewymawialnym przez ludzi imieniu. – Zobacz, jak mu spieprzyłem życie! Pa na to! Pa, jak się miota! No nie mogę!

– Faktycznie – odpowiada Y Æ B-2137 w chwili, gdy Waław znów dostaje cios w głowę – co za debil! Pokażesz mi, jak się takich pisze? Odpalę sobie prywatną symulację w domu. Synek się ucieszy!

Tak, właśnie to się stało z jego życiem. Pieprzeni reptilianie i ich pieprzone, durne pomysły. Może kiedy odpalą symulację w wersji 2.0, to wrzucą jego jaźń do

modelu jakiegoś miłego psa, ale takiego, który ma dobry, ciepły, kochający dom i rodzinę. Nie chciałby zostać biednym, schroniskowym reksiem, to pewnie jeszcze gorszy los niż jego obecny. Jeśli jednak jaszczury nie przerwą swojego projektu, to adoptuje jakiegoś burka. Może dzięki niemu zacznie się trochę więcej ruszać.

Słyszał jakieś głosy, ale mówiły w języku polskim, więc nie mogły należeć do jego wirtualnych oprawców, tylko do realnych. A może właśnie na odwrót? Już sam gubił się we własnych myślach, a pulsujący w skroniach i potylicy ból nie pomagał. Otworzył oczy, które najwidoczniej się zepsuły, znowu jakieś glitche, dwoiło mu się i troiło, a kolory były jakieś wyblakłe. Nie mógł ruszyć rękoma, czuł, że są skrępowane w nadgarstkach, chyba jakąś trytytką. Ciekawe, czy na Śląsku też tak mówią na to ustrojstwo. Siedział na czymś bardzo niewygodnym, a głosy to się zbliżały, to znów oddalały, łapał jedynie pojedyncze słowa, które bez kontekstu nic mu nie mówiły. Postanowił skupić się na tym, jak się tu znalazł. Po pierwsze tu – to znaczy gdzie? Było chłodno i śmierdziało stęchlizną. Tak, jakby coś tu gniło. Ostatnie, co pamiętał, to włamanie do domu strzelca. Domniemanego strzelca, poprawił się w myślach. Pamiętał, jak wchodził za Klementyną po schodach, pamiętał książki historyczne. I wreszcie – pamiętał ten pieprzony symbol, którego nazwa zaginęła w zakamarkach jego umysłu. Pamiętał, że zauważył go na tej skórze, na której bardzo nie chciał go zobaczyć. Po co ta cała szopka? Mimo wszystko to, że nadal żył, dodawało mu otuchy. Głosy się przybliżały, rozumiał coraz więcej z wypowiedzanych słów. Zwiesił głowę, udając nieprzytomnego.

– Już do reszty pogrzało was z tą taksówką? Mówiłam, że mam nad tym kontrolę! Wszystko szło zgodnie z planem!

– Z czym planem? Stary zaczynał tracić cierpliwość.

– Tak jakby w ogóle jakąkolwiek miał. Swoją drogą, dlaczego strzeliłeś do mnie, a nie do niego? Łapska ci się trzęsą?

– Trafiam w to, w co chcę trafić. Taki był rozkaz. To nic osobistego. To miało go przestraszyć, tymczasem ten spasiony lamus nie chciał odpuścić.

– Chyba o to chodziło staremu? Chciał sprawdzić, czy jego wnuk zasługuje na...

– Przyjechali! – krzyknął trzeci głos, który nie uczestniczył we wcześniejszej konwersacji.

Teraz Wacław słyszał jedynie kroki kilku osób, które po chwili ucichły. W zatechłym powietrzu dało się wyczuć niesamowite napięcie, tak jakby wszystko wokół zostało nagle naelektryzowane. Głowa zaczęła boleć go jeszcze bardziej, zbierało mu się na wymioty. Pewnie kolejne wstrząśnienie mózgu, pomyślał.

– Ściągnijcie mu tę szmatę – rozkazał ktoś. Głos należał do starszego mężczyzny, a słowa zostały wypowiedziane tak, że brzmiały jak rozkaz, który zresztą zaraz

został spełniony.

Przed Waławem stał niski, łysy mężczyzna poruszający się o kuli. Chwilę zajęło mu skojarzenie, gdzie i kiedy widział wcześniej tę fizys. Wtedy, w Parku Zdrojowym, sekundy przed tym, jak rozległ się strzał, a Klementyna oberwała. Dziwny, niemiły tubylec. Starzec patrzył na niego długo, a z jego oczu emanowała wściekłość. Gdyby wzrok zabijał, Waław nie byłoby już wśród żywych.

– Masz w sobie jakieś babskie rysy. Wyglądasz bardziej jak ta szmata niż on. Pytanie, po kim odziedziczyłeś charakter. Co, chłoptasiu?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Dlaczego tu jestem? – zapytał Waław, a z każdym wypowiedzianym słowem skronie pulsowały mu coraz bardziej.

– Masz, masz. Przecież już wszystkiego się dowiedziałeś. No, prawie wszystkiego. To, jak skończy się ta sytuacja, zależy już tylko od ciebie. Pewnie sam masz dosyć tych gier.

– Gdzie ja jestem? Co to za ruina?

– Ruina – starzec zaczął chodzić wokół niego – to bardzo odpowiednie słowo. Kiedyś był to żłobek dla pracowników Bumar. Wiesz, co to jest? Nie wiesz, bo skąd. – Zerknął przez ramię. – Dajcie mi coś, na czym mógłbym usiąść.

Po krótkiej chwili pojawił się jakiś mężczyzna, którego Waław nigdy wcześniej nie widział. Postawił przed nim zakurzone krzesło, na którym starzec z trudem usiadł.

– Bumar to zakłady mechaniczne z Gliwic. Tutaj wyprodukowano między innymi wrocławską iglicę. Kiedyś były imienia, ha tfu – splunął – tej nędznej kreatury Stalina. Wyjeżdżały stąd czołgi, oczywiście radzieckie, no bo jakie inne? W tym kraju wszystko jest albo radzieckie, albo niemieckie. Ostatecznie jankeskie. Nieistotne. Istotne, że to faktycznie ruina. Tak jak cały Śląsk. A ja ten Śląsk od lat naprawiam. Ja i inni ludzie, którym jest on drogi. Droższy niż życie, Waław. Droższy niż cokolwiek innego na tym parszywym świecie. A ty, mój drogi wnuku, co chcesz z tym zrobić? Co chcesz zrobić ze swoją spuścizną?

Joachim Wojnar oddychał ciężko. Wyglądał tak, jakby cały ten monolog równał się wydatkowi energetycznemu potrzebnemu do przebiegnięcia maratonu, i to w całkiem niezłym czasie. Jego ciało było słabe, od Joachima Wojnara biły rozpacz i śmierć. Tylko w oczach, przywodzących na myśl dwa duże kawałki malachitu, tliła się resztką życia...

– Jeszcze kilka dni temu nie wiedziałem, że mam z tym miejscem cokolwiek wspólnego – odpowiedział po dłuższej chwili Waław. – Chcę tylko wrócić do domu. Proszę.

– Wróciłeś! – zirytował się Wojnar. – Właśnie chodzi o to, że dopiero teraz wróciłeś do domu! Śląsk jest twoim prawdziwym domem, a to, że ta pieprzona

ladaczniczka wywiozła cię do Polski i wychowała na słabego, zagubionego człowieczka, niczego nie zmienia. Płynie w tobie nasza krew, dobra krew.

– Normalna. Z tego, co kojarzę, Śląsk nadal leży w Polsce.

– Leży, to prawda. Ale nie powinien. To jest okupacja, Waław. Śląsk nigdy nie powinien być ani niemiecki, ani polski. Śląsk od zawsze powinien być śląski. My jesteśmy inni. My jesteśmy lepsi.

– To chyba trochę hitlerowska retoryka?

– Hitler – Wojnar uderzył kulą o podłogę – co do jednego miał rację. Co do eksterminacji swoich wrogów. Jeśli zmierzasz do tego, że jestem do niego podobny, to masz rację, jestem. Pod tym względem na pewno. My, Szychta, usuwamy jednak tylko tych, którzy wchodzą nam w drogę. Później to się zobaczy.

– Tak jak moja ciotka? – zapytał Waław i sam siebie zaskoczył tym, jak twardo to zabrzmiało.

Joachim Wojnar wybuchnął śmiechem. Nieprzyjemnym i skrzeczącym, Waławowi skojarzył się z wściekłym pterodaktylem. Po paru sekundach śmiech przeszedł w grzliczy kaszel. Starzec wyciągnął z kieszeni spodni bawełnianą chusteczkę, którą przyłożył do ust. Kiedy ją odsunął, Waław zauważył, że zabarwiła się na czerwono.

– Twoja ciotka okazała się sprytniejsza, niż wszyscy myśleliśmy. Przez cały ten czas, przez ponad trzydzieści lat myślałem, że nasz skarb rodowy przepadł razem z twoją matką. Byłem przekonany, że wzięła te listy ze sobą, gdziekolwiek uciekła. Że je zniszczyła. A one cały czas były tutaj, w Jastrzębiu-Zdroju. Muszę przyznać, że wszystkich nas wystrychnęła na dudka. Cóż, nauka na przyszłość. Nie martw się, Sabina nie cierpiała, odchodząc. Tak przynajmniej mi się wydaje.

– Wybuch butli gazowej?

– Kto to będzie kwestionował? Była już stara i od wielu lat niespełna rozumu. Była też niesłuchanie wierna twojej matce. Nic nikomu nie pisnęła, ani słówka. Dopóki Żaneta nie zmarła. To chyba ostatecznie złamało twoją ciotkę, a że za bardzo ufała księżom... Cóż, dlatego tu jesteśmy, Waław.

– Moja matka zmarła sześć lat temu, wtedy też powstał testament. Na co czekaliście sześć lat?

– Aż zdechnie, a ty przyjedziesz tu z własnej, nieprzymuszonej woli. Niestety czas, który dał mi dobry Pan Bóg, się kończy, a Szychtą musi kierować Włczak. Może nie z nazwiska, ale z krwi! Ja jestem z Włczaków i ty jesteś z Włczaków. Ja umieram, ale z ciebie da się jeszcze zrobić prawdziwego mężczyznę zamiast tego – kulą dotknął jego brzucha – galaretowatego czegoś. Da się z ciebie zrobić prawdziwego hannya.

– To wszystko, cała ta gra... była tylko po to? Żebym został godzien, żebym stanął na czele jakiejś podejrzanej organizacji mordującej ludzi?

– Od zawsze było to twoim przeznaczeniem. Gdyby te czerwone świnie nie zabiły twojego ojca, to odziedziczyłbyś to bezproblemowo i bezboleśnie. Pan Bóg chciał jednak inaczej, taki był jego plan, a kim ja jestem, żeby kwestionować jego nieomyślność? Najważniejsze, że teraz tu jesteś. I masz bardzo ważną decyzję do podjęcia. Klementyna powiedziała mi, że również straciłeś dziecko, moje kondolencje. Mam nadzieję jednak, że szybko dorobisz się potomka.

– Sam się dorób, dziadu! – krzyknął Wacław.

Miał już tego serdecznie dość. Był przygnębiony i wściekły jednocześnie. Chciał już wrócić do swojego całkiem normalnego życia, usiąść w swojej całkiem normalnej, choć trochę małej wannie, napełnić ją gorącą wodą, zapalić papierosa i rozplakać się, tak jak robił to już wielokrotnie. Minus papieros. Albo niech te łuskowate skurwysyny wyłączą w końcu komputery i pójdą wylegiwać się na swoje kosmiczne skały!

– Próbowałem, Wacław. Wierz mi, że próbowałem. Wiele kobiet oddanych sprawie śląskiej chciało nosić mojego syna.

– Albo córkę.

– Syna. Jestem chory, Wacław. Od dawna. Nieuleczalnie. Zaczęło się krótko po tym, kiedy pochowałem Hiacynta... To złe słowo, bo nawet nie mogłem wziąć udziału w jego ostatniej drodze. Wyobrażasz to sobie? Nie móc towarzyszyć dziecku, kiedy jego nieśmiertelna dusza tego najbardziej potrzebuje? Chociaż ty akurat możesz to sobie wyobrazić. Jesteśmy bardziej podobni, niż ci się wydaje, a będziemy jeszcze bardziej. Wszystkiego cię nauczę i wszystko pokażę.

Dopiero wtedy Wacław to zauważył. Dłonie Joachima Wojnara co kilkanaście sekund zaczynały drżeć, twarz tężała, a nienawistny wzrok stawał się na ułamek sekundy absolutnie pusty.

– Więc co? – powiedział wreszcie. – Nie udało ci się zrobić kolejnego dzieciaka i jestem potrzebny ci ja? A gdybyś nigdy nie dowiedział się o moim istnieniu?

– Ale się dowiedziałem. Nie interesuje mnie coś, co jednak się nie wydarzyło. A ty się, dzięki Bogu, wydarzyłeś. Poprowadzisz nas ku zwycięstwu, nawet jeśli tylko przez kawałek tej drogi. Tak jak robiłem to ja. Śląsk będzie wreszcie autonomiczny.

– Tak? I jak wam idzie do tej pory?

– Kropla drąży skałę, Wacław. Wiesz, ilu denialistów już spotkałem? Wiesz, ilu ludzi śmiało mi się w twarz? A jednak Szychta z roku na rok staje się coraz większa. Potężniejsza. Przenikamy wszędzie. Sejmik wojewódzki. Sejm i senat. Jednostki, ale jednak. Każdy z nas liczy się z tym, że sukces nie przyjdzie za jego życia. To cena, którą jesteśmy gotowi zapłacić. Do ostatecznego zwycięstwa brakuje tylko jednego... Ciebie. Ciebie i twoich potomków. Poznałeś już

Klementynę, na pewno bardzo chętnie będzie nosić twego syna. Może jest już odrobinę za stara na dziecko, ale o tym zdecydujesz już ty.

Joachim Wojnar znowu się rozkaszał, ale tym razem wypluł zawartość gardła na podłogę. Krwawy skrzep przyprawił Wacława o nudności. Czy ja też tak skończę, pomyślał? Czy to gówno jest dziedziczne?

Gdy atak kaszlu minął, starzec podparł się na kuli, wstał i podszedł do Wacława. Złapał go za twarz; jego dłonie o zbyt długich paznokciach okazały się lodowate. Nie, gorzej. To było coś, co przenikało do szpiku kości, co zarażało ciało i duszę. Zabijało wszelkie życie.

– Masz jego oczy – powiedział Wojnar, a na jego twarzy pojawił się grymas, który w założeniu miał być uśmiechem. – Czy zajmiesz należne mu miejsce?

Wacław nie zastanawiał się długo. Wykorzystał to, że Wojnar znalazł się tak blisko i pomimo że jego gardło przypominało pustynię i zabiłby teraz za łyka wody, splunął starcowi prosto w twarz. Ślina zatrzymała się na jego prawym oku, twarz wykrzywiła brzydko. Starzec wytarł ją rękawem i zawołał Klementynę. Po chwili dziewczyna podeszła. Ani trochę nie przypominała Klementyny, którą Wacław niedawno poznał. Nie miała już tego zawadiackiego, zaraźliwego uśmiechu. Nie wyglądała na pełną energii, nie wyrzucała z siebie słowa za słowem. W dłoni nie miała już tego czegoś, czym zawsze się bawiła. Trzymała coś znacznie większego.

– To twój ostatni test, dziewczę. Zabij go. Udowodnij, że twoje miejsce jest z nami, w Szyhcie.

– Teraz? – zapytała.

– Czy ja mówię po chińsku? Tak, teraz.

Klementyna podeszła do potomka Mikołaja Witczaka, przyłożyła mu pistolet do głowy, a jej usta wydały jedno nieme słowo:

– Bum.

ROZDZIAŁ 25

Do jej uszu dotarła muzyka składająca się z dźwięków, które wielu mogłyby przyprawić o migrenę. Krzyki i wybuchy granatów dymnych produkowanych przez bydgoski Nitro-Chem przywodziły na myśl koncert. Pomimo całej tej zawieruchy nawet nie drgnęła. Lufa pistoletu nadal tkwiła przytknięta do jego czoła, a zdziwienie na twarzy mężczyzny było jak balsam na jej skołatane serce. Mięsień bił teraz coraz mocniej, bo znowu dostała zastrzyk adrenaliny, chyba największy w swoim życiu. Chciała, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła.

– Gleba, kurwa, gleba! – słyszała gdzieś wśród zgiełku. Nie robiło to na niej żadnego wrażenia, naoglądała się *Rutkowski Patrol* w dzieciństwie. Była wręcz pewna, jakie słowa padną jako kolejne.

– Wiesz, z kim tańczysz?! Wiesz, z kim tańczysz, suko?! Na ziemię!

Nie mogła się nie uśmiechnąć. Media mają wielką siłę rażenia, skonstatowała. Te wszystkie młode chopy, które w ostatnich latach poszły do służby, naoglądały się seriali

i filmów, a teraz, kiedy naprawdę miały okazję, mogły stroszyć piórka. Pokazać, kto rządzi. Może kopnąć kogoś w mordę, w tym dymie przecież nikt się nie zorientuje.

Grzecznie czekała z wyprostowaną ręką i glockiem 19 w dłoni. Nigdy wcześniej nie trzymała takiej broni, musiała przyznać, że było w tym coś podniecającego. Nienawidziła myśliwych i ich bzdurnych teorii o regulacji populacji leśnych zwierząt. Zwykli mordercy z odpowiednio zbudowaną teorią. Natomiast zaczynała rozumieć tych ludzi, którzy wolny czas spędzają na strzelnicy.

Obiecała sobie, że jeśli jakimś cudem wyjdzie z tego w jednym kawałku, to także zacznie na nią chodzić. Miała wrażenie, że cała ta zawierucha trwa wieczność, ale logika kazała założyć, iż mogło minąć najwyżej piętnaście sekund. Jedno instastory, śmiał się zawsze Franek. Chciała wyciągnąć z kieszeni to, co jej po nim zostało, to, czym zawsze lubiła się bawić, kiedy była w adrenalinowym transie. Mały ludzik lego przedstawiający Groggu, choć ona tego zielonego słodziaka już zawsze będzie nazywać Baby Yodą. Ostatecznie powstrzymała się przed sięgnięciem po niego, nie chciała go zgubić w tym zamieszaniu. Był dla niej zbyt cenny. I ludzik, i Franek. Za tym drugim tęskniła każdego dnia. Codziennie rano patrzyła w lustro i czekała, aż podejdzie od tyłu, złapie ją w pasie i delikatnie pocałuje w szyję. Zawsze tak robił, był to ich niepisany poranny rytuał.

– Głuchy jesteś?! Na ziemię! – rozległ się z dymu męski głos.

– Odmawiam wykonania polecenia – powiedziała spokojnie Klementyna. – Jestem dziewczyną.

– Ona ma broń! – krzyknął ktoś inny. – Ręce do góry! Słyszysz?! Góra, raz!

Ilość dymu w ruinach żłobka szybko ulatniała się przez dziury po oknach i drzwiach. Coraz wyraźniej dostrzegała kształty, mogła już policzyć, ilu antyterrorystów postanowiło dołączyć do zabawy.

– Dlaczego? – zapytał ze wzrokiem wbitym w lufę pistoletu przytkniętą do jego czoła. Jego prawa dłoń zaczęła drgać. – Dlaczego to robisz?

Klementyna spojrzała na mężczyznę, a po chwili się uśmiechnęła i pokazała mu język.

– Bo nienawidzę takich ludzi jak ty.

Otoczyło ich trzech antyterrorystów, w Klementynę celowały karabinki automatyczne HK416.

Fajne, pomyślała dziewczyna. Prawie jak z *Call of Duty*. Ciekawe, czy na strzelnicach też takie mają.

– Rzuć broń! – krzyknął jeden z zamaskowanych funkcjonariuszy. – Teraz!

Klementyna czekała. Obiecała sobie, że nie będzie słuchać już żadnych durnych rozkazów. Czekala tylko na ten jeden, ostatni.

– Klementyna, już dobrze. – To był on. Na jego rozkaz czekała. – Odłóż ten pistolet. Nie warto.

– Tak myślisz? Naprawdę tak myślisz? Ta ludzka spierdolina nie powinna już chodzić po ziemi.

– Nie wyciągnę cię z tego. Jeśli go zabijesz, skończysz w więzieniu. Naprawdę tego chcesz?

– Byłabym zajebicie popularną więźniarką. Całkiem nieźle tatuuję.

Policjant się zaśmiał.

– To prawda – przyznał. – Ale mimo wszystko nie wydaje mi się, żebyś tam pasowała.

– No strzelaj. Skoro tak mnie nienawidzisz, to pociągnij za spust – powiedział Joachim Wojnar, który odzyskał odrobinę animuszu. – Ja bym to zrobił. Bez żadnego zastanowienia.

– Klementyna, nie! – krzyknął policjant. – Nie daj się sprowokować. On to robi specjalnie.

– I na razie mu się udaje – odpowiedziała dziewczyna, czując, jak poci się jej ręka trzymająca broń.

– To nie da ci żadnej satysfakcji, rozumiesz?! Żadnej!

– Tego nie możesz wiedzieć! – krzyknęła. – Nie możesz! Zresztą – głośno przełknęła ślinę – sam powinieneś chcieć rozwalić mu ten durny łeb!

– Myślisz, że nie chcę?! Każdego dnia, w każdej minucie, w każdej sekundzie. Ale wiem, że on by tego nie chciał. Franek by tego nie chciał.

Na dźwięk tego imienia zrobiło jej się strasznie smutno. Znowu poczuła, jak bardzo jest samotna, jak bardzo od czasu śmierci ukochanego nie potrafi znaleźć swojego miejsca na świecie. Musiała zakładać maskę za maską, ukrywać się za czarującym uśmiechem i ciętymi, słownymi retorsjami. Patrzyła na tego starca, na tego tak bardzo słabego fizycznie człowieczka i czuła, jaką ma teraz władzę. Bo czy istnieje większa niż nad życiem i śmiercią? W tym momencie rozumiała Wojnara, to, jak bardzo czuł się potężny. Ilu ludzi skazał na śmierć?

Opuściła rękę, pistolet wysunął się z jej dłoni. Poczowała, jak z jej ciała schodzi całe napięcie, aż zakręciło jej się w głowie. Atak paniki mógł przyjść w każdej chwili, ale na szczęście odpowiednio szybko wyciągnęła z kieszeni to, co zawsze umiejscawiało ją w tu i teraz. Usiadła na ziemi i zaczęła płakać. Łez nie było dużo, miała wrażenie, że już dawno wyczerpała ich limit, a te, które płynęły teraz, to nadwyżka. Dodatek za pracę w trudnych warunkach. Policjant, na którego rozkaz czekała, podszedł do niej, uklęknął i ją przytulił. Łzy płynęły teraz z dwóch par oczu.

Wacław obiecał sobie, że nie tylko zaadoptuje jakiegoś fajnego psiaka, ale kiedy już się finansowo odkuje, to wpłaci jakiś hojny datek na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Udostępni wszystkie możliwe zrzutki, będzie gotował dla bezdomnych. Może to jakoś udobrucha jaszczury, bo symulacja ani myślała wyhamować.

Pierwszy raz zdziwił się, kiedy Klementyna przytknęła pistolet nie do jego głowy, tylko do czerepu tego starego psychopaty. Drugi – gdy po chwili świat

zaczął się walić. Owszem, przeszło mu wtedy przez myśl, że ktoś wcisnął przycisk resetujący. Trzeci raz zdziwił się teraz, kiedy zobaczył dziewczynę w objęciach policjanta, którego przecież już raz spotkał. Jak on się nazywał? Baran? Taran? Na pewno jakoś podobnie. W tym akcie czułości nie było ani krzty erotyzmu. Nie wyglądali jak kochankowie, raczej jak osoby, które cierpiały zbyt długo. Które zbyt długo musiały być silne.

– Wszyscy w samochodach? – zapytał kogoś policjant, pomagając wstać Klementynie. – Bierzcie Wojnara. Tylko delikatnie, nie chcemy, żeby nam się rozpadł.

– Rozpadł?! Ja?! – wrzasnął trzymany przez dwóch antyterrorystów Joachim. – To wy się rozpadniecie! Wy wszyscy! A w szczególności ty, dziewczynko. Nie wiesz, co właśnie zrobiłaś. Trzeba było strzelać, bo ja ci nigdy nie odpuszczę. Nigdy. Wam zresztą też, zdrajcy Śląska.

– Dobra, dobra – powiedział Franciszek Baron. – Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz. Ty już chyba jesteś w takim wieku, że kwalifikujesz się na pieluchę, co nie, Wojnar?

– Żartujcie sobie, szydźcie. To jedyne, co wam zostało. Szychta nie wyba...

– Dobra, weźcie mi go sprzed oczu, bo zmienię zdanie i oddam Klementynie kłanę.

Zamaskowani antyterrorysty prowadzili starca pod ręce, a ten cały czas się wyrwał i rzucał takimi wyrafinowanymi zlepkami słów powszechnie uznawanych za niecenzuralne, że niejeden polski raper by mu pozazdrościł. Nagle ucichł, a jego ciało zwiotczało. Początkowo policjanci myśleli, że Wojnar zaczął udawać albo może po prostu się zmęczył. Dopiero po chwili dostrzegli, że jego klatka piersiowa przestała się unosić.

– Dziadyga nie oddycha! – krzyknął jeden z nich. – Chyba nam zszedł!

– CO?! – ryknął Baron. – To nie może się tak skończyć! Sztuczne oddychanie, już! I dzwońcie po karetkę! Niech przyjadą dwie, pan Wacław jest chyba troszkę poobijany.

Wacław się ucieszył, że w końcu ktoś sobie o nim przypomniał. Baron podszedł do jego krzesła i przeciął wszystkie opaski zaciskowe. Te, którymi miał unieruchomione dłonie, wżarły się już w naskórek i spowodowały krwawienie. Wacław spróbował wstać, ale jak tylko złapał pion, cały świat zawirował, a on z impetem usiadł na krześle.

– Spokojnie – powiedział policjant. – Chyba dostał pan trochę mocniej, niż się panu wydawało. Proszę siedzieć. Karetki?! – krzyknął do pozostałych funkcjonariuszy.

– Jadą!

– To dobrze. Jak się pan czuje? – zwrócił się znowu do Wacława.

– Wcale się nie czuję. Chyba się zaraz porzygam.

– Nie dziwię się. Sporo pan przeszedł przez te kilka dni. Jeszcze momencik i...
Halo? Halo, panie Waławie!

Ostatnich słów Waław już nie słyszał. Stracił przytomność i znowu znajdował się w krainie swojego największego wroga. Ten był jednak łaskawy. Nie zrzucił na niego żadnych koszmarów, nie wyczarował snów, do których później Waław tęskniłby tygodniami. Nie śniła mu się Pola, nie śniła mu się Karolina i ich wspólne życie, które już nigdy miało nie nastąpić. W gruncie rzeczy nawet jeśli śniło mu się cokolwiek, to w ogóle tego nie pamiętał.

ROZDZIAŁ 26

Ocknął się. Wokół niego panowała absolutna ciemność, a zanim jego oczy się do niej przyzwyczyły, musiała minąć dłuższa chwila. Znajdował się w szpitalu. Tym razem dostał jakiś pokój dla VIP-ów, bo był w nim sam, tylko on i jego niewygodne, szpitalne łóżko. Głowa nadal go bolała, ale teraz odbierał ten ból jako bardziej tępy, a na dodatek docierał do niego jakby zza ściany. Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Poleżał jeszcze przez kilka minut w bezruchu, a kiedy poczuł, że najwyższy czas oddać nadmiar zgromadzonych w organizmie płynów, spróbował wstać. Bardzo powoli i metodycznie, nie miał zamiaru znowu gdzieś odpłynąć. Jedna stopa, druga stopa. Podłoga okazała się diabelnie zimna, choć przecież był sam środek lata. Policzył w myślach do trzech i stanął na prostych nogach. Zawroty głowy nie powróciły. Od należącej do sali łazienki dzieliło go zaledwie kilka kroków. Jeden, drugi, trzeci...

– Cieszę się, że jesteś cały – usłyszał głos i o mało nie dostał zawału serca.

Siedziała tak cicho i tak nieruchomo, że wcześniej jej nie zauważył. Zapaliła latarkę w swoim iPhone i poświeciła sobie na twarz od dołu.

– Buu! – powiedziała. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Po tym wszystkim? Ja nawet nie mam pewności, czy ty jesteś prawdziwa.

– Możesz mnie uszczyplnąć. Ale lekko, nie lubię tego.

– Kim ty jesteś, Klementyna? Kim ty naprawdę jesteś? Pracujesz w policji?

– Nie no, co ty, Waclaw! Nie przesłabym testów psychologicznych. Nie okłamałam cię prawie ani razu. Naprawdę mam tego bloga i naprawdę jestem tatuatorką.

– I jesteś w tej całej Szychcie.
– Byłam. Ale miałam ku temu ważny powód. Bardzo ważny, mordo. Najważniejszy.
– Ten policjant... Baran?
– Baron – poprawiła go. – Franciszek.
– Czekał, co? – zapytał zdziwiony. – To jest ten Franek? Twój narzeczony?
– Fuuuj! On jest stary! – zawołała. – To jest Franciszek. Franek jest jego synem. Był – wyjaśniła ze smutkiem. – Siadaj, zasługujesz na całą prawdę.
Być może i zasługuję, pomyślał Wacław, ale nie wiem, czy moje zwoje mózgowie zdołają przyjąć jeszcze jakieś rewelacje.
Mimo wszystko usiadł na łóżku, z nadzieją że to wszystko zmierza już ku końcowi. Był zmęczony. Tak bardzo zmęczony.

Klementyna poznała Franka Barona na pierwszym roku studiów historycznych. Był jedynym chłopakiem, który podszedł się do niej przywitać i nie próbował po pięciu sekundach dostać się do jej majtek.

Doskonale zdawała sobie sprawę, jak działa na tych wszystkich wychowanych na zbyt dużej ilości pornografii chłopców. Jak mieli umieć zbudować normalne związki z kobietami po setkach godzin spędzonych na patrzeniu, jak są one sprowadzane do roli seksualnego akcesorium, które potrafi mówić tylko: „tak, tatusiu”, „dobrze, tatusiu”, „jak głęboko chcesz, tatusiu”. Wiedziała, że te pornowraki dostają na jej widok namiotozy. Wiedziała, że marzy im się wytatuowana alternatywka z kolorowymi włosami, mająca duże piersi i jeszcze większe *daddy issues*.

Franek był inny. Nie czuła od niego żadnych niecznych intencji, a jedynie autentyczne zainteresowanie jej osobą. Dużo rozmawiali o jej tatuażach, a kiedy Klementyna przyznała się, że całkiem nieźle rysuje i sama chciałaby kiedyś zacząć wbijać tusz pod skórę, Franek zgłosił się na ochotnika.

– Tylko nie na twarzy i nie na dłoniach – zaznaczył. – Ojciec by mnie zamordował, podejrzewam, że dość brutalnie. Później znalazłby sposób, żeby mnie wskrzesić i zrobiłby to ponownie. Tylko brutalniej.

– Kim jest twój stary? Bokserem?

– Nie. Policjantem.

Połączyło ich coś, czego tak naprawdę nie mieli – rodzice. Klementyna na dobrą sprawę nie miała ich nigdy, a matka Franka odeszła, kiedy miał dwa lata. Ojciec powiedział mu, że wyjechała za granicę, ale gdzie i dlaczego – tego nigdy się nie dowiedział. Sam z kolei trwał w szczęśliwym małżeństwie ze swoją pracą, choć

często zdarzało mu się z nią kłócić, obrażać na nią, raz nawet był bliski rozwodu. Tylko czym by się zajmował, skoro niczego innego nie umiał?

Koleżeństwo dwójki studentów zamieniło się w coś więcej po urodzinach najlepszego przyjaciela Franka. Bawili się do późna w Pubie Żywieckim, a kiedy Klementyna chciała już wracać do wynajętego mieszkania, Franek uparł się, że ją odprowadzi. Pod drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową pocałowali się pierwszy raz. Zaprosiła go na górę, a on zdobył jej serce prostym pytaniem:

– Jesteś tego pewna?

Odpowiedź nie mogła być inna niż twierdząca. Później wszystko potoczyło się dość szybko. Zamieszkali razem, a kiedy byli na drugim roku, oboje rzucili studia w pogoni za tym, co naprawdę chcieli robić. Klementyna otworzyła swoje studio tatuażu, a Franciszek został sushi masterem we własnej knajpie, którą dziewczyna nazwała Ryba w papiurze. Oprócz tego dużo podróżowali.

Ojciec chłopaka podejrzewał, że Klementyna handluje narkotykami w darknecie. Kompletnie nie rozumiał fenomenu kryptowalut, blockchainów, niewymienialnych tokenów i całego cyfrowego świata, po którym dziewczyna poruszała się nader sprawnie. Podejrzewał, że tak naprawdę zajmuje się ona czymś nielegalnym, a jego syn pewnie jej w tym pomaga. Cóż, Franciszek Baron podejrzewał nie tę osobę w ich związku.

Jego syn zainteresował się w liceum historią, a szczególnie historią Śląska. Należał do kółka zainteresowań, gdzie raz w tygodniu spotykali się w niedużym gronie rówieśników, żeby prowadzić natchnione dysputy o ich ukochanym regionie i jego roli w rozwoju Polski. Franek był bezkompromisowym dyskutantem i nie uznawał czegoś takiego jak półśrodki. Uważał, że Śląsk nigdy nie powinien być polski. Nigdy. Całymi godzinami kłócił się o to ze swoimi kolegami, których miał za zbyt miękkich. Nauczyciel opiekujący się grupą patrzył na te erystyczne popisy z boku, niczym niemy, bezstronny arbiter. Aż do dnia, kiedy Franek rzucił się z pięściami na innego członka kółka historycznego. Wątki okularnik miał czelność powiedzieć, że powstania śląskie, wszystkie bez wyjątku, były błędem, który teraz wszyscy musimy naprawiać. W jaki sposób, tego powiedzieć już nie zdążył, bo jego twarz zaczęła przyjmować ciosy. Pozostałym członkom grupy również się dostało, kiedy siłą próbowali odciągnąć agresywnego chłopaka.

Opiekun grupy rozkazał zostać Frankowi po spotkaniu. Chłopak spodziewał się rozmowy na temat pobicia, zdziwił się więc, kiedy dotarło do niego, że nauczycielowi chodzi o coś innego.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytał bardzo spokojnie opiekun.

– Jak? Że Kamil nie ma prawa nazywać się więcej Ślązakiem?

Historyk się zaśmiał.

– To też. – Poprawił okulary na nosie. – Ale teraz pytałem o to, co zawsze mówisz o Śląsku. O to, że według ciebie powinien być autonomiczny.

– Oczywiście! – powiedział z mocą Franek. – To nie są żarty, panie profesorze. Przecież Ruch Autonomii Śląska to bardzo poważana i prężnie działająca organizacja. Żywię nadzieję, że kiedyś osiągną swój cel.

– Ruch Autonomii Śląska, powiadasz? Cóż... – Nauczyciel wstał zza biurka i zaczął przechadzać się po pustej sali szkolnej. – Jeśli wierzysz w cuda na kiju, możesz śmiało wierzyć w postulaty Ruchu. Ale jest coś, co jest dużo większe. Potężniejsze. Istnieje organizacja, która faktycznie może osiągnąć to, o czym marzysz. O czym marzy wielu z nas.

Zaskoczony Franek poczuł, że wreszcie spotkał kogoś, kto go zrozumie. Kto nie będzie się pukał po głowie, słuchając o jego wizji przyszłości. Kto nie będzie uważał tego za mrzonki, wariactwa niedojrzałego umysłu. Kogoś, kto pomoże mu to wszystko osiągnąć.

– Słyszałeś kiedyś o Szychcie? – kontynuował historyk, rozpinając guzik w lewym mankiecie koszuli. – Słyszałeś o jedynej organizacji, której dobro Śląska naprawdę leży na sercu?

Chłopak pokręcił przecząco głową, ale gdzieś w głębi siebie doskonale wiedział, że właśnie wkroczył na jedyną słuszną drogę.

– Ja jestem z Szychty. Mój starszy syn również. Młodszy, kiedy podrośnie, na pewno nie będzie się zastanawiał ani sekundy nad dołączeniem. Poręczymy za ciebie, jeśli oczywiście będziesz chciał.

– No jasne! – zawołał z radością uśmiechnięty Franek. – Gdzie mam podpisać?

– To tak nie działa, chłopcze. To my ciebie podpiszemy – odparł historyk, wskazując na tatuaż na swoim przedramieniu. – Chodź. Chciałbym cię z kimś poznać.

Franek Baron był członkiem Szychty od szesnastego roku życia – zgodnie z zasadami panującymi w organizacji to najniższy możliwy wiek pozwalający na przynależność. Tatuaż, kupkę, kazał zrobić sobie pod pachą. Ojciec nigdy nie miał okazji go widzieć, zauważyła go dopiero Klementyna. Bardzo łatwo mógł wytłumaczyć, dlaczego zdecydował się na taki, a nie inny wzór. Pomysł Wojnara okazał się genialny w swej prostocie, bo symbol górnictwa bardzo często pojawiał się na skórach mieszkańców Śląska, a mała litera „s” między liśćmi laurowymi nie rzucała się od razu w oczy. Chłopak przez kilka lat był wiernym wyznawcą Szychty, robił wszystko, o co prosił go Wojnar. Nigdy bezpośrednio, bo rola Franka w organizacji nie zdążyła urosnąć na tyle, żeby mógł brać udział w spotkaniach najwyższego szczebla. Pobicia. Wymuszenia. Słowo Wojnara było święte.

Wszystko zaczęło się sypać w momencie, kiedy Śląsk w jego sercu musiał przestać się tak rozpychać. Śląsk w jego sercu musiał się pogodzić z tym, że wprowadziła się współlokatorka. Śląsk wreszcie musiał się z jego serca wyprowadzić, współlokatorka bowiem potrzebowała tego dodatkowego pokoju. Franek zaczął opuszczać obowiązkowe spotkania, a jego przełożonym już wcześniej przestało się podobać to, że rzucił tak ważne studia dla przygotowywania żarcia skośnookich. Może gdyby chodziło o roladę z modrą kapustą, nie widzieliby problemu? Gwoździem do trumny Franka okazał się moment, kiedy poprosił o możliwość opuszczenia szeregów Szychty. To jednak nie było Monopoly, nie istniała karta „wychodzisz z więzienia”. W Szychcie tkwiło się do samej śmierci, nawet jeśli ta musiała być przedwczesna.

Ani Klementyna, ani Franciszek nie uwierzyli w samobójstwo Franka. Nic nie wskazywało na to, że chciałby targnąć się na swoje życie, i to jeszcze w tak bestialski sposób. Policyjne śledztwo nie wykazało jednak udziału osób trzecich. Dziewczyna się załamała, długo rozważała, czy nie nadszedł także jej czas. Nie mogła tylko się zdecydować, jak to zrobić. Zresztą, nie pierwszy raz, bo jej terapeutka już wielokrotnie słyszała o ciągłych myślach samobójczych. Nie miała ich od dawna. Odkąd poznała Franka i zaczęli budować wspólną przyszłość. Po jego śmierci myśli wróciły. Siedziała w wannie pełnej gorącej wody i co rusz dotykała nadgarstków żyłką. Nie mogła żyć, ale nie mogła też umrzeć. Rozmyślaniami położył kres główny motyw muzyczny Pokémonów. Dzwonił Franek senior. Za pierwszym razem nie odebrała, wyciszyła iPhone'a i czekała, aż przestanie dzwonić. Ojciec jej ukochanego był jednak nieustępliwy. Po czwartej próbie kontaktu wreszcie pękła i przesunęła zieloną słuchawkę w prawo.

– Jak się czujesz? – zapytał mężczyzna.

– Nieźle. Właśnie siedzę w wannie i zastanawiam się, jak długo będę się wykrwawiać.

– Co?! – przestraszył się Baron. – Mam tam kogoś przysłać?!

– Nie. Żartuję – skłamała. – Czuję się średnio.

– To zawsze lepiej niż źle. Słuchaj... Mogę do ciebie przyjechać?

– Po co? Nie zabiję się. Obiecuję.

– Jest coś, o czym musimy porozmawiać. Poważnie i na pewno nie przez telefon. To mogę?

– Zapraszam – odpowiedziała wkurzona.

Pojawił się po dwudziestu minutach ze sztucznym uśmiechem na ustach i kartonem w dłoniach. Karton wydawał dziwne dźwięki, których kartony raczej nie wydają. W środku siedziało różowe, pomarszczone małe stworzonko o wielkich oczach i jeszcze większych uszach. Było tak brzydkie, że aż piękne.

Dzień później otrzymało imię Tofu. To Franek zawsze chciał mieć sfinksa, któremu planował nadać jakieś kulinarne imię.

– Niech pan siada – powiedziała dziewczyna i pochyliła się z uwagą nad różową kulką. – Co jest takiego ważnego, żeby przyjeżdżać do mnie w środku nocy?

– Klementyna – w jego głosie dało się słyszeć rodzicielską troskę – jest siedemnasta.

– O. – Zerknęła na zegarek. – Faktycznie. Czas jakoś dziwnie płynie.

– Kiedy ostatnio wyszłaś z domu?

– Chyba przedwczoraj. Do Żabki. W kapciach. Outernet jest straszny.

– Wiesz, że nie możesz tak żyć?

– Z całym szacunkiem – powiedziała zirytowana – ale przyjechał pan mi tutaj matkować?

– W żadnym wypadku, wybacz. Po prostu się martwię.

– I po to ten kocur? Żebym miała dla kogo żyć?

– Wiesz, że wysoka inteligencja czasami ci nie służy?

– Uznam to za komplement. No więc? Skoro nie będzie więcej matkowania, to o czym będziemy rozmawiać?

– Czy wiesz, czym jest – Franek senior zrobił pauzę, tak jakby kolejne wypowiedziane słowo było zatrute – Szychta?

– W sensie, że górnicy jednej zmiany?

– Błagam, nie oszukuj mnie. Czy ty również do nich należałaś?

– Do kogo? Górników? Ja w życiu nawet kawałka węgla nie dotknęłam – odpowiedziała zmieszana.

Franciszek Baron długo patrzył na nią bez słowa, a każda kolejna sekunda stawała się dla Klementyny coraz bardziej krępująca.

– A co, jeśli powiedziałbym ci, że wiem, kto stoi za zabójstwem Franka?

– Zabójstwem? Przepraszam, ale czy pan jest pijany?

– Chciałbym, Klementyna. Chciałbym, żeby to wszystko było pijackim majakiem. Ale nie jest. Wiem, kto spowodował śmierć Franka. I wiem, jak ten ktoś może zapłacić. Jest tylko jeden problem...

– Jaki? – zapytała.

– Musisz mi w tym pomóc.

Miesiąc później Klementyna znalazła się w szeregach Szychty i krok po kroku próbowała znaleźć jakikolwiek słaby punkt organizacji Joachima Wojnara. W końcu słaby punkt sam przyjechał do Jastrzębia-Zdroju.

Wacław Wolf przechodził właśnie kryzys osobowości. Nie miał już pojęcia, kim jest, kim chciałby być i czy wszystko wokół niego zaraz się nie rozpadnie. Jedynym pewnym elementem w jego życiu była siedząca przed nim od dłuższego czasu Klementyna. Była człowiekiem z krwi i kości, który dwa razy przeszedł przez piekło. On swoje cały czas przemierzał.

– Jak wam się to udało? – zapytał. – Przecież musieli cię podejrzewać.

– I podejrzewali. Franek to pierwszy członek Szychty, którego zabili. Nikt wcześniej przez te wszystkie lata nawet nie pomyślał, żeby opuścić tę bandę psycholi. Z powodu śmierci Franka kilku z nich zaczęło trząść gaciami. To Franciszek namówił ich, żeby za mnie poręczyli. Żebym miała możliwość wejścia.

– A połączenie z twoim narzeczonym i jego ojcem?

– Hah! – Dziewczyna się zaśmiała. – Tu już wchodziło w grę moje i jego aktorstwo. Musieliśmy odstawić kilka scenek rodzajowych i to wśród ludzi. Raz nawet zakuł mnie w kajdanki i spędziłam cztery osiem w areszcie. Cholera wie, ile ta szopka musiałaby jeszcze trwać. Ty, Wacław... Ty spadłeś nam z nieba. Jeśli ktoś oczywiście wierzy w aniołki w średnim wieku i z lekką nadwagą.

– Bardzo zabawne. – Wacław się uśmiechnął. – Te listy... To wszystko prawda?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Joachim Wojnar od zawsze twierdził, że jego ojciec Otton jest synem Mikołaja Witczaka z nieprawego łoża. To, że spotkał się podczas pierwszego powstania śląskiego z prawowitym potomkiem Witczaka, Mikołajem juniorem, miało być bożą wolą. Tak zawsze mówił Wojnar. Myślę, że na te dokumenty ktoś powinien rzucić okiem. Historyk, grafolog?

– Poczekaj, ale to nie ma sensu. Skoro Wojnar miał te listy przez całe dekady, dlaczego nic nie powiedział? Dlaczego nie wyszedł na środek miasta i nie powiedział, rozdierając po rejtanowsku koszulę: „Patrzcie! Jam jest wnuk Witczaka!”?

– Bo nie chciał zniszczyć jego spuścizny. Niewierność? Dzieci na boku? To by nie pasowało do wizerunku dobrego, gospodarnego doktora. Wolał pozostać w cieniu. Przynajmniej tak podejrzewamy. Zobaczymy, co powie, kiedy otworzy oczy.

– Żyje?

– Żyje. Niestety. Powinien zdechnąć w męczarniach, ale Franciszek ma rację. Bez niego nie rozpracujemy reszty Szychty. To sadystyczny psychopata z urojeniami wielkościami. Wiesz, że to wszystko jest tym bardziej śmieszne, że ten debil pochodzi z Jastrzębia-Zdroju?

– Nie rozumiem.

– To miasto zawsze było ostatnim bastionem polskości. Jastrzębie-Zdrój, zawsze polskie, nigdy śląskie! Gdybyś pospacerował więcej po jego ulicach,

zobaczyłbyś, jak jest polskie, to bardziej wkurzało Wojnara. Że ludzie nie rozumieją jego straconej krucjaty. Wacław, czy ty widziałeś, że jego ręka...

– Widziałem. Może to coś dziedzicznego, jakaś choroba genetyczna. Przebadam się, jak tylko stąd wyjdę.

– Przecież jesteś w szpitalu, głupku!

– To był żart. Ha, ha.

– Bardzo boomerski.

– Czyli bardzo mój. I co dalej? Co ja mam z tym wszystkim zrobić? – zapytał, czując, że mimo wszystko będzie tęsknił za Klementyną Jaworek. Może trochę mniej za kotem Tofu.

– Co tylko zechcesz. – Uśmiechnęła się. – Na pewno jestem ci winna pięć koła papieru. Za to, że dałeś poczytać mi te listy.

– Wiesz co? – odezwał się po chwili Wacław. – Mam lepszy pomysł na to, jak mogłabyś się odwdzińczyć.

– Jaki? – zapytała zdziwiona.

– Terapia przez ekspozycję.

Wstał i mocno przytulił dziewczynę. Miał wrażenie, że jest w Jastrzębiu-Zdroju już od dawna, nie od kilku dni. To miasto miało coś w sobie. Coś, co go przyciągało. Może faktycznie chodziło o więzy krwi. Albo o tę niesamowitą dziewczynę. A może naprawdę od zawsze właśnie tutaj było jego miejsce?

ROZDZIAŁ 27

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Restaurację Stary Zdrój jak co sobotę wypełniał tłum. Wacław lubił spędzać czas w tej zabytkowej piwnicy zaadaptowanej na lokal gastronomiczny. Lubił tu siedzieć nad filiżanką kawy, to tutaj zjadał większość swoich obiadów. Te eleganckie wnętrza były bardzo w jego stylu, czuł się tu trochę jak w domu, w którym kiedyś chciałby mieszkać. Na razie musiała mu wystarczyć podłoga w salonie Klementyny i materac. Wejść na Snorlaxa już się nie odważył.

– Schudłeś – powiedział mężczyzna, który przysiadł się do jego stolika.

– Ostry reżim treningowy Klementyny robi swoje. Zjesz coś?

– Nie, nie mam tyle czasu – odpowiedział Franciszek Baron. – Przynoszę za to informacje.

– Dobrze?

– To zależy. Jakie miałeś oczekiwania co do tych listów?

– Szczerze? Absolutnie żadnych. Chciałbym tylko wreszcie poznać prawdę.

Baron podał mu przez stół teczkę, a kiedy podeszła do nich kelnerka, zamówił czarną kawę.

– Według ekspertyz w tej korespondencji prawda miesza się z fikcją. Z tego, co udało mi się ustalić, to nie było żadnego pokrewieństwa między Mikołajem Witczakiem juniorem a Ottonem Wojnarem. Nigdy nie było żadnej kochanki. Te listy to fałszerstwo. Bardzo dobre, ale jednak fałszerstwo. Tego, kiedy dokładnie zostały napisane, już chyba nigdy się nie dowiemy.

– Po co oni to zrobili? – zapytał Waław, sącząc espresso.

– Twoja rodzina miała chyba...

– To nie jest moja rodzina – poprawił go Waław.

– No tak, wybacz. Wojnarowie, a w szczególności nasz wspólny znajomy Joachim, mieli manię wielkości. Do swoich celów potrzebowali jakiejś legitymizacji. Odznaki mówiącej, że są prawdziwymi Ślązakami, a nie jakimiś przybyszami. Wykorzystali więc fakt, że Otton i Mikołaj się przyjaźnili, i zbudowali wokół tego historię, a ta historia rezonowała z innymi członkami Szychty.

– Przecież Witczak oryginalnie był z Wielkopolski. Tak mi przynajmniej powiedziała kiedyś Klementyna.

– Racja. O to musisz już pytać Wojnara, co on sobie w tym łysym czerepie uroił.

Umilkli na chwilę, kiedy pracownica Starego Zdroju wróciła z kawą. Pomimo że napój był bardzo gorący, Baron upił z filiżanki duży łyk. Waław za każdym razem zastanawiał się, jak on to robi.

– Udało wam się zamknąć kolejnych... szychciarzy? Tak ich nazywacie?

– A wyobraź sobie, że się udało. Ci, którzy brali udział w twoim porwaniu, powoli zaczynają się łamać. Szkopuł w tym, że to same płotki. Nawet jeśli coś wiedzą, to wiedzą bardzo niewiele. Wojnar i jego totumfaccy nie byli głupi. Pewnie trochę nam zajmie, zanim będzie można odtrąbić prawdziwy sukces. Bez wiedzy Wojnara jesteśmy jak dzieci we mgle. Czasem na coś trafimy, ale to raczej przez przypadek.

– On jest nadal w śpiączce?

– Nadal. I nikt nie wie, co mu jest. Waław, a ty?

– Co ja?

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– A ty dobrze wiesz, że nie chcę o tym rozmawiać. To dość frustrujące, że nikt nie ma zielonego pojęcia, o co może chodzić.

– Czyli nadal nic.

– Nic a nic. Muszę się zbierać. Paulina zaraz kończy lekcje.

– No tak. I jak się czujecie jako rodzice?

To była bardzo spontaniczna decyzja. Któregoś dnia, spacerując po Jastrzębiu-Zdroju, zauważyli billboard z hasłem „Rodziny zastępcze ratują świat”. I zaczęli nad tym myśleć, choć wcale nie długo. Złożyli odpowiednie dokumenty w Dziale Pieczy Zastępczej Ośrodka Pomocy Społecznej i czekali. Byli zdumieni, jak szybko urzędnicy się do nich odezwali.

– W całym kraju brakuje takich ludzi, jak wy – tłumaczyła im kierowniczka działu. – Brakuje nam superbohaterów. Proszę się nie śmiać, panno...

– Klementyno.

– Panno Klementyno. Ja naprawdę tak uważam. Chcecie zrobić coś pięknego, ale... Zdajecie sobie sprawę, że to jest praca całodobowa? Tu nie ma przerw, a jeśli nawet, to bardzo krótkie. Trzy zmiany z rzędu, każdego dnia.

– Wiemy. Dlatego Waław nie wróci do pracy, dopóki dziecko będzie z nami. Będzie supertatą.

– Ale wiecie też – kontynuowała kierowniczka – że te dzieci zazwyczaj przeszły przez niewyobrażalne piekło? One potrzebują miłości. Dużo miłości, cierpliwości i zrozumienia.

Waław i Klementyna spojrzeli po sobie, a dziewczyna robiła wszystko, żeby się nie roześmiać.

– Można powiedzieć – odezwał się w końcu Waław – że jesteśmy specjalistami od traumy.

Ośmioletnia Paulinka mieszkała z nimi od trzech tygodni. Na pokój dla dziewczynki zaadaptowali pracownię Klementyny. Początkowo Paulinka była bardzo nieufna i przestraszona, ale okazało się, że uwielbia koty. To Tofu sprawił, że zaczęła się przed nimi otwierać i opowiadać o tym, co przeszła. Co zrobili jej rodzice.

– Ziemia do Waława, halo? Jesteś tam? – powiedział Franciszek, wrywając go z zamyślenia.

– Tak, wybacz. Wychodzimy?

– Za tobą. I tym razem ja płacę. A miałem jeszcze zapytać... Ciebie też namówiła? – zapytał policjant i wskazał palcem na zawinięte w folię przedramię Waława.

– Potrafi być bardzo przekonująca – odpowiedział uśmiechnięty, patrząc na dzieło Klementyny, które od wczoraj miał pod skórą.

– Coś o tym wiem. Ja mam takiego bydlaka. – Baron podwinął rękaw opiętej koszulki. Na jego okazałym bicepsie widniał równie okazały ryj dzika. Dzik miał olbrzymie kły, z których ściekała krew. Wyróżniał się tym, że miał troje oczu, a wokół niego unosiły się jakieś geometryczne kształty.

– Że niby jesteś taki wściekły?

– Ten dzik to celtycki bóg Moccus – wyjaśnił z dumą Franciszek. – Dziki w ich kulturze były bardzo istotne, bo żarły żołędzie i trufle z dębowych gajów, a te przecież były święte. A ten Moccus był strażnikiem między krainami żywych i umarłych. Celtowie wierzyli, że to właśnie on przeprowadza dusze wojowników w zaświaty. Mam nadzieję, że ktoś przeprowadził duszę... – Głos mu się załamał, a oczy zaszklily.

Waław milczał. Rozumiał go doskonale.

– Czy wśród tych wyłowionych przez was płotek znalazła się jakaś rybka, która mogła powiedzieć coś o śmierci Franka? – zapytał po krótkiej chwili.

– Nie. Wszyscy jak jeden mąż kłamią, że było to samobójstwo. Ale ja wiem lepiej. I kiedyś ich znajdę, Wacław. Znajdę i...

– I zrobisz to, co odradziłeś zrobić Klementynie?

– Wiesz – policjant zniżył głos i otworzył drzwi na zewnątrz – wypadki chodzą po ludziach. Szczególnie w więzieniach i aresztach. Nie powiedziałeś mi, co znaczą twój tatuaż. Strasznie dziwny.

– Bo nie zapytałeś. A znaczenia tego tatuażu i tak byś nie zrozumiał. – Wacław się uśmiechnął i podał dłoń Franciszkowi Baronowi. Czuł, że mogą zostać naprawdę dobrymi kolegami. Poza tym obaj traktowali Klementynę jak córkę.

Założył okulary przeciwsłoneczne i ruszył powoli w kierunku szkoły podstawowej numer cztery. Zabawne, bo on też chodził do czwórki. Szedł wzdłuż świeżo wyremontowanej ulicy 1 Maja, która dzięki magii młotów pneumatycznych i koparek przekształciła się w deptak. Zniknęły samochody, a do uszu Wacława dobiegały tylko rozmowy przechodniów i od czas do czasu dźwięk rowerowego dzwonka. Zawsze dziwił się ludziom narzekającym na miejskie przebudowy. Zapewne później ci właśnie ludzie najbardziej zachwycali się efektem. Tutaj naprawdę było czym.

Każdego dnia po drodze do szkoły zahaczał o kwiaciarnię Pod Aniołami i kupował dziewczynom po kwiatku. Klementynie zawsze wybierał losowy gatunek, bo nie miała żadnych preferencji. Paulinka uwielbiała czerwone róże, a kiedy brała jedną w swoją małą dłoń, jej twarz przybierała kolor kwiatu.

Do końca lekcji pozostało jeszcze kilka minut. Wacław założył słuchawki i włączył antyboomerską playlistę, którą przygotowała dla niego Klementyna. Słuchał jej bardzo chętnie, bo wiedział, że sprawia tym dziewczynie wielką przyjemność. No i naprawdę była niezła, choć wcześniej znał może ze trzech wykonawców. Popatrzył na swój nowy, pierwszy tatuaż. Nie potrafił się nadziwić, jak bardzo kreatywna potrafiła być jego szalona współlokatorka. Na jego przedramieniu widniały cztery wyglądające na przypadkowe litery, bo specjalnie przestawiła ich szyk. Każda z nich wkomponowana była w obrazki przypominające hieroglify. Tylko oni dwoje wiedzieli, co tak naprawdę przedstawiają.

Ziemniaki.

Awokado.

Worki na śmieci.

Grana padano.

Ataraksja

Copyright © Tomasz Żak 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Redakcja – Paulina Stoparek

Korekta – Aneta Wieczorek, Kornelia Dąbrowska

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Projekt okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Zdjęcie na okładce – Supa Chan / Shutterstock.com

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN mobi: 9788382109856

ISBN epub: 9788382109863



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiak, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski,

Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

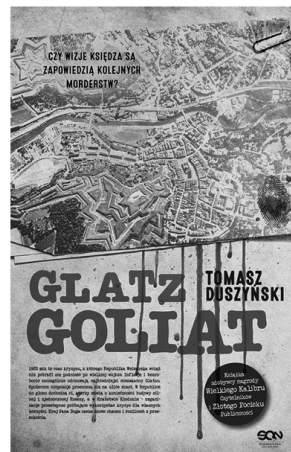
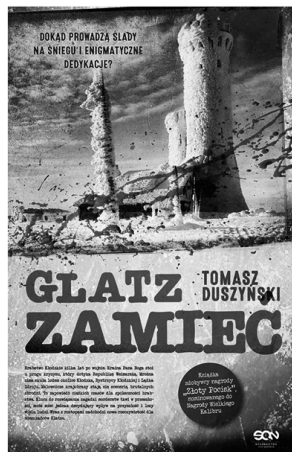
Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędzia

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

POZNAJ SERIĘ GLATZ



Szukaj w dobrych księgarniach

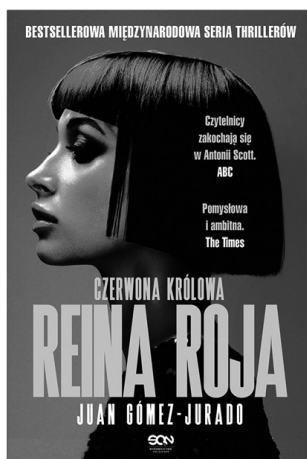


WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

RAZEM NIE SPOCZNĄ, DOPÓKI NIE ZŁAPIĄ SPRAWCY

W Madrycie popełniono morderstwo niemożliwe. Zginął syn prezesa jednego z największych banków w Hiszpanii. Inspektor Jon Gutiérrez nie ma nic do stracenia. Godzi się na propozycję współpracy z enigmatyczną Antonią Scott. Nie jest policjantką. Nie używa broni i nie posługuje się odznaką, ale mimo to rozwiązała już kilka zawiłych spraw kryminalnych. Jest też uważana za najinteligentniejszą osobę na świecie.



PIERWSZY TOM BESTSELLEROWEJ SERII THRILLERÓW

Szukaj w dobrych księgarniach



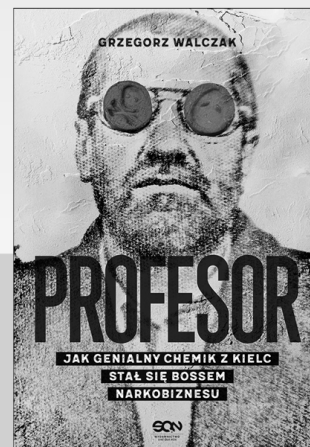
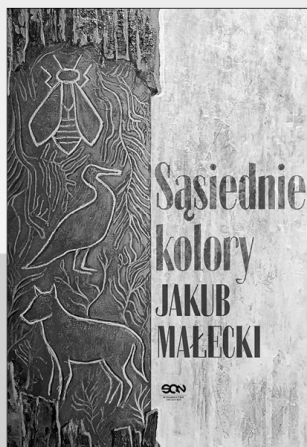
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL

labotiga.pl